

Allison Potter

Wiosenne serce

1

— Czterdzieści dziewięć dolarów!

— No i plus podatek — powiedział sprzedawca. Nadal dzwoniło mu w uszach od okrzyku zdziwienia.

— Na miłość boską! — Czterdzieści dziewięć tych zielonych podobizn Jerzego... za jeden sweter!

Sprzedawca westchnął. Ta pani, stojąca naprzeciwko niego, była dobrą kobietką, ale miała płuca drwala.

— Posłuchaj, Ben... — Ten zadowolony z siebie mężczyzna, który jej towarzyszył, pogłaskał ją delikatnie po dłoni. Miał około pięćdziesiątki, z siwymi włosami i okularami umieszczonymi niedbale na nosie. Poprawił je, żeby lepiej widzieć i przyglądał się niecnemu swetrowi.

— Powiem ci, dziewczyno... że to jest dopiero sweter! A teraz nie zaczynaj znów się pieklić. To jest impregnowana wełna — stuprocentowa — i to sprawia, że jest znacznie cieplejsza, nie przepuszcza wody i...

Zaczęła się teraz śmiać i zwróciła w stronę sprzedawcy, szczupłego, młodego mężczyzny, który wyglądał, jakby się obawiał, że może mu odgryźć głowę.

— Hej, przepraszam, że tak wrzeszczę, ale chyba nie miałam pojęcia, że rzeczy, których potrzebuję, są takie drogie... nie będę zresztą sama za nie płacić, ale widać, że tu potrzebny jest szmal.

Uśmiechnął się: — To prawda, ale rzeczywiście ma właściwości, o których mówił twój przyjaciel. A zatem, jak dajemy sobie radę z twoją listą? — Zerknął na ladę, na której zgromadzone były stosy różnych rzeczy. — Patrząc na to, można by sądzić, że zamierzasz spędzić zimę na Alasce.

— Nie całkiem — zaśmiała się Benita — ale... w pewnym sensie, prawie.

— O.K. — wyliczała na palcach — mamy kurtkę, rękawice - dwa rodzaje — ocieplany śpiwór, kilka dziwnie wyglądających okryć głowy, których nigdy wcześniej nie widziałam, a teraz mamy sweter.. nie wspominając o paru rzeczach, które, jak sądzę, pominęłam.

— Zajmiemy się teraz koszulami i butami — powiedział Ray Clayton. — Młody człowieku, czy posiada pan jakieś nazwisko? Zabieramy panu i nadal będziemy zabierać mnóstwo czasu, więc równie dobrze moglibyśmy się zaznajomić! Jestem Ray Clayton, to jest Benita Hub-bell, a pan...

— Nazywam się Bob Walder — roześmiał się — ale nie martwcie się, że zabieracie mi czas! Jeśliby raz na *rok* zdarzyła mi się taka sprzedaż, przeszedłbym na emeryturę i sam udał się na Biegun Północny!

— Hmm... to nie jest dokładnie to — zachichotał Ray — ale jest... hmm, opowiem panu o tym później. A teraz, jeśli idzie o buty i koszule — a z mojego punktu widzenia, to Red Wing, mając na myśli te pierwsze i Pendleton, mówiąc o tych drugich. Co ty na to, Benita?

Wybrali dwie pary butów, jedne na złe warunki pogodowe na zewnątrz, drugie na ciepło, komfort i łatwiejsze zadania, gdy Benita zamierzała właśnie uznać sprawę za zamkniętą, Ray wyciągnął rękę i wziął coś ze stojącego obok stoiska.

— I dwie pary tych — rzucił jej do rąk skarpety z gęsiego pierza.

— Dlaczego dwie? — zapytała.

— Ponieważ, jeśli jesteś do mnie podobna, możesz jedną zgubić i w ten sposób, nadal będziesz miała kompletną parę. Najwspanialsza rzecz, jaka kiedykolwiek może się przytrafić stopom, szczególnie, gdy zamierzasz nimi stąpać po jakichś zimnych podłogach.

— Wiesz co, przejdź się trochę w tych butach. Na moje oko, są dużo za ciasne.

Benita przespacerowała się do przodu i do tyłu, podziwiając swe odbicie w lustrze i tańcząc przez chwilę.

— Dobrze do tańca — skomentował Ray — ale spróbuj przejść się w nich z dwoma parami tych grubych szkockich skarpet.

Zobaczyła, że miał rację. Trzeba było wymienić buty na o pół numeru większe.

— Nienawidzę zadawać głupich pytań, ale dlaczego dwie pary skarpet, a może boisz się, że też je zgubię?

— Och, weźmiemy *trzy*, jako, że wierny ci poddany wierzy mocno w bycie przygotowanym na wszelkie ewentualności... a to jest trudny kraj! Ale zawsze miej na sobie dwie pary, żebyś miała izolację, właściwe wchłanianie i uzyskujesz lepszą skoczność i odbicie.

Skierowali się od butów do koszul i gdy już tam byli, zajęli się bielizną.

— Nie zawracaj sobie głowy tymi kobiecymi ciuszkami — powiedział Ray. — Ona ma mieć jakość!

— Hej, sekundę — wybuchnęła Benita. — Tylko dlatego, że są dla kobiet, oznacza, iż jakość...

— Tak — szowinistyczne stwierdzenie, prawda? Ale to prawda i z tobą nam się udało. Jesteś taka mała, że możemy wziąć dla ciebie ciepłą bieliznę dla chłopców, a producenci mający olej w głowie, robią ją najlepszą i najporządniejszą dla chłopców. Zobaczmy tamte koszule, Bob.

Skończyło się na tym, że wzięła też chłopięce koszule — kilka, plus ładny płaszcz podróżny, ale była dumna i blada z pięknej marynarki w szkocką kratę Pendletona. Nawet najmniejszy męski rozmiar był odrobinę za duży, ale nie mogła się oprzeć.

— I jest bosko ciepła... prawdę mówiąc, tu w środku, jest w niej gorąco! — Wręczyła ją Bobowi Walderowi — Nie pozwól mu, żeby wpłynął na zmianę mojej decyzji. Kocham ją.

Zajął to jeszcze dwie godziny, podczas których Bob kilka razy napomknął, że jego kolega — który pogardliwie wzruszył ramionami, gdy mała, piękna kobieta weszła do sklepu i poprosiła o pomoc przy zakupach — teraz pluł sobie w brodę na zapleczu.

— Tom uważa, że kobiety nie powinny wyruszać na wyprawy — tudzież używać rzeczy, które pani kupuje. Przynajmniej mi pani, że powie o co chodzi w tym wszystkim? Chciałbym utrzymać mu nosa... poza tym, musi cierpieć, że to nie on sprzedał te wszystkie rzeczy!

Gdy zaopatrzyli się już we wszystko i Benita odwróciła spojrzenie od tej niezmierzonej masy, wyciągnęła rękę, by podziękować pomagającemu im młodemu mężczyźnie.

— Jeszcze bez pożegnań — powiedział Ray, udając zaszokowanego. — Teraz potrzebujemy sprzętu! Czy mógłbyś nam pomóc przy wybieraniu takich rzeczy jak noże i wędkę, Bob... Czy musimy zwrócić się do kogoś innego? Wolelibyśmy ciebie. Myślę, że wiesz, o co nam chodzi.

Bob porozmawiał chwilę ze swoim przełożonym i wrócił uśmiechając się: — Tony pozwala mi na to, co nazywa obieganiem sklepu. — Skłonił się każdemu z nich — Więc, jestem na wasze rozkazy — wszystko od kompasu...

— O którym zapomniałem! — westchnął Ray.

— Do latarki na rękę, która czasami ratuje życie! Cokolwiek chcecie zobaczyć w Centrum Handlowym Bar-

ringtona... tylko zapytajcie. Chcecie zacząć od noży? Zanim pokażę wam co Camillus robi z mniejszymi, pozwólcie, że pokażę wam Kumpla Leśnego Człowieka.

— To taka... zabawna nazwa — powiedziała Benita — Mam nadzieję, że nie jest to jakiś gadżet. Zawsze wpadam w tarapaty z gadżetami. Gdy każdy ośmiolatek potrafi czegoś użyć, tego prawie dwudziestodwulatek nie potrafi!

Ray roześmiał się. — Nazwa może być zabawna, jak powiedziałaś, ale jest niezwykle użyteczny i nie wysłałbym cię bez niego.

Bob wręczył jej Kumpla Leśnego Człowieka, by się mu przyjrzała. — Niech pani zwróci uwagę, że ma wygodny trzonek, sierp i ostrze w kształcie łopaty. Wie pani, mój przyjaciel mówi, że przydaje się do wszystkiego koło domu czy obozowiska. Mówi, że jest to jak połączenie siekiery, sierpu i maczety... a to oznacza wielkie ułatwienie! Możesz ścinać zarośla, robić ścieżki i pewnie mnóstwo innych rzeczy, które mi nawet nie przyszły do głowy.

— Robert — powiedział z powagą Ray — jak po wiedział bramkarz do napastnika... nie strzelaj następnego gola, przekonałeś mnie! Zobaczmy teraz tamte mniejsze noże i to powinno być na tyle, jeśli chodzi o ten dział.

Bob wystawił rząd noży, by się im przyjrzeni.

— Dobrze... jeśli masz porządne noże, nie potrzebuje ich Bóg wie ile. Proszę wybrać, panno Hubbell, a potem rozglądniemy się za kompasami i latarniami i innymi tego typu rzeczami.

Dom towarowy był już od dziesięciu minut zamknięty, gdy Ray odszukał swój samochód — a zawsze musiał go odszukiwać — i podjechał na tyły, żeby załadować do niego zakupy. Załadowali obydwaj z Bobem wszystko, chociaż trzeba to było robić na siłę.

— Nareszcie! Wszystko gotowe... macie całkiem spory ładunek — zaśmiał się Bob. — A teraz, Ray i Ben, jeśli

mogę was nazywać tak, jak wy do siebie mówicie... to gdzie się dama wybiera, że potrzebuje tego rodzaju konfekcji? Wyeliminowaliśmy Biegun Północny i Alaskę i domyślam się, że pozostaje jedynie Grenlandia.

— Jeszcze jedno „nie-całkiem” — powiedział Ray. Już siedział za kierownicą. — Zamierza spędzić zimę w samym sercu Nowej Fundlandii... i jakby powiedziała moja córka, bierze cię to?

Bob potrząsnął swoimi rudawoblond włosami i uśmiechnął się; — No, no... zimne miejsce! Ale powiem ci coś... może jest mała, ale założę się, że sobie poradzi.

Benita pochyliła się, by przesłać mu uśmiech nad brzuchem Raya. — Dzięki. Potrzebne mi są wszystkie głosy wyrażające pewność, jakie mogę zdobyć!

Pomachał im ręką. — Wyślij kartkę, jeśli możesz! Nadal bardzo mi zależy na utarci Tomowi nosa!

Benita oparła głowę o siedzenie, podczas gdy Ray podjął wezwanie, jakie zawsze trzeba podjąć w godzinie szczytu w mieście. Co to był za dzień! Zmęczenie czuła aż po koniuszki palców u stóp, stóp, które wkrótce okryje tymi skarpetami, ocieplanymi gęsim puchem, zdała sobie sprawę. Ale wykonali plan na ten dzień. Prawie zabrakło miejsca w furgonetce Raya dla tych wszystkich rzeczy, które kupili.

Było to tak, jakby Ray płynął na tej samej co ona fali.

— I oczywiście, musisz zaopatrzyć się w te wszystkie dodatkowe rzeczy — kobiece fatałaszki i wszystko inne, co mogłoby być ci potrzebne.

— Kobiece fatałaszki? — Wyprostowała się na siedzeniu i popatrzyła na niego.

— Miła panno... tam gdzie się wybierasz, niewiele osób będzie wiedziało, czy poszminkowałaś usta, albo czy masz ładną fryzurę... ale ty będziesz to wiedziała, zatem mam na myśli te rzeczy... w porządku? A jeśli chodzi

o inne sprawy — dobry, solidny szlafrok, na pewno nie z tych plisowanych, małe radio, magnetofon, lornetkę — aha, to już kupiliśmy — w każdym razie parę jeszcze rzeczy, żeby już mieć wszystko! I mam jeszcze jedną propozycję.

— No mów... wiesz, że jesteś moją encyklopedią!

— Weź ze sobą dziennik i zapisuj w nim każdy dzień i weź parę dobrych książek — jak na przykład dzieła zebrane Szekspira, takich, które można czytać przez długi czas.

— Jeszcze coś?

Myślał przez chwilę. — Nie musisz martwić się o jeźdzenie i temu podobne, bo można to kupić na miejscu... ale cieszy mnie, że dołączyliśmy ten mały piecyk Cole-mana. Wiem, że tam jest piec gazowy, ale te rzeczy czasami się psują.

— Jeszcze coś — powtórzył. — Nic na razie nie przychodzi mi do głowy — choć coś z pewnością mi się jeszcze przypomni — nic oprócz twoich oczu, uszu i chęci, żeby coś *zyskać!*

— Hmm, coś zyskam, zgodnie z opinią naszego drogiego wydawcy, Linka, jeśli mogę...

— Znam opinię Linka, moja droga, a także znam jego nastawienie! Jeśli mam na myśli jakiś zysk, to tylko duchowy i edukacyjny! Czy brzmi to wapniacko? Nie chciałem, by tak było... ale jeśli o mnie chodzi, masz szansę się czegoś nauczyć i odnowić się! Nie żebyś była w takim opłakanym stanie, w wieku dwudziestu dwu lat, ale my wszyscy, gdy już jesteśmy dorośli, potrzebujemy duchowego i mentalnego oczyszczenia. To pozwala nam żyć.

— Jesteś filozofem, Raymondzie!

— Niezupełnie. Jestem jedynie pięćdziesięcioczworoletnim mężczyzną, który od czasu do czasu potrzebuje

odnowy, a także tym, który wierzy, że wielka przestrzeń jest najlepszym do tego miejscem!

Roześmiała się i pomyślała o wydawcy. — Zgadzam się z tobą, ale Link powiedziałby, że knajpa Meagana daje znacznie więcej satysfakcji.

— Alkohol — odpowiedział poważnie Ray — ma swoje miejsce w hierarchii rzeczy — w umiarkowanych ilościach, ale w porównaniu ze srebrną brzozą czy stalowo-głowym pstrągiem, pozostaje grubo z tyłu... a przyrównany z jeziorem o zachodzie słońca... całkiem traci!

Benita odwróciła głowę i patrzyła z podziwem na załadowany po brzegi tył. — Co my z tym wszystkim zrobimy? W żadnym wypadku nie zmieściłabym nawet połowy z tego w moim mieszkanku sześć na sześć!

— Nawet nie przypuszczałem, że mogłabyś. Nie zauważyłaś, że jedziemy za miasto? Mieszkam dwadzieścia mil na północ od tej zadymionej i zanieczyszczonej stolicy świata, moja droga, i zrobimy dwie rzeczy, gdy tam się znajdziemy... obawiasz się, że cię uwodzę?

— Ray! Co zrobimy?

Wyszczerzył zęby w uśmiechu. — Zjemy sobie nadzwyczajny kotlet mielony i pieczone ziemniaki, przygotowane przez Margaret... plus moja sałatka, jako dodatek do karty... i umieścimy to wszystko w mojej szopie.

— Och, co za ulga! Przygotowałam się na otwarcie puszki ze spaghetti, z filiżanką słabej kawy i zamierzałam nazwać to posiłkiem. Ray... czy Margaret się mnie spodziewa?

Margaret stała w drzwiach, machając ręką, gdy wjeżdżali na podjazd. — Spóźniliście się! Dokładnie tak, jak podejrzewałam! *Rzeczywiście* wykupiliście przynajmniej jeden dom towarowy i myślę, że prawdopodobnie będziecie musieli wykonać jeszcze jedną rundę. Młody człowiek, o imieniu Bob, dzwonił i prosił, by zapytać was, czy

zastanawiałaś się nad kupnem mini-magnetofonu. Jeśli tak, to masz do niego zadzwonić.

Benita wyskoczyła z samochodu i uściskała Marga-ret — *Mini?* Nigdy nawet o takim nie słyszałam!

Margaret roześmiała się rozbrajająco. — Ja też nie, ale powiedział mi, że wymyślił go jakiś misjonarz... żeby było śmieszniej! Jest wielkości mniej więcej pudełka papierosów, „kasety” są wielkości jednego papierosa, a w schowku mieści się ich równy tuzin. Brzmi super... ale, ma się rozumieć, nigdy nie będę niczego takiego potrzebowała. Chyba że Ray straci głos, zawsze mnie zagaduje, kiedy jest w domu. Nie potrzebuję muzyki! Wzięła Benitę za rękę. — Wejdz do środka, kochana. Umieram z ciekawości, by usłyszeć wszystko o twoich planach.

Jako że z powrotem do dżungli, jak Ray zawsze nazywał miasto, był kawałek drogi, Benita spędziła noc u Claytonów i pojechała z Rayem rano. Mało miała czasu na opowiadanie komukolwiek o swoich przygotowaniach, ponieważ większość dnia spędziła robiąc wywiad ze sławną kobietą-podróżnikiem. Zależało jej, by wykonać to zadanie, dobrze jako że tylko dzięki jej ciąglemu przynaglaniu i naciskom, Lincoln Hamilton Graves ustąpił i pozwolił jej na ten wywiad. Link miał jednoznaczne poglądy na temat kobiet i był całkowicie niezdolny zrozumieć kobietę, która przedzierała się przez dżungle czy zdobywała pustynie... tak jak robiłby to mężczyzna. Ale w końcu, nigdy nie spotkał Pamelę Darmon, a Benita miała ugruntowane przecucie — tak mocno ugruntowane, jak to, które miał Link — że *bardzo* kiepsko by się ze sobą dogadywali!

Zadzwoniła do Raya, tylko po to, by powiedzieć mu, temu swojemu wiecznie gotowemu jej pomagać przyjacielowi, że oglądała mini-magnetofon i zakupiła go, następnie przedarła się do metra i wróciła do swoje-

go małego mieszkańka. To był długi dzień. Wywiad udał się nadzwyczajnie i zdjęcia powinny wyjść dobrze... ale dwa wyczerpujące dni pod rząd i była gotowa zainkasować forszę i nawet obyć się bez kolacji. Była cała obolała.

Ale nie dane jej było wałać się do łóżka, czy choćby pójść do wanny, o której zaczęła myśleć. W chwili, gdy znalazła się w westybulu — zawsze tak nazywanym — pani Dixton wybiegła z małego mieszkańka po lewej stronie schodów, uniosła swoją władcą głowę i głośno odkaszlnęła, w taki sposób, by przywołać uwagę.

— Dobrze, że w końcu widzę panią w domu!

— Ubiegłą noc spędziłam u przyjaciół. — Benita ruszyła schodami na trzecie piętro.

Pani Dixton była tuż za nią, szurając swoimi starymi jak świat bamboszami tak szybko, jak tylko mogła, żeby dotrzymać jej kroku. Benita wiedziała, że jest za jej plecami, ale miała nadzieję, że jeśli wejdzie szybko do środka, być może uda się jej tamtą przechytryć.

Miała próżne nadzieje. Gdy obróciła się, by z uśmiechem wypowiedzieć pożegnalne dobranoc gospodyni, ta miła kobieta prześlizgnęła się obok niej i opadła na kanapę.

— Proszę na drugi raz nie wychodzić na całą noc — podała do wiadomości.

— Nie wychodziłam na całą noc. — Benita rzuciła byle jak swój płaszcz. — Byłam u... mojej cioci Margaret, za miastem. Polubiłaby pani ciocię. Jest taką miłą, towarzyską duszą.

Pani Dixton troszkę się rozchmurzyła. Sama się uznawała za towarzyską. Nikt, jak dotychczas, nie śmiał powiedzieć jej, że towarzyskość nie oznacza prawa do wtykania nosa w cudze sprawy.

— To miło, kochana... ale muszę cię o coś spytać! Słyszałam, jak ta dziewczyna Terry, z mieszkania pod

szóstką, mówiła, że ty wkrótce nas opuszczasz. Mój Boże, czy się pani tu nie podoba?

— Zamierzałam zejść rano i powiadomić panią z trzydziestodniowym wyprzedzeniem. Przykro mi, że musiała sobie pani zadać trud, żeby tu przyjść.

Przykro! Było jej ogólnie przykro. Umierała z tęsknoty za kąpielą, a nawet grzanka z serem i filiżanką herbaty brzmiała zachęcająco, ale pani Dixton nie wykazywała żadnej chęci wyjścia.

— Co się stało? — Słysząc było w jej głosie przebiegłe zawrodożenie. — Już nie lubi pani swojej pracy?

— To właśnie ma związek z moją pracą — Benita chciała na tym poprzestać. Im mniej się powie, tym lepiej.

— Och, ma, prawda? — Gospodyni zmarszczyła brwi, jej podłużna, szczupła twarz wyglądała jak pysk zmarłego konia. — Ma związek z pani pracą? Co się stało? Pani z nich zrezygnowała, czy oni zdecydowali się skończyć i wyrzucili panią?

Benita w końcu usiadła. Było trudniej, niż sobie wyobrażała. Pani Dixton „okopała się” na długą wizytę.

— Nie, pani Dixton, nie wyrzucili mnie! To akurat ma związek ze specjalnym zleceniem.

Pani Dixton mocno nad tym myślała — kilka dobrych minut. — Ha, specjalne zlecenie! Nie rozumiem, dlaczego miałoby dać pani specjalne zlecenie. Przede wszystkim, wydaje mi się zabawne, że jakakolwiek dziewczyna chce pracować dla starego łowieckiego magazynu! Co z panią, Benito? Czy pani mama nie wychowała panią tak, by wiedziała pani, co kobiety powinny robić?

— Moja matka umarła, gdy miałam siedem lat — powiedziała cicho Benita — ale moja babcia wychowała mnie, bym myślała, że kobieta powinna robić to, w czym się spełnia.

— Cokolwiek miałyby to znaczyć! W każdym razie,

nie miała racji. Kobieta ma sprzątać gotować i... pisać o polowaniach! Po co, mała dziewczynka nie powinna nic wiedzieć o strzelbach.

Benita doszła do kresu wytrzymałości. — Nie jestem już „małą dziewczynką” — powiedziała, ale dodała do tego uśmiech — i potrafię posługiwać się bronią, tak samo dobrze, jak większość ludzi, którzy mieszkają w tym kraju... i również dobrze gotuję. A co do mojego magazynu, pani Dixton. *Wild Country* stawia łowiectwo na drugim miejscu! Interesuje nas przestrzeń, ptaki i zwierzęta i sporty rekreacyjne... w miejscach takich jak Border Water Canoe Area i Snake River Canyon... i Grand Tetons!

Pani Dixton skinęła zdecydowanie głową. Miała absolutną rację: — Dokładnie, jak powiedziałam... męska robota, co do joty! Hmm, muszę iść na dół i przysposobić Hermanowi jakąś kolację — zachichotała — Herman nie potrafiłby ugotować, gdyby nawet musiał.

Benita oparła się o drzwi i wreszcie pozwoliła sobie na westchnięcie. Kilka chwil z panią Dixton było jak dwadzieścia z King Kongiem, była tego pewna!

Wyciągnęła pakowaną porcję obiadową z małej lodówki i wsadziła ją do kuchenki, a potem poszła i przygotowała sobie kąpiel. W lustrze widziała swoją zmęczoną twarz i to sprawiło, że zaczęła się zastanawiać, czy Ray ma rację. Czy ten czas spędzony w Nowej Fundlandii wygładzi te zmęczone linie? Czy wróci do domu odświeżona?

Telefon zadzwonił właśnie, gdy wychodziła z wanny i pomyślała, że to miło z jego strony.

— Link przy telefonie — oznajmił jej wydawca. — Właśnie przeczytałem twój brudnopis o tej Darmon. Bardzo dobre i zdjęcia Pete'a są niezłe.

Benita zawinęła się szczelniej w szlafrok. Była nadal mokra po kąpieli. — Lincoln! Nie zadzwoniłeś do mnie

tylko po to, by pochwalić moją pracę... i przez przypadek, jeśli już chwalisz, czy mógłbyś to robić przed całym zespołem... tak jak to robisz, gdy ganisz za coś?

Roześmiał się. — O.K., więc jestem *numero uno* między szowinistami! Przynajmniej ci przyznałem, że jest dobre! Nie, zadzwoniłem po to, by ci powiedzieć, że zadzwonił do mnie facet z Nowej Fundlandii i że chata jest sprządana i przygotowują dla ciebie zapasy, a to oznacza...

— Dałam już dziś wieczór trzydziestodniowe wymówienie.

— Dobrze. Zatem, wylatujesz za trzydzieści dni... a ja przejdę na moją dietę!

— Link, już teraz jesteś chudy jak tyka! Po co ci dieta?

Znów słyhać było chichot. — Naprawdę, Ben, potrzebujesz się pytać? Gdy skończy się twój „czas na szlaku”, chcę być gotów na zjedzenie tego obiadu ze stekiem... podczas gdy ty opowiesz światu w jak wielkim byłś błędzie!

— A jeśli nie jestem w błędzie?

— Utrzesz mi nosa!

2

Benita powędrowała do kuchni i włączyła palnik pod czajnikiem. Po pani Dixton, a potem po telefonie od Linka, czuła, że zasłużyła na filiżankę herbaty.

Natrzeć mu nosa, powiedział. Hmm, tak jak temu i znajomemu młodego Boba, Tomowi, który razem z nim sprzedaje w sklepie turystycznym.

A Link wciąż podkreśla, że nie będzie w stanie tego uczynić tak, żeby nie było żadnych wątpliwości.

— Czy nie chcesz mieć kiedyś domu... i męża? Czy musisz coś udowodnić?

Nalała gorącą wodę do filiżanki i zanurzyła bezmyślnie torebkę z herbatą. Czy musiała coś udowodnić? Jeśli o to chodzi, to tak i nie, jedynie po to, by utorować sobie drogę do „świata mężczyzn”. Musiała udowodnić, że ona, Benita Joyce Hubbell, może zrobić to, co zamierzyła.

Nie żeby nie miała jakichś opinii na temat „kobiecych robót” i co składa się na „świat mężczyzn”. Miała je oczywiście, ale kładła nacisk na pewne rzeczy i nacisk padał na słowo „równy”. Po prostu niech jej będzie dane — jej, czy jakiegokolwiek innej kobiecie, która chce wykonywać tego typu pracę — równa szansa... a może nawet trochę jednakowej nagrody, żeby zadośćuczynić za nierówną krytykę, pomyślała.

Zwinęła się w kłębek na dużym krześle, które zdawało się zajmować większą część jej maleńkiego pokoju wypoczynkowego i myślała o drugiej części wypowiedzi Linka, dobrze jej znanej — czy nie chce domu... i męża? Ależ oczywiście, chce! Ale jeśli już się taki trafi — a z pewnością jeszcze na takiego nie natrafiła — musi to być ktoś, kto dałby jej tyle szczęścia, że stałby się dla niej całym jej życiem. Jej babcia żyła w takim związku, toteż ona nie zgodziłaby się na coś gorszego!

A teraz, pomyślała, śmiejąc się w duszy sama z siebie, doszliśmy do sedna sprawy — miłość. Była bardzo towarzyska w czasach szkolnych, nawet parę razy była odrobinę zakochana, ale nikt nie potrzebował jej mówić, że jeszcze nie spotkała miłości, tej pisanej dużymi literami i to doprawdy zmuszało ją do myślenia. Dawała sobie radę. Robiła dobrą robotę — nawet jeśli Link działał jej czasami na nerwy... Czy rozpoznałaby miłość, czy też tak byłaby pochłonięta swoją pracą, że przesłaby obok niej niezauważona?

— Nie, jeśli przyjdzie właściwe uczucie — powiedziała i zdała sobie, zaskoczona, sprawę z tego, że wypowiedziała to na głos.

Hmm, może to zasługuje na to, by być wypowiedziane na głos, ponieważ taka jest prawda. Właściwe uczucie, uczucie, które, wiedziała, ogarnie ją jak burza i zatrzyma na zawsze... takiego nie ominiesz!

Zerknęła przez ramię na swój solidny, mały zegar. Do licha! Zdawało się jej, że jest druga rano, a było zaledwie kwadrans po dziewiątej. Hmm, może powinna pójść spać. W końcu następnego dnia miała milion rzeczy do zrobienia...

A każda z nich będzie ją przybliżała do tego specjalnego zadania, pomyślała, specjalnego i fascynującego zadania, które zaprowadzi ją do Nowej Fundlandii.

Pamiętała bardzo dokładnie ten ranek, gdy ta sprawa miała miejsce, niespełna tydzień temu. Milt Shannon szturmował drzwi chcąc być jak najszybciej w szpitalu, by zdążyć na narodziny swego drugiego dziecka. Gdy gonił przez tę część biura, gdzie ona pracowała, wbiegł na sekundę do jej boksu.

— Ben... najukochańsza, czy mogłabyś to dla mnie sprawdzić? Piszę na maszynie jak słoń jeździ na nartach, a Link chce to mieć natychmiast! Rzucił pośpieszne spojrzenie na zegarek. — A Janet potrzebuje mnie teraz... więc mogłabyś? Będę twoim dłużnikiem do grobowej deski i...

— Milt... jedź do Janet, dobrze? Sprawdź to.

Milt wiedział, jak posługiwać się słowem. Gdy pisał o rzece Hudson, można było słyszeć holowniki, czuć niemalże wodę — mimo, że nadal zanieczyszczoną; a kiedy szkicował miejsca gniazdowania dużych żurawi, było to tak, jakby się stało za nim w kryjówce, trzęsąc się pod wpływem porannego chłodu, gdy ogromne ptaki zaczynały taniec godowy. Benita cieszyła się, że będzie mogła przeczytać ten artykuł — - nieważne na jaki był temat — zatem pobiegła, by przynieść sobie filiżankę kawy. Dobry tekst wymagał dobrej kawy, a sama ją tego ranka robiła, więc wiedziała, że nadaje się do picia.

-- Zobaczmy teraz — wymamrotała. — Hej, naprawdę dobry tytuł — *Nowa Fundlandia, nieoszlifowany brylant Północy!* Skinęła głową. — Wygląda, że może być interesujące.

Prawie po godzinie, zaczynała swoją trzecią rundę z artykułem Milta. Dawno wynotowała parę błędów i sprawdziła je, a teraz zwyczajnie zachłystywała się treścią, marząc z całych sił, że może kiedyś nadejdzie dzień, że będzie jej dane zobaczyć to wspaniałe miejsce.

Czuła, jakby Milt prawie ją tam zabrał, na ten nowo odkryty ląd, który John Cabot zobaczył po raz pierwszy

w 1497. Mogła zobaczyć oczyma duszy te skaliste, nieprzyjazne brzegi, wystające dumnie w szarościach Atlantyku. Mogła niemalże zobaczyć malutkie wioski rybackie, zatoki, półwyspy, jeziora i góry.

Przeczytała jeszcze kawałek i zaczerpnęła głęboko powietrza. Było tak, jakby wokół niej rozciągał się wielki, pachnący bór z balsamicznymi jodłami i świerkami, jedno i drugie czarno-białe, jakby mogła widzieć lekko wzburzone wody Atlantyku z mewami i rybołówkami krążącymi nad nimi i może z nurem goniącym po grzbietach fal.

— Brzmi to po prostu pięknie — westchnęła. — Myśleć o tym — dzikim, przecudnym łądzie z łosiami i bobrami...

— Czy dobrze się czujesz? — Lincoln Graves wsunął swoją ciemną głowę do jej boksu.

— I ludzie żeglujący jak ich dziadowie!

Link wysunął się zza rogu i przyglądał się jej. — Oczywiście jestem jedynie wydawcą, panno dziennikarko, ale co do licha, porabiasz, siedząc tu i mrużąc o... czy powiedziałaś: — Łoś?

— I ryby... takie jak łosoś i pstrąg i...

— Ben... obudź się! Co spowodowało ten atak?

Przesunęła w jego stronę artykuł. — Milt poprosił mnie o szybkie przejrzanie i to jest zachwycające, Link! Nowa Fundlandia zdaje się być jednym z najbardziej fascynujących miejsc na świecie.

Przejrzał pobieżnie artykuł. — Tak, dzieciak potrafi pisać ...a to prowadzi nas znów do ciebie! Czy nie miałaś zająć się błotnistą okolicą w południowej Florydzie... czy zamierzałaś spędzić cały dzień siedząc tu, myśląc o łosiach?

— Myślę, że jest to ekscytujące!

— Ekscytujące.— zawtórował i po raz któryś z kolei przeszedł na swój ulubiony temat. — Wiesz, czasami — *marzę* o czasach, gdy nie mieliśmy w redakcji żadnej przedstawicielki płci żeńskiej.

— Przedstawicielka płci żeńskiej — odpowiedziała z dumą Benita — pochodzi od brytyjskiej szlachty. Dziękuję ci, Link... ale zanim podejmiesz drugi temat, pamiętaj, że zdobyłam tę pracę ze względu na moje kwalifikacje i to ty mnie wybrałeś.

— Wracając do dawnych dobrych czasów — kontynuował Link — nowy członek redakcji umiał więcej, niż to, co mógł mu dać jedynie stopień z college'u... nawet jeśli zdobył go z zoologii! Na Boga, musieliśmy wiedzieć coś na temat życia w dziczy, inaczej by nas nie zatrudniono!

— A co sprawia, że jesteś taki pewien, iż ja nie wiem nic na temat życia w dziczy, jeśli mogę spytać? - Nigdy tego wcześniej nie i zaczęła być trochę wkurzona.

— Daj spokój... dziewczyna z college'u, taka jak ty. Mogę się założyć...

— Przegrałbyś — warknęła. — Dla twojej wiadomości, Lincoln, urodziłam się w Montanie i wychowałam na ranchu w Albercie i czy chcesz wiedzieć, kto wykonywał większość robót po śmierci mojego dziadka? Moja babcia i ja... oto kto! Nauczyłam się wszystkiego o zwierzętach, drzewach, jak siać pszenicę, jak złapać pstrąga... jak brnąć po uszy przez śnieg, jedynie po to, by się dostać do szkoły! Te pagórki tam, gdzie mieszkałam, to były góry i mieliśmy parę zimnych, groźnych zim i sporo się wtedy nauczyłam.

Dla odmiany, rzeczywiście tego słuchał. — Czy kiedykolwiek byłaś jakiś czas w dzikim terenie?

— Prawdziwie dzikim? Masz na myśli miejsce, gdzie nikogo nie ma? Tylko podczas paru wypraw w canoe i w czasie podróży, którą ja i dziadek odbyliśmy w Terytorium Północno-Zachodnim. Dlaczego?

Oparł się o drzwi i wyglądał na bardzo zamyślonego. — W lecie, prawda? Hmm, pozwól, że cię o coś zapytam — uważasz, że Nowa Fundlandia jest zachwycająca? Jest!

Ale czy sądzisz, że mogłabyś przeżyć tam choćby jedną zimę?

— Czy byłaby dużo gorsza od zimy na prerii?

— Zima na prerii w twoim własnym domu, z kimś kogo kochasz ...mogłaby być dużo gorsza! Czasami bywa sześćdziesiąt stopni w tym kącie starego rancza, kochanie, i może Milton zapomniał nadmienić — mogłoby to zniechęcić niektórych — ale dobry Bóg spuszcza tam w niektórych częściach tej prowincji ponad sto cali śniegu. — Wyszczrzył do niej zęby w uśmiechu. — Nadal brzmi jak niebo na ziemi?

— Czy ty byś sobie dał radę?

, — Udało mi się... gdy byłem młodszy i głupszy! Ale ja się ciebie pytam, czy ty byś to zrobiła? Widzisz, pytam się ciebie, chcąc zaprowadzić cię ciałem w miejsce, o którym słyszałaś... Mam na myśli, czy zrobiłabyś to, co nowy członek zespołu musiałby może zrobić dwadzieścia lat temu — mężczyzna, znaczy się — udać się w zupełną dzicz!

— To znaczy... całkiem samemu?

— Nie... weź ze sobą nowojorską policję... oczywiście, że samemu! Nie zamierzam cię zniechęcić Ben, ale to prawda. Dwadzieścia lat temu, ktoś, kto wykazałby takie zainteresowanie miejscem, które nie jest uczęszczane przez turystów i nie jest rozreklamowane, znalazłby się w pierwszym samolocie odlatującym w tamtym kierunku! Właśnie się zastanawiałem, co ty byś zrobiła, gdybyś się znalazła w takiej sytuacji.

Pomyślała o tym przez chwilę. — Najpierw, pozwól, że zadam ci pytanie. A co myślisz, że zrobiłabym, gdybym, powiedzmy, została umieszczona gdzieś w środku nowofundlandzkiej zimy? Bądź szczerzy!

Wyszczrzył zęby w uśmiechu. — Zawsze prawie jestem, i zaraz ci odpowiem. Myślę, że zamarzałabyś, a potem znalazłabyś wymówkę, by wrócić do domu. Ale powiem ci

coś... gdybyś nie była kobietą, to już teraz kupowałabyś potrzebny sprzęt!

Wstała i podeszła, żeby popatrzeć z odpowiedniej odległości na jego niedostępną, poważną twarz.

— Czy uważasz, że to jest następny obszar, który całkowicie należy do mężczyzn, „wielki wydawco”?

— Dokładnie tak, skromna dziennikarko! To nie jest teren dla kobiet... próbować przetrwać w dziczy!

— Jednakże, chciałabym mieć szansę spróbować.

Cofnął się i uważnie się jej przyjrzał. — Czy rzeczywiście tak myślisz? Naprawdę byś tam pojechała, tylko po to, by mi udowodnić, że kobieta potrafi to zrobić równie dobrze jak mężczyzna?

— Pojadę, by ci coś udowodnić, ale nie to! — wybuchnęła. — Pojadę, żeby udowodnić, że jestem równie dobra w pisaniu, równie dobrym członkiem tego zespołu, jak myślałeś, gdy mnie przyjmowałeś.

— Ben... uwielbiam cię — i nie skocz na mnie, że nigdy tego nie mówię Miltowi czy Rayowi, ponieważ masz rację — założę się o miesięczne pobory, że musiałabyś się wycofać. A jeśli o to chodzi, większość mężczyzn też by musiało! Tam jest zimno, a bycie tam gdzieś w chacie, na odludziu nie pomaga raczej na pozbycie się ponurych nastrojów. Może też doskwierać samotność.

— A możesz też poczuć się lepiej i da ci to okazję do pomyślenia o życiu... a kto tam myśli?

— No chodź, postawię ci kawę. — Ruszył w stronę stołu z kawą. — Ale nie kłóćmy się już więcej, dobrze?

Nalała kawę i podała mu filiżankę. — Dobra myśl... ale pozwól, że cię o coś zapytam. Czy jest szansa, że gazeta pokryje wydatki, jeśli pojadę do Nowej Fundlandii i spróbuję spędzić tam zimę?

— Jeśli proponujesz — odpowiedział Link — oto moja oferta. Wyposażymy cię — we wszystko i jeszcze

więcej — i spędzisz w Nowej Fundlandii czas od listopada do marca... stoi?

— Ma się rozumieć!

— Nie bądź taka szybka. Posłuchaj drugiej części mojego wyzwania! Jeśli uda ci się przetrwać, to zrobimy serię artykułów sygnowanych twoim nazwiskiem i przyznam, że ci się udało, ale jeśli nie, to zgodzisz się na to, co my ci zaszerwujemy... również na piśmie! No to umowa stoi?

— Stoi, i masz szczęście, że jestem ugodowa i miła, bo większość kobiet należałoby na sprawdzenie, ilu mężczyzn nie potrafiło przetrwać tych nowofundlandzkich zim... i mogłoby skorzystać z tej informacji w tych artykułach!

— Wiesz doprawdy jak zranić wydawcę, nieprawdaż?

— Oto kolejny cios! — Podsunęła krzesło do małego stolika i usiadła obok niego. — Powiedz mi, wszechwiedzący, jak zamierzasz stworzyć z niczego chatę na pustkowiu i dostarczyć mnie tam do pierwszego listopada? To już niedługo!

Do południa wszyscy członkowie zespołu słyszeli, że „Benita może wybiera się do Nowej Fundlandii” i gdy Link wyłonił się z biura około czwartej, wiedzieli na pewno, przede wszystkim dlatego, że oznajmił to na cały głos.

— W porządku — wrzeszczał — gdzie jest ta mała panna, która chce spędzić zimę w Nowej Fundlandii! — A kiedy Benita wytknęła głowę ze swego biura, wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu: — Aha... oto jest! Lepiej zacznij się pakować. Jukon, Ben... umowa stoi, to znaczy, jeśli jesteś... na tyle kobietą, żeby ją przyjąć!

Gdy przelatywała to pamięcią, Benita stwierdziła, że osobiście była odpowiedzialna za ten natychmiastowy zjazd całego szanującego się wydawnictwa w stronę jaskini gier hazardowych... jak to ujął Ray Clayton. I gdy się to

przemysłało, miał w pewnym sensie rację. Od chwili, gdy Link rzucił jej w twarz rękawicę — ujmując to w ten sposób — w całym biurze huczało jak w ulu i przynajmniej sześciu ludzi przyjmowało zakłady, od tych czy wyjedzie czy nie, do tych jak długo wytrwa, jeśli by tam dotarła.

Osobiście nie bardzo ją to martwiło. Przyjęła wyzwanie i koniec... ale doznała kilka szoków i była też rozbawiona dowiedziawszy się, kto jest po czyjej stronie!

Jeśli chodzi o mężczyzn, było około sześćdziesiąt do czterdziestu, gdy już wszystko podliczono. Nie było to od razu widoczne, ponieważ Ray tak dzielnie za nią stawał, że robił więcej hałasu niż jej wrogowie.

Ale zdziwiły ją kobiety. Jedyne kobiety, które oprócz niej pracowały dla *Wild Country* to były obie sekretarki, Jean Cardman, leciutko zaokrąglona, raczej konserwatywna matka trojga dzieci i Lisi Vance, która była bardzo nowoczesna i którą trzymano jak najdalej od Linka przez większość czasu, ponieważ wszyscy pozostali wiedzieli, że jeśli Benita podnosiła mu, od czasu do czasu, ciśnienie krwi, to opinie Lisi sprawiłyby, że wyskoczyłby przez najbliższe okno.

Teraz, uzyskawszy te wiadomości, byłoby logicznie przypuszczać, iż Jean jest pewna, że się jej nie uda, a Lisi walczyłaby z każdym, kto ośmieliłby się coś podobnego zasugerować... tak? Absolutnie nie! Lisi była wstrząśnięta, wąpiąca, a nawet odnosiła się do całej sprawy z lekceważeniem... a Jean była całym sercem za.

— Na miły Bóg — chichotała Jean — czy nie właśnie to wy, młode kobiety, uważacie za takie ważne, Lisi? Móc wyjść i robić to, co naprawdę chcecie robić?

Duże oczy Lisi stały się jeszcze większe — jeśli to możliwe: — Jean, oczywiście jestem za tym, by kobiety mogły robić, co chcą, ale to jest idiotyczne, a ponadto niebezpieczne! Gdy myślę...

— Co zdarza się oczywiście rzadko — odpowiedziała zadowolona z siebie Jean. — Niebezpieczne, tak powiedziałeś? Nie powinno być raczej bardziej niebezpieczne niż te twoje eskapady po Greenwich Village we wczesnych godzinach porannych!

— Ale musisz przyznać, że to szaleństwo! Naprawdę — choć przyznaję to bardzo niechętnie — bardzo niewiele kobiet wie dostatecznie dużo na temat przetrwania na pustkowiu... i patrz na nią! Jest taka drobna. Nie będzie nawet w stanie znieść zimna!

Jean roześmiała się na to głośno. — Powiem ci coś, Lisi, moje dziecko, w samym środku jesteś jeszcze rzeczywiście całkiem naiwna, ponieważ opierasz całe swoje myślenie na tym co ty byś zrobiła! Przetrwać? Myślę, że Ben da sobie radę, na luzie... a przypościwszy, że nie da sobie rady, to i tak udałoby się jej to, co zamierzała i nie bała się spróbować.

Cała ta wymiana zdań miała miejsce w małej świetlicy, gdzie dwie szefowe podekscytowane były nie tylko tematem dyskusji ale i obecnością większej części zespołu wokół nich — ponieważ była to owa specjalna pora dnia, Piętnaście Minut. Trochę ponad rok temu, Link, którego męczyły przerwy na kawę robione co jakiś czas, zarządził Dziesięć Minut przerwy każdego popołudnia. To, jak wykazał Hank Ellis, nie wystarczało na partię brydża, więc zostało przedłużone do piętnastu; piętnaście minut, podczas których cały zespół odpoczywał, plotkował, pił kawę albo grał w karty. Ta przerwa była potrzebna — nawet telefony były wyłączone — i każdy wracał do rozpoczętej roboty w znacznie lepszym nastroju.

Ale to również znaczyło, że czasami gromadził się w świetlicy prawdziwy tłum, by porozmawiać o wszystkim, zaczynając od polityki a skończywszy na mrówkojadach, a mając oszałamiające wiadomości na temat Benity, nikt nie myślał o mrówkojadach.

Lisi otworzyła swoje piękne usta, by udzielić odpowiedzi, chociaż nie wyglądała już na taką pewną siebie, ale wtedy wtrącił się Ray Clayton, który przysłuchiwał się w milczeniu całej rozmowie.

— Zdaje mi się, że już jest ustalone, że pojedzie... tak? Więc myślę, że trzeba dograć kilka rzeczy, a jako że mamy naszego szacownego wydawcę wśród nas... dlaczego nie zrobić tego teraz? Pozwól, że cię o coś zapytam, Link... czy poprosiłbyś mężczyznę, by wyruszył na pustkowie bez jakiegokolwiek przygotowania? Nie, oczywiście, że nie, więc najlepiej dajmy takie same szanse kobiecie.

— Co to znaczy? — Link starał się zachować z odrobiną rezerwy.

— Znaczy to to samo, co zrobiłeś w przypadku Mil-ta, gdy ten pojechał do Południowej Ameryki, żeby zapoznać się z anakondami i prawie utonął w Amazonce. Wysłałeś go na najlepszy kurs szkoły przetrwania, dałeś najlepsze przygotowanie i najlepszy sprzęt, jaki można było kupić za pieniądze firmy. Czy dociera to do ciebie, Lincoln? Jeśli nie, pozwól mi wyjaśnić. Jedna z organizacji, zajmujących się dziką przyrodą, prowadzi szkołę przetrwania... na miejscu, mniej niż dziesięć przecznic stąd. A jeśli chodzi o sprzęt, zapasy, na których ty i niektórzy z nas się znają, z chęcią pomożemy w zakupach, za które, tak jak to było z Miltonem, zapłaci, ma się rozumieć, firma!

— Posłuchaj, Ray — zaczął Link, ale Ray zρέcznie mu przerwał:

— Posłucham, Link... ale żaden szanujący się magazyn nie wysłałby członka swojego zespołu na wykonanie potencjalnie niebezpiecznego zadania z nadzieją na to, że mu się nie powiedzie, prawda? A to znaczy, że my — każdy z nas — zrobimy wszystko, co w naszej mocy, by zapewnić sukces, jakbyśmy to zrobili dla kogo-

kolwiek innego — a to oznacza wszystko, od map po modlitwy, przyjacielu!

Link znów wydał stłumiony dźwięk gdzieś z samego środka.

— Cieszę się, że się ze mną zgadzasz — kontynuował Ray. — A teraz mam propozycję. Jako twój przyjaźnie nastawiony, będący pod ręką, tak zwany ekspert od obozowania i innych wyczerpujących czynności na świeżym powietrzu, służę kornie tej damie przy robieniu listy zakupów... i przy zapisywaniu się do miejscowej szkoły przetrwania. — Mam nadzieję, że nie mieszam się w twoje sprawy, Lincoln... ale oczywiście ty będziesz zajęty przygotowaniem chaty i wszystkiego!

Przez biuro przeszły plotki, że Lincoln Graves trzymał się z dala od wszystkich przez trzy dni i dopiero na piąty dzień każdemu, kogo spotkał, zamykał buzię.

— I to główny powód, dla którego trzymam za ciebie — Jean przesunęła się w kąt, tak by Benita mogła wyskoczyć z wozu i pobiec na zajęcia w szkole przetrwania. — Gdy Linkowi ktoś zdoła zamknąć na jakiś czas usta, miejcie się na baczności!

Benita schyliła się do okna: — Czy on naprawdę tak bardzo chce, żebym przegrała zakład?

Jean pomyślała przez chwilę. — Tak... i nie! Nie, potrzebuje cię, cennego członka zespołu, żebyś robiła dobrą robotę, ale głęboko w swojej całkowicie zorientowanej na mężczyzn, duszyczce, rzeczywiście ma nadzieję, że to nie dopuści kobiet na dłuższy czas... jeśli nie gdzie indziej, to przynajmniej w jakiegokolwiek dziedzinie związanej z dziką przyrodą — zarówno jeśli chodzi o gazetę jak i rzeczywistość! — Spojrzała na Benitę ze zrozumieniem w oczach. — Czy boisz się, Ben?

— Uczciwie? Tak jestem zajęta wmawianiem sobie, że

nie wzięłam na swoje barki zbyt wielkiego ciężaru, że nie miałam czasu, by się przestraszyć.

A to, myślała ponuro, gdy wbiegała do góry po schodach, nadejdzie, gdy będzie sama i dookoła niej nie będzie niczego, jedynie cisza odludzia.

3

Stopniowo dni zamieniały się w tygodnie. Październik zbliżał się ku końcowi, listopad majaczył w oddali i stopniowo Benita Hubbell zdobywała coraz więcej informacji, jak stawiać czoło trudnościom życia na pustkowiu. Nie miała żadnych złudzeń, że będzie on łatwe, ale z drugiej strony nie czuła, że będzie równe wyzwaniu, jakiemu musieli stawić czoła pionierzy na tych nie kończących się, smaganych wiatrem preriach, ponad sto lat temu.

Wzdrygnęła się, gdy pomyślała o tych odważnych śmiałkach, nieugiętych, zdeterminowanych przodkach ludzi, którzy teraz rozkoszują się lekkim życiem. Myślała o milczących, samowystarczalnych ludziach gór, samotnych traperach i zbzikowanych poszukiwaczach złota w śnieżnobiałej ciszy Alaski. Nie, nie sądziła, że mogłaby się zmierzyć... ale czy mogłaby? Wiele kobiet dało sobie radę pomimo trudności, o jakich współcześnie żyjący nawet nie śnili... i jeśli im udało się przetrwać, to i ona da sobie radę ze znacznie łatwiejszym zadaniem, które ją czeka.

Instruktor w szkole przetrwania nie był tego taki pewien. Prawdę powiedziawszy, podczas pierwszych trzech spotkań, specjalnie wyjaśniał jej wszystko po kilka razy,

kazał jej — jedynej kobiecie w szkole — robić wszystko tyle razy, aż osiągała perfekcję.

Było to wieczorem, w czasie czwartego spotkania, kiedy odgryzła się z nawiązką. Wyjaśniał różne rodzaje węzłów i rzucił jej *bez ostrzeżenia* sznur.

— O.K., maleńka, zawiąż mi węzeł... taki, żebym go nie mógł poluzować! — Przechylił się do tyłu, opierając się na stole i czekał, pewien, że po raz kolejny może mu posłużyć za przykład.

Benita uśmiechnęła się do niego. Stopniowo, przypominała sobie rzeczy, które babcia wbijała jej do głowy tyle lat temu... a wiązanie węzłów było babciną specjalnością. Przerzuciła sznur przez pierścień z twardej gumy, który dostała od niego, zawiązała raz, dwa razy i znów z powrotem, mocno pociągnęła... i podała mu.

— Tam skąd pochodzę... na preriach Alberty — po wiedziała półgłosem — często tego używamy. Nie wiem jak ty go nazywasz, ale moja babcia nazywała go uniwersalnym węzłem rybaka.

Wlepił w nią wzrok: — Tak... hmm, możemy przejść do...

Ale Benita się na to nie nabrała: — Może chciałbyś, bym pokazała węzeł tkacza, albo węzeł marynarski?

Podniósł obie ręce w geście pojednania: — Poddaję się! Prawdę mówiąc, może powinienem dać ci uczyć w czasie tego spotkania... powiedz mi, zadziwiająca kobieto, jak ci idzie z wysyłaniem sygnałów w razie niebezpieczeństwa?

— Słabo, ale znam, ma się rozumieć, alfabet Morse'a i międzynarodową sygnalizację flagową, z dobrych harcerskich czasów. — Uśmiechnęła się do niego. — Ale z przyjemnością oddam tobie pałeczkę! Jestem w tym za słaba.

Ku ogólnemu zdziwieniu, kiedy już młody pan Hugh Dennis zdał sobie sprawę, że nie jest głupią cizią, do czego się później przyznał, starał się jak mógł, by być maksymalnie pomocny, ale miał kilka uwag co do jej podróży.

— Przekonałaś mnie, Benita... dobrze sobie radzisz ze sztuczkami... których wcześniej nie opanowałaś, ale czy jesteś pewna, że naprawdę zależy ci na tej przejażdżce do Nowej Fundlandii?

— Jestem pewna, Hugh. — Popijała kawę, którą jej właśnie przyniósł. — Moja babcia umarła tej wiosny i to była cała moja rodzina przez lata, i za każdym razem, gdy choć przez chwilę myślę o wycofaniu się, widzę tę surową małą twarz i wiem, że ona nigdy by się nie wycofała! Stawiała czoło zimom w Albercie — a nie był to piknik — całkiem sama, z małą dziewczynką na głowie, po tym, jak zmarł dziadek... a nie była wtedy młoda! Mój ojciec był późnym dzieckiem i ja też... a jednak, z osiemdziesiątką na karku nie czekała na to, co przyniesie jej życie! Wychodziła i wyzywała je na pojedynek!

Roześmiał się na te słowa. — Szkoda, że jej nie znałem! Wygląda, że była prawdziwą tygrysiącą... i założę się, że ci jej brakuje. I mając to na uwadze, myślę, że czyniąc zadość wspomnieniom, musisz zrobić dokładnie to, co zamierzasz. Jedź tam i pokaż staruszce, że w rodzinie nadal płynie ta sama krew! — Uścisnął jej rękę. — I jako że jesteś neofitką, pozwól, iż udzielę ci kilku dodatkowych rad. Pozwól mi też przeglądnąć listę rzeczy, które bierzesz ze sobą. Nie chciałbym, żeby babcia pomyślała, że zaniedbałem swój obowiązek. Jeśli właściwie ją odebrałem, to straszylaby mnie!

Nie zaszkodziło Benicie mieć dodatkowego członka w drużynie, która ją dopingowała. Tam, w biurze, sceptycy utworzyli niemal klub i stwierdziła, że nie mogła nawet przejść do ubikacji, by ktoś nie uczynił jakiejś uwagi.

Ray z łatwością sobie z tym poradził i jego niefrasobliwe, ale jednoznaczne stwierdzenia zamknęły buzie paru domorosłym krytykom.

— Rozumiem cię — powiedział z sympatycznym ski-

nieniem głowy, gdy jeden z głośniejszych głosów zaczął chytre jątzerzenie — tylko dlatego, że nie poradziłbyś sobie z tym, to uważasz, że nikt by nie potrafił... mam rację? I wreszcie, długi październik skończył się. Tego wieczoru, gdy wszedł Link, nie było już prawie nikogo w biurze. Link usadowił się na skraju biurka i popatrzył jej prosto w oczy.

— Mam coś do powiedzenia — powiedział mrukliwie — i nie przerywaj! Po pierwsze, myślę, że jesteś szalona, a po drugie — nieważne co ty i moja żona myślicie na temat mojego stosunku do kobiet — mam wielką nadzieję, że świetnie ci pójdzie! Nie należę daj najbardziej pobożnych ludzi na świecie — Elinor mówi, że to dlatego, iż stale mówię Panu Bogu, co ma robić — ale jedno wiedz, Ben... jeśli jakieś modły wzniosę, to tej w twojej sprawie.

— Jakieś instrukcje na ostatnią chwilę? — Wzruszona była jego dobrocią i nie chciała, by pomyślał, że staje się „zupełną babą”, przez to, że zaczęłaby płakać.

— Nie... ale myślę, że moglibyśmy naszkicować plan ataku i mam przez to na myśli co ci wolno, a czego nie... zgodnie z umową. Widzę to tak, jesteś tam przez ustalony okres czasu, robisz wszystko, co do ciebie należy, a to, Benni, oznacza, odgarnianie śniegu po zadymce, czyszczenie ryb... tak jakby nikogo innego oprócz ciebie w lesie nie było.

— Hmm... nie będzie, w obrębie wielu mil... tak?

— Parę chat porozrzucanych tu i tam — odpowiedział zdawkowo — i doszły mnie słuchy, że przynajmniej jedna jest zajęta, co oznacza, że w okolicy, gdzie nie ma się wielu sąsiadów, możesz mieć gości... ale nie pozwolisz jakiemuś rycerskiemu wieśniakowi targać wodę, albo łątać ci dach... lub cokolwiek innego!

— A jak niby się dowiesz, że dotrzymuję umowy?

Głośno prychnął. — Nie rozśmieszaj mnie! Jesteś z gruntu uczciwa. Jeśli rzeczywiście złamałaś umowę, powiedziałaś mi! — Uśmiechnął się do niej. — A propos, co dwa tygodnie przylatuje samolot pocztowy i obiecuję, że wyślę ci list... i oczywiście Ray będzie pisał i, Ben... jeśli coś by bardzo nie szło, to nawiąż kontakt z sąsiadami. Mam przez to na myśli, jeśli byś zachorowała albo coś w tym stylu.

— Jeszcze jedno pytanie — co, jeśli zostanę zaproszona na obiad?

— Nie wiem, czy cię coś takiego spotka, ale pozwólmy na małą ulgę. Odwdzięczysz się tym samym i to wyrówna rachunek. — Pochylił się ponad biurkiem i ucałował ją w czubek głowy. — Jeśli powtórzysz to jakimkolwiek pracownikowi — włączając Raymonda — obedrę cię ze skóry... ale kiedyś wyczytałem, co w takich razach mówią Hiszpanie — Idź z Bogiem, ale pozostań w moim sercu. Zrób to dla mnie, dobrze, Ben?

Pomyślała, że jest wspaniałym facetem, gdy drzwi się za nim zamknęły. Rzeczywiście trudno mu było przyjąć inwazję kobiet do jego zamkniętego świata, ale próbował, a to więcej niż można powiedzieć o większości ludzi, czy to mężczyzn, czy kobiet.

Marzyła na jawie — nie sprząając biurka — kiedy znów zaskrzypiały drzwi i słychać było czyjeś kroki po podłodze.

— No, dalejże! — oznajmił Ray. — Włóż wszystko do pudła i zostaw w moim biurze! Jemy obiad z Margaret, królową kuchni, a potem, rano, jedno z nas — mianowicie ty — skieruje się w siną dal!

— Myślę, że nachodzą mnie wątpliwości!

— Oczywiście. — Wyciągnął szufladę z biurka i non-szalanckim gestem opróżnił jej zawartość do pudła. — A mile spędzony wieczór — i kuchnia Mag — rozproszą je!

Hej, dziewczyno... rozchmurz się! Jak mawiali w wodewi-
lach, powalisz ich na łopatki, w Hoboken!

Włożyła płaszcz i wyszła z nim z biura. - Nie martwię
się zbytnio Hoboken, Ray... ale dużo myślę o Nowej
Fundlandii. Co, jeśli nie wytrzymam? Co, jeśli..

Ray westchnął i otworzył drzwi. Benita, mój staru-
szek kiedyś narysował na tablicy dwa zwierzątka, które
osobiście wymyślił - niejakiego CoJeśli i niejakiego Tak
Ale! Był profesorem, rozumiesz... i mówił, że dużo cen-
nego czasu traci się przez to cholerne narzekanie, „CoJe-
śli... to i to się zdarzy”, albo „TakAle...”, znacznie więcej niż
przez pełnoetatowych lumpów. Dlatego ogłosił sezon na
polowanie na CoJeśli i TakAle i ty zrobisz to samo. Żadne z
tych wstręciuchów nie pojedzie z tobą, Ben! Czule na nią
spojrzał. - Spójrzmy raz jeszcze na twoją babcie, gwoli
przypomnienia. Co mówiła, gdy te, nie pozostawiające
żadnych wątpliwości, ciężkie, złowieszcze, dyszące czarne
chmury zawisły nad preriami Alberty... czy mówiła „Och,
kochanie, co, jeśli zaczniesz padać?”

Benita roześmiała się. - Sądzę, że wytepiła wszelkie
CoJeśli i TakAle na ranżu! Powiedziałyby: „Kiedy
przestanie padać!”

Benicie niełatwo przychodziło tej nocy zasnąć. Niezle
jej poszło z eksterminacją tych szkodliwych CoJeśli i Ta-
kAle; jednak był w niej niepokój i wreszcie zdała sobie
sprawę, że to zwyczajne podniecenie. Czekwała na przygodę
i... tak, czekała na sukces.

Benita była zdziwiona, gdy przybyli na lotnisko. Nie-
wiele mieli do roboty, mogli tylko czekać, jako że prawie
wszystkie, tak dokładnie wybrane ubrania i sprzęt obozowy
zostały wysłane już wcześniej. Myślała, że ona, Ray i
Margaret będą stali z oczyma wbitymi w zegar, czekając aż
jej lot zostanie wywołany. Zdziwiła się, gdy ich grupa

powiększyła się o trzy osoby: o Lincolna Gravcsa, trochę zmieszanego tym, że się przejął, i dwóch młodych ludzi, którzy rzeczywiście ją zadziwili Bob Walder. ze sklepu sportowego i Hugh Dennis, jej instruktor ze szkoły przetrwania. Każdy z nich przyniósł jakiś prezent na pożegnanie i wzruszyło ją to i uradowało, gdy patrzyła na łuk i strzały od Boba i przewodnik po ptakach i zwierzętach od Hugh'a.

Ale była niemal ubawiona — i znów głęboko wzruszona — małą kapsułką, wielkości papierosa, którą Link wcisnął jej do ręki.

— Ray to zrobił jakiś tydzień temu skinął w stronę małej mini-kasety - Nazywa się to specjalnym lekarstwem na tęsknotę.

— Jakaś wyjątkowa muzyka? — zastanawiała się Benita.

— Nie - Link wyglądał na jeszcze bardziej zmieszanego — To... hmm, niech to, to ja... jak wrzeszczę na pracowników! Ray powiedział, że kiedy poczujesz, że chcesz się spakować i rzucić to wszystko, dźwięk mojego miłego głosu i mego niezrównanego słownictwa zatrzyma cię tam, jeśli nic innego nie zdoła!

— Ale mam jeszcze coś, coś niewielkiego, ale... hmm, patrz. To my, Ben, i będziemy myślami z tobą!

Był to kalendarz, z wolnymi miejscami na zdjęcia po każdej stronie i Link zrobił zdjęcie zespołu, które przykleił po lewej stronie. Po prawej znajdowało się zdjęcie ptaka przybrzeżnego, jednego z ulubionych Benity.

— A skąd on się tu znalazł?

— To proste — wtrącił się Ray. — Gdy zobaczysz jednego z nich, będziesz wiedziała, że pierwsi skrzydlaci śmiałkowie kierują się na północ... a to znaczy, że czas wracać do domu... Hej, wywołują twój samolot, Ben! Ustawcie się w szeregu, cała paczka... czas na buzi-buzi!

Benita pomyślała później, że to szczęście, iż Ray był pod ręką i przejął rolę choreografa, aranżującego jej

wyjazd. Ścisnęła ją w gardle i miała mocne pragnienie, by zmarszczyć nos i zacząć płakać... ale dzięki niemu wsiadła do samolotu uśmiechnięta i szczęśliwa, a następnym przystankiem będzie Montreal. Będzie na kanadyjskiej ziemi, a potem... Nowa Fundlandia.

Był jeszcze kawałek drogi do Montrealu — a nie była to przecież daleka podróż — duży samolot zaczął zachowywać się, tak jakby rzeczywiście nie znajdował przyjemności w locie. Przechylał się, kołysał i generalnie dawał do zrozumienia, że pogoda jest, mówiąc najogólniej, trudna.

Benita czuła, jak żołądek zaczyna podchodzić jej do gardła, tak jakby chciał dołączyć się do żołądków paru innych pasażerów, zatem zmusiła się, by myśleć o bliskiej przyszłości i rozjaśniła się w związku z czymś, o czym nawet nie pomyślała. Wkrótce będzie Dzień Dziękczynienia i nie tylko, że nie będzie zajadać się indykiem, takim jakiego tylko babcia potrafiła przyrządzić, to jeszcze będzie sama na odludziu.

A Święta Bożego Narodzenia również, pomyślała. Boże Narodzenie, święta, które najbardziej kochała; muzyka, wesoło opakowane prezenty, przyjęcia i rokrocznie otwarty dom, do samej śmierci babci. Boże Narodzenie z pewnością będzie dla niej wyzwaniem... ale i w tym momencie sam lot do Montrealu był pełnowymiarową pracą. Dostali się w strefę wietrzną, smaganą deszczem, jesienną burzą i lądowanie nie należało do najładniejszych wyczynów kapitana.

Musieli biec od samolotu do odprawy celnej. Marzący deszcz nie ułatwiał im przejścia. Ludzie potykali się i ślizgali raz po raz, opatulając się szczelniej płaszczami, by odgrodzić się od narastającego zimna. Benita nałożyła małe szare mitenki, które zrobiła dla niej na drutach Margaret i popatrzyła na niebo. Pierwszy listopad i niebyła to nawet naprawdę zła pogoda! Cóż zrobi, gdy zima zawita na dobre?

Właśnie wtedy się potknęła i czyjaś pomocna dłoń podtrzymała ją, by nie upadła. — Po prostu nie stawiaj oporu nawałnicy — powiedziała kobieta, wysoka, kanciasta osoba w habicie — i będzie ci łatwiej.

— Siostra — zaśmiała się Benita — Myślę, że może to jest sekret jak przetrwać również życie!

Jak się tego prawie spodziewała, byli uziemieni aż do następnego ranka. Burza nie była dostatecznie silna, by zatrzymać duże samoloty liniowe na ziemi, ale mniejsze, jak ten, który miał się zatrzymać na Wyspie Księcia Edwarda, a potem w Corner Brook, nie ośmieliłyby się zaryzykować. Benita stała patrząc w pustkę i czuła się niepewnie i bardziej niż odrobinę, załęknona.

Prawie natychmiast, mityczny przyjaciel Raya, niejaki Co Jeśli przyszedł jej na myśl. Odwróciła się i poszła w stronę maleńkiej, całonocnej kawiarni i zamówiła jeszcze jedną kawę. Jeśli ma mieć choćby najmniejszą szansę na powodzenie, nie powinna pozwolić na zaludnienie swojego świata stworzonymi Raya... czy jakimikolwiek negatywnymi istotami.

— Myśl kategoriami pozytywnymi — oznajmiała babcia wielokrotnie, często dodając z grymasem na twarzy — nawet jeśli oszukujesz się, rób tak pomimo wszystko! Nawet jeśli wali się dach. Masz odrobinę więcej czasu, by się przygotować!

Z tą radą, skrzętnie przechowywaną w sercu, znalazła całkiem wygodne miejsce i zdołała się kilka godzin zdrzemnąć, chociaż co rusz się budziła, gdy głosy i ruch na lotnisku wznosiły się i opadały. Gdy się obudziła na dobre, była prawie siódma i na tablicy wyświetlona była informacja, że lot krajowych linii, numer 43, odbędzie się za nieco ponad godzinę.

Dopiero gdy opuszczali Wyspę Księcia Edwarda, po króciutkim postoju, dotarło do Benity, że nie ma już więcej postojów, nie ma więcej szans, by podkulić ogon

i uciec. Gdy koła znów dotkną ziemi, będzie w Nowej Fundlandii, i jak w małżeństwie, będzie musiała ją przyjąć — na dobre i na złe.

Gdy samolot kołował nad południowo-wschodnim brzegiem dużej wyspy, a mgła i deszcze się skończyły, Benita zobaczyła ziemię daleko pod sobą, ziemię, która pokryta była ponad osiemdziesięcioma tysiącami mil kwadratowych lasu — wyniosłymi świerkami, górującymi sosnami i wielkimi, balsamicznymi jodłami. Było to tak, jakby patrzyła w dół na szerokie, falujące morze ciemnozielonego koloru.

Czy to była tylko jej wyobraźnia, czy te szerokie połacie lasu, ciemne i ponure góry wydawały się odpychające? Popatrzyła znowu, dokładnie wtedy, gdy przedarło się słońce i wysłało złoty blask przez korony drzew i nad brzegami pagórków i niskich gór. Nie, nie wydawały się... odpychające, były jak wyzwanie. Ta ziemia nic nikomu nie była winna! Była odważna, dumna i mocna... i jeśli zamierzała być jej częścią, spotkać się z nią i nie pozwolić jej zawładnąć i pobić ją, również musiała być silna.

Uśmiechnęła się do siebie. Czy jest w trakcie dodawania samej sobie animuszu? Samolot lekko zakołysał i znak nad głowami włączył się, pokazując, że jest już czas, by zapiąć pasy. Hmm, jeśli próbuje podtrzymać się na duchu, to nie ma już na to czasu. Usłyszała głos kapitana przez głośniki, że zbliżają się do lądowania w Corner Brook. Przyjemne, młode stewardessy wkrótce zajęły miejsca przy wyjściu, by pożegnać podróżnych.

— Myślę, że będzie się pani podobać w Nowej Fundlandii — powiedziała ta mała, rudowłosa. — Wybrała pani dobry czas na wycieczkę... mają tu piękne babie lato.

— Zostaję na zimę — powiedziała Benita — w chacie, w lesie.

Druga dziewczyna otwarła szeroko usta. — Tak? Kobieto, potrzebuje pani pomocy! Nikt tego nie robi... z wyjątkiem łasic i... i karibu!

— I jednej zidiociałej dziennikarki — powiedziała do siebie Benita — która założyła się, że da sobie radę!

4

Dopiero, gdy szła szybko w słońcu jesiennego dnia, dotarło do niej, że to nie był koniec podróży. Jej ostatecznym celem były okolice obok jeziora Red Indian — zlewiska kilku rzek, które potem znów się rozłączały. Poszperała w swojej dużej torbie na ramię i w końcu znalazła mały skrawek papieru. Miała się skontaktować z człowiekiem o nazwisku Curtis Eldon. On ją zawiezie.

To samo przez się brzmiało nieco deprymująco! Pamiętała, jak dziadek mówił o domkach rybackich, do których dotrzeć można było jedynie wodą albo samolotem... ale jako miejsce gniazdowania na zimę! Odsunęła od siebie tę myśl i znalazła telefon.

Curtis Eldon przybył niespełna pół godziny później: Był to uśmiechnięty mężczyzna, zapewne tuż przed czterdziestką, mający w sobie coś z leśnego człowieka. Jego zawsze obecna fajka spoczywała między mocno zaciśniętymi zębami, a futrzana czapa na ciemnych, kręconych włosach. Pomachał jej na powitanie.

— Cześć! — Wyciągnął do niej rękę. — Co powiesz, jeśli postawię ci śniadanie? Z tego co słyszałem, może minąć kawał czasu, nim zjesz jakies dobre, porządne jedzenie.

— Wyruszam jedynie do lasu, nie na kraniec świata — zaprotestowała. — A w każdym razie, potrafię gotować... ale przyjmę twoje zaproszenie! Mieliśmy zaledwie namiastkę śniadania w samolocie.

— Dobra! Tymczasem chłopcy przygotowują „Lulu”. To mój samolot — wyjaśnił — i jeśli zawierzasz starszce swoje całe życie, doprawdy zadziwiające jest, jak szybko stajecie się przyjaciółmi!

Usadowiła się przy stole, naprzeciwko niego. — Czy cały czas przewozisz ludzi?

— Niektórych... ale nie tylko! Przewożę pocztę, a także objeżdżam teren z doktorem Du Chene, a to znaczy, że krążymy sobie i spadamy na jakieś małe skupiska... i to również oznacza, że jeśli jest sytuacja wyjątkowa — nawet w środku potwornej zadymki — ruszamy! — Skrzyżował poważnie palce. — Jak dotąd, „Lulu”, w czasie każdej podróży sprawowała się po mistrzowsku.

— Nie dziwota, że darzysz ją respektem! — Benita pokazywała, że jest pod wrażeniem. — A teraz powiedz mi coś — jak blisko będę miejsca, gdzie stoi chata? Czy skończy się na tym, że będę musiała złazić kilometry lasu?

Potrząsnął głową. — Nie. Poinstruowano mnie, bym wysadził cię w Lazy Point. Nie znajdziesz go na żadnej mapie, ale ja wiem, gdzie to jest. Chata jest jakąś dziesiątą część mili od jeziora, w tym punkcie i zgodnie z tym, co mi powiedziano — a Benita wiedziała, kto mu powiedział — wolno mi upewnić się, czy ją odnalazłaś! — Popatrzył na nią poważnie i znów zaczął mówić.

— Nie... proszę, nie mów tego! — Podniosła w górę rękę — Nie mów mi, że postradałam zmysły, i nie pytaj mnie, czy jestem pewna, że wiem, co robię! Nie jestem pewna, jaka byłaby moja odpowiedź na te pytania... i zanim usiądę i pomyślę o tym, chcę być pewna, że jestem w tej małej chacie!

— Nie jest taka mała — powiedziała Curtis. Ma dwie sypialnie, kuchnię i duży centralny pokój, i jest w dobrym stanie. Hmm... ludzie, którzy się ze mną skontaktowali, upewnili się co do tego. Powiem ci, jeśli ja miałbym zamiar spędzić zimę w lasach — ale nie mam takiego zamiaru — to właśnie tę chatę bym wybrał! Facet, który ją wybudował, upewnił się nawet, czy stoi pod odpowiednim kątem do wiatru, a tam, w czasie zimy specjalnością niejako jest wiatr.

Skończyli w końcu nieśpieszny posiłek i Benita została zabrana, by zostać przedstawioną „Lulu”. Była zadowolona, że Curtis miał takie zaufanie do tego lekkiego, kruchego samolociku... a jednak, im więcej przyglądała się jego starannej konstrukcji i wymuskanej sylwetce, tym bardziej była przekonana, że miał najprawdopodobniej rację, twierdząc iż „Lulu” uda się dotrzeć na miejsce.

A więc, czy przeszła inspekcję na plus? — Curtis obserwował ją.

Myślę, że tak! Ale jak lądujesz w tym całym lesie?

Na jeziorze! Gdzieżby indziej?

I było to rzeczywiście na jeziorze — gładkie, łatwe lądowanie, podczas gdy silnik „Lulu” warczał przy zatrzymywaniu, potoczył maszynę po piasku. Podróż z Corner Brook była krótka i teraz, w końcu, Benita wiedziała, że dotarła do celu. W niewielkiej odległości, w górę po ścieżce, która jedynie w przybliżeniu mogła być określona jako szlak, była jej chata — jej chata i właśnie miała się z nią zapoznać.

Curtis szedł z przodu, przecierając szlak. W końcu dotarł do niewielkiej polany i szli razem obok siebie.

Dokładnie tam, na tym małym wzniesieniu powiedział. Możesz patrzeć na jezioro z pokoju gościnnego. Hmm, panno Benito... jak myślisz, czy spodoba ci się twój nowy dom?

Była to ładna, solidna chata i Benita nie potrzebowała żadnego przygotowania, by wiedzieć, że ktokolwiek ją zbudował, chciał, by przetrwała wiele lat. Nie było żadnych dużych przerw między balami i na dachu widać było ślady drobiazgowych prac naprawczych. Ale było coś, czego się nie spodziewała dym unosił się z komina. Czy ktoś tam był?

Curtis otworzył drzwi i wręczył jej klucz.- Pod drewnianą skrzynką znajdziesz duplikat, na wszelki wypadek powiedział. - No... nie stój tam! Daj temu miejscu szansę, by mogło cię przywitać.

Zawahała się. Właśnie zauważyłam dym unoszący się z komina. Czy ktoś tam mieszka?

Na Boga, nie - roześmiał się. - Tylko dlatego, że ktoś rozpałił ci ogień. No... rozejrzyj się dookoła, a ja upewnię się, czy wszystko zostało dobrze przygotowane.

Jej wzrok spoczął najpierw na kawałku papieru, wciśniętym nad kominkiem. Nie bardzo się zdziwiła, że była to wiadomość od Linka, chociaż niewątpliwie zastanowiło ją, jak zdołał ją tu zostawić.

„Witaj!”, było napisane. I wyślij natychmiast Curtisa w drogę. Jeśli zostanie, zacznie się o ciebie martwić i ścinać dla ciebie drzewo. Pierwszy zapas masz pod ręką, a reszta zależy od ciebie. I jedna ojcowska rada rozpakuj sprzęt! Chcesz mieć pokój gościnny zagracony przez całą zimę?

Rozglądnęła się więc dookoła. Tak, duży pokój ugiął się niemal pod ładunkiem pudeł, kontenerów i skrzyń... i ma się rozumieć Curtis zerkał na drewnianą skrzynię, stojącą wewnątrz chaty.

Wydaje mi się powiedział że powinienem wyjść i ściąć...

Wręczyła mu kartkę i patrzyła na niego, gdy ją czytał: - Komuś też się wydaje! Ale dziękuję za propozycję i nie martw się! Gdybym nie wiedziała, jak ciąć drzewo

sześć miesięcy temu, to na pewno teraz wiem, i żeby to udowodnić, mogę pokazać parę pęcherzy!

— Przekonałaś mnie. — Curtis wyszczerzył do niej zęby w uśmiechu. — Powiem ci coś... rozejrzyj się, a ja nastawię czajnik na kawę i wypiję szybko z tobą jedną, zanim pójdę! — Zatrzymał się w kuchennych drzwiach. — Czy to będzie w porządku, jeśli zrobię dla ciebie kawę?

Benita weszła do każdego pokoju. Obie sypialnie były średnich rozmiarów, każda z nich mogła się poszczycić prostym łóżkiem, zwykłą, malowaną toaletką i pojedynczym krzesłem. Nie było to nic nadzwyczajnego, ale wyglądało wystarczająco dobrze.

Pokój gościnny był odrobinę mniej spartański. W środku stał duży, stary dębowy stół, a wokół niego jeszcze trzy krzesła. Przy oknie, które wyglądało na jezioro, stał duży tapczan i uradowała ją, gdy stwierdziła, że jest wygodny i nie ma połamanych sprężyn. W jednym kącie biurko i dwa wypoczynkowe krzesła — jedno z nich bujane — uzupełniały umeblowanie.

Curtis stał w drzwiach trzymając czajnik z kawą — Przynieś filiżanki — powiedział. — Wiesz, jednym z powodów, dla których lubię to miejsce, są ładne fotografie, które ktoś powiesił — ta z nurem czubatym jest moja ulubiona — i podobają mi się dywany. Brzmi śmiesznie? Hmm, według mnie nadal masz do czynienia z chatą, gdy musisz dreptać po gołych podłogach, ale te duże plecione chodniki sprawiają, że czujesz się w pewnym sensie jak w domu... No, napijmy się!

— Ja też jestem za dywanami — zareplikowała Benita — ale dla mnie, to zasłony sprawiają, że czuję się jak w domu. Nie dbam, czy jestem na Piątej Alei w Nowym Jorku, czy gdzieś w środku lasu, lubię odrobinę prywatności. — Teraz się roześmiała. Przyznam, że wygląda, jakby ktoś wykupił cały jabłkowiezielony kreton w Corner Bro-

ok, ale dzięki niemu jest radośnie i wcale mi to nie przeszkadza.

Curtis skończył swoją kawę. — Jeśli myślisz, że potrafisz trafić tu z powrotem, odprowadź mnie do „Lulu”. Właśnie rzuciłem okiem na niebo i coś mi mówi, że pogoda wkrótce będzie pod psem! Pogoda pod psem równa się zmartwionej żonie, więc ruszam prędko do domu.

Tuż przed tym, nim wszedł do samolotu — z trudnością we dwoje zdołali go przekreślić — Curtis skinął w stronę czegoś, co ona wzięła za pozostawiony słup telefoniczny.

— To słup sygnalizacyjny — powiedział jej. — Możesz zawiesić flagi w nagłym wypadku, jeśli będziesz potrzebowała pomocy... i możesz zawiesić latarnię, w razie złej pogody, gdy będziesz wiedziała, że przylecę. — Wyszczerezył do niej zęby w uśmiechu. — Tylko nie zetnij go na podpałkę... może okazać się potrzebny.

Patrzyła jak mały samolocik sunie przez długie jezioro i wreszcie unosi przód w stronę nieba. Przez kilka minut dało się słyszeć buczenie sprawnego silnika „Lulu”, ale z każdą mijającą chwilą, przycichał coraz bardziej, a wreszcie, gdy tak stała sama, z jedną nogą na miejscu, gdzie lądował ponton, zdała sobie sprawę, że był to jej moment szczerości. Od tej pory wszystko zależało od niej samej.

Popatrzyła w górę na niebo. Wysoko nad głową stado ptaków przebijało się przez gromadzącą się mgłę. Prawdopodobnie jedno z ostatnich stad, pomyślała, i -gdy odlecą, to dopiero na wiosnę powietrze ponownie zabrzmi ich dzikimi krzykami. Zrobiło się jej jakoś smutno i poczuła się samotna, ale czyż jesień nie jest porą samotności i czyż mroczna, zadumana twarz jesieni nie odbija się w zwierciadle przychodzącej na powrót wiosny... i powrót dużych ptaków, które same zdają się dźwigać wiosnę na swoich potężnych skrzydłach? Babcia mówiła, że gęsi są odwiecznym symbolem... Hmm, mówiła to w takich ra-

zach, gdy nie kłóciła się ze starym gąsiorem, kto jest właścicielem pola kukurydzy!

Nagły podmuch prawdziwie zimnego wiatru sprawił, że Benita owineła się szczelniej kurtką i przyjrzała się jej. Była to górna część kombinezonu, którą ubrała na podróż. Niemalże się roześmiała. O rany! Ta rzecz będzie całkowicie bezużyteczna. Jej gruby Pendleton okaże się naprawdę potrzebny, szczególnie, jeśli zamierza stać na polu i wystawiać się na podmuchy wiatru. Odwróciła się i zaczęła iść wzdłuż ścieżki, tak szybko jak tylko mogła, zwracając uwagę na to, jak bardzo była zarośnięta i jak trudno jej iść w tych miejskich butach.

— Lekcja numer jeden, panno traperko — wymamrotała, gdy potknęła się o pień, który wyrósł jakby spod ziemi: — Nie wychodź do lasu, jeśli nie jesteś odpowiednio ubrana. — Hugh powtarzał to w szkole setki razy i specjalnie jej to podkreślał i po kilku krótkich chwilach odkryła, jak bardzo trafne było do spostrzeżenie.

Śpiesznie weszła do domu i ruszyła od razu w stronę czajnika z kawą. Najpierw się rozgrzeje, potem wciśnie się w jakieś bardziej sensowne ubranie — mając na myśli również buty i szalik na głowę, a potem... Zatrzymała się, z filiżanką w ręce i rozglądnęła po zapełnionym po brzegi pokoju gościnnym.

— A potem — westchnęła z głębi serca — zabierzemy się do upchnięcia tego wszystkiego, zanim zamieni się to w stan permanentny!

Zajęło jej sporo czasu, nim udało się jej zrobić dostatecznie dużą wyrwę w stosie kontenerów i pudeł i mogła sobie pozwolić na jeszcze jedną filiżankę kawy i talerz zupy, którą zrobiła z gotowej mieszanki. Sama się za to skarciła. Hugh podkreślał, że rzadko powinno się korzystać z „bajerów”, że, innymi słowy, powinna jeść dużo fasoli i innych dóbr, które napełnią jej żołądek i oszczędzać

drogie, małe paczuski na czas, kiedy ich naprawdę będzie potrzebowała.

— Ben — mówił z powagą — zobaczysz, że nadejdą noce tak zimne, że będziesz myślała, iż góra lodowa jest, przez porównanie, całkiem ciepła... i będziesz tak zmęczona, że jedyne na co będziesz miała ochotę, to dać nura do łóżka i właśnie wtedy potrzeba cię będzie czegoś, co łatwo można przyrządzić, by się utrzymać na nogach!

Wymyła naczynia po kolacji — obydwa — dokładnie i rozglądnęła się wokół siebie. Hmm, może po kilku dniach kopania i przekładania sprawi, że będzie tu wyglądało jak w domu. Tymczasem wiatr ucichł i wyglądało, że na zewnątrz można podziwiać cudowny zachód słońca. Czas, by wyjść i zapoznać się z okolicą.

Była już prawie za drzwiami, gdy nagle przysła jej do głowy myśl. Na cóż byłby jej potrzebny kumpel leśnego człowieka, gdy zapomina o nim, właśnie wtedy, kiedy go potrzebuje? Wróciła się i zaczęła grzebać w pudełku, którego jeszcze nie dotykała. Tak, były to noże, które pomagał jej wybierać Bob, kompas, tę — wzięła ją — lornetkę i... ummmm, bezpiecznie ulokowany w małej skrzyneczce — kumpel leśnego człowieka. Przyczepiła go do paska i skierowała się ku wyjściu, czując się odrobinę jakby była co najmniej Danielem Boone.

Daniel Boone, roześmiała się na samo wspomnienie! Czy stary Dan nie oddałby przynajmniej jednej czapki ze skóry szopa, by mieć buty tak mocne jak jej i by mieć kumpla leśnego człowieka do ścinania zarośli? Nie ma co do tego wątpliwości, zachód zostałby zdobyty dwadzieścia lat wcześniej, gdyby mieli tego rodzaju pomoc. Podkreśliła, co miała na myśli silnie uderzając długą gałąź i uśmiechnęła się z zadowoleniem, gdy ta spadła na ziemię.

Czy wyruszyła na podziwianie swojego pierwszego zachodu słońca nad brzegiem jeziora? Ha! Benita usiadła

na kłodzie i kontemplowała nadchodzącą ciemność wokół niej. Gdzieś tam, na zachodzie, słońce było zaledwie pasem ognia i ostatnie złote krople znikwały w szybkim tempie z falistego jeziora... i właśnie dotarła do jego brzegu.

— Ale musisz przyznać, że jestem do przodu z jednym oczyszczeniem ścieżki — powiedziała na głos, chociaż mogła ją słyszeć jedynie zaskoczona kanadyjska sójka. — Hej... ty, tam na gałęzi! — Nie bardzo zwracała na nią uwagę: — Czy widziałas kiedykolwiek tak pięknie oczyszczoną ścieżkę?

Przechyliła srebrnoszarą głowę w jej stronę, łypiąc czarnymi, bystrymi oczyma. Nawet w ginącym świetle, mogła widzieć, że zupełnie się nie boi, całkowicie panując nad sytuacją... i pewnie każdy z dziobem, który był taką dobrą bronią, zachowywałby się podobnie!

Wstała i przeciągnęła się, ale jej gość nadal trwał na posterunku na wielkiej jodle. Byłoby głupotą zgubić się, czy zrobić coś równie niemądrego, w czasie pierwszej nocy. pomyślała. Czas było wrócić i przygotować się na kilka godzin w chacie, a potem do łóżka.

Powrót był dla niej dużo łatwiejszy, pomimo wzmagającego się wiatru, z tego powodu, że tyle energii włożyła w oczyszczenie ścieżki. Gdy wspinała się na niewielkie zbocze, przypominała się jej kolejna mądra uwaga Hugh.

— Nie wychodź, zostawiając lampy przez długie godziny — te lampy mogą spowodować pożar — ale jeśli wychodzisz i wiesz, że będziesz z powrotem po zapadnięciu zmroku, zostaw sobie światło na powitanie. Prawdopodobnie będzie ledwie tliło, ale tobie to wystarczy. Na pewno miło jest zobaczyć światło czekające na ciebie podczas zimnej, zimowej nocy!

Teraz miała coś, co mogło zaprzątnąć jej głowę! Musiała wymyśleć urządzenie, które świeciłoby po zapadnięciu

zmierzchu, tak żeby nie musiała — jak to robiła teraz — wymacywać drogi do drzwi!

Powiesiła starannie swojego Pendletona w szafie w większej sypialni, myśląc, że jest czymś w rodzaju chodzącej encyklopedii. Każdy ruch, jaki robiła — przynajmniej jak do tej pory — zdawał się prowokować ostrzeżenie albo radę, wydobywaną z zasobu wiedzy, jaka była jej wtłoczona do głowy. Weźmy pod uwagę na przykład kurtkę. Hugh powiedział jej, by nigdy nie wpadła w zwyczaj rzucania byle gdzie rzeczy, bez względu na to jak jest zmęczona.

— Jeśli stanie się to zwyczajem, to chata będzie zawsze zabałaganiona. Masz wytworzyć nawyk — nawyk wieszania, odkładania na swoje miejsce i sprawdzania... zawsze sprawdzaj takie rzeczy, jak ogień, piec, wszystkie te niewinne drobiazgi. — Uśmiechnął się wtedy do niej — Wiem. Brzmie jak twoja ciotka, stara panna... ale ostrzegam cię przed pustkowiem. Utrzymujesz rzeczy w czystości i trzymasz się rutynowych czynności, to nie zmienisz się w opadającego z sił dzikusa numer jeden, sprawdzasz wszystko... i udaje ci się przeżyć!

— Tak, wujku Hughie! — zasalutowała w stronę wyblakłego lustra na drzwiach do sypialni i poszła do kuchni. Czas był na łasuchowanie.

Dzięki Rayowi i Hugh miała zapasy jedzenia, które wystarczą jej na całą zimę. Oczywiście, miała również łowić, ale większość z tego, co będzie potrzebowała — łącznie z kilkoma puszkami bekonu i paczkami z mrożonym mięsem — było tutaj i to wszystko musiało być umieszczone w szafkach i — tak, Hugh, zrobię listę.

Zapowiadało się, że będzie to długa, wyczerpująca czynność. Zobaczmy — cztery skrzynki warzyw — kuku rydza, groszek i mieszane warzywa; dwie skrzynie wypełnione do połowy brzoskwiniami, drugie połowy zajmowały

gruszki... Mąka, również zbożowa, duża puszka oleju do wszystkiego i mała puszka oleju z oliwek; fasola, fasola i jeszcze fasola! Po godzinie układania na półkach i robieniu listy usiadła na środku kuchennej podłogi. W pewnym sensie znów była z tamtymi pionierami. Czego by oni nie dali za to, by mieć te równe rzędy puszkowanych śliwek i ten duży pojemnik z herbatą ekspresową... i wysokie, duże puszki z syropem klonowym, melasą i miodem!

Usiadła tam, wsłuchując się w czajnik, który zaczynał gwizdać i nagle uświadomiła sobie, że jest jeszcze inny dźwięk, szum. Tak, oczywiście — włączona była mała lodówka. Ale *dłaczego?* Nie przygotowała jeszcze dzbanka mleka z proszku, czy puszki z sokiem owocowym - zatem dlaczego była włączona?

Stała na nogi i otworzyła ją. Była całkiem pusta z wyjątkiem dużej, plastikowej torby i kiedy ją otworzyła, uśmiechnęła się. Przyczepiona była kartka czy nie spodziewała się jej, a w środku znajdowały się trzy duże główki sałaty, dwa selery, plastikowa torebka z rzodkiewką i inna z małą zieloną cebulką,

„Nie mogę spędzić z tobą Święta Dziękczynienia pisał Link — ale mój ekspert - mędrzec Raymond informuje mnie, że jeśli trzymać to dobrze zapakowane i w niskiej temperaturze w lodówce i używać oszczędnie możesz mieć sałatę przez jakiś czas. Słowo ostrzeżenie jednakże — nie zużywaj zbyt dużo gazu. Jak tylko będziesz mogła najszybciej, zrób sobie lodówkę na oknie.

Popatrzyła przez okno. Trochę poniżej, świecąc w świetle księżycy jak grube cygareto, stał pojemnik na gaz, a obok niego dodatkowa butla. Zgodnie z opinią Hugh'a, jeśli będzie oszczędnie korzystała z gazu głównie do gotowania wystarczy jej go na długo. Ostrzegł ją, że gdy zima zadomowi się na dobre, szanse, że ktoś przywiezie jeszcze jedną zapasową butlę są doprawdy znikome... a to znaczy

to, że skoro tylko temperatura spadnie poniżej zera i utrzyma się na tym poziomie - a w Nowej Fundlandii to niekoniecznie znaczyło, że nadszedł grudzień jej „zamrażalnik” będzie na oknie.

- A co, jeśli będę chciała trochę kostek lodu? — zapytała.

Ben! Rusz głową — krzyknął niemalże w odpowiedzi. — Jak poczekaasz parę miesięcy, to całe to zakazane jezioro będzie jedną gigantyczną kostką lodu i chcesz lód? To kop, dziecko... kop!

Oczywiście, pośpiesznie dodał, że nie musi czekać aż do zapadnięcia jakiejś ciemnej nocy, gdy zechce się zdecydować na wypicie jednej z tych trzech butelek wina z lodem i wyruszy przy jękach wiatru i wirującym śniegu — by łupać jezioro. Wybierze rozsądnie odpowiedni dzień i przechowa lód w szopie.

Odwróciła się i popatrzyła na górne półki. Gdzież, ach gdzież były tak jej znajome pudełka z różnymi płatkami — które przełykała pośpiesznie, gdy musiała być w biurze na dziewiątą? I gdzie był ten bez smaku, ale zawsze na podorędziu, bochenek chleba? Poklepała stół z drożdżami i popatrzyła na duże kanistry — wielkości prawie pojemników na śmieci które stały pod drugim oknem. To były jej zapasy — razowa mąka, mąka kukurydziana i tak dalej. A mączne wyroby? Wysoko, na półce, mączka zbożowa stała obok owsianki i mieszanki dwóch zbóż, która, jak ją zapewniono, będzie niezłą wyzerką

Właśnie miała sięgnąć po czajnik, gdy zdała sobie sprawę, że coś za oknem przykuło jej uwagę. No tak zdmuchnęła lampę, żeby się upewnić - to było światło i wyglądało, że niezbyt daleko! Uśmiechnęła się. W jakimś sensie było to trochę po domowemu, kiedy się wie, że gdzieś tam są sąsiedzi. Sąsiedzi. Nie mogła przestać się zastanawiać jacy oni są.

Znów przysłała jej do głowy kolejna rada, natychmiast poszła do sypialni i wyciągnęła swój chodzący przez osiem dni zegar i zaczęła go nakręcać i na dodatek dostawiła obok niego kalendarz. Gdy będzie po śniadaniu, zawsze nakręci zegar i sprawdzi na kalendarzu datę.

„Ponieważ — poinformował ją Ray — gdy dni się zleją i stracisz poczucie, czy jest poniedziałek czy wtorek — to co się zdarza zwykle większości ludzi — to prędzej czy później nie będzie dla ciebie istotne, który dzień jest dzisiaj i to będzie pierwszy krok do stania się opadającym z sił dzikusiem, o którym mówił Hugh. Jesteś na dobrej drodze do przyłączenia się do ludzi opisywanych przez Roberta Service'a.”

Na dużym dębowym stole leżała książka „Poezja świata” i poczuła, że ma ochotę odświeżyć swoją pamięć o Robercie Service. Rosła, słuchając, jak jej dziadek długimi godzinami recytował „Urok Jukonu”. Nadal żywo pamiętała, jak biedny stary Dan McGrew został zastrzelony przez „nieznajomego z doliny” i pamiętała fragment z tytułowego utworu, który odważnie przemawiał za Jukonem i nie chciał mieć nic wspólnego ze słabeuszami... tylko „z mocnymi i rozważnymi”, tymi, którzy mogli poradzić sobie z niszczącymi siłami natury w całej ich mocy i jeszcze przeżyć.

W roztargnieniu przekartkowała strony, na których opisywane było życie kanadyjskiego poety, jego zainteresowania i... dotarła do „Zastrzelenia Dana McGrew”. Pominęła pierwsze strony, ale słowa przesuwające jej się przed oczyma były zniewalające i złapała się na tym, jak wypowiada je na głos, czując je i wiedząc, że gdy zima stanie się jej zawsze obecnym towarzyszem, będzie je czuła jeszcze mocniej.

*Czy byłeś kiedyś na wielkich przestrzeniach sam, kiedy
księżyc świeci tak potwornie jasno, I lodowe góry*

otaczają cię ciszą, którą prawie możesz słyszeć? Słyszac tylko wycie szarego wilka... i obozujesz tam na zimnie...

Zamknęła książkę i podeszła do okna. Urok Jukonu... nie, urok ponurego, tajemniczego pustkowia północnych terenów. Nie obozowała samotna, czule objęta przez dogorywający ogień, z wiatrem dookoła niej, myśląc o złocie, mając je w sercu, ale wiedziała, że czuła wspólnotę z tymi samotnymi duszami i wiedziała dlaczego. Nawet gdyby nie znęciło ich złoto, wielu z nich musiałoby ruszyć, nie byłoby w stanie żyć, gdyby nie sprawdzili, czy stać ich na to... I nawet z jej „wszelakim pocieszeniem” była jedną z nich, ponieważ dzieliła z nimi coś, czego nigdy nie pozna żaden miastowy — serce milczącego odludzia.

Siedziała w nocy, przez jakiś czas, zakutana w ciepłą bieliznę, którą nałożyła pod flanelową pidżamę i czytała o ptakach, które będą jej tu towarzyszyły. Przyglądała się pewnej sobie sikorze znad rzeki Hudson, jej kremowej, ciemnobrązowej główce, przekrzywionej, jakby się niemal do niej uśmiechała. Dzieci północy, mówiła do siebie... i to sprawiło, że zatopiła się w myślach.

Co to było takiego, co sprawiało, że ludzie — tak, głównie mężczyźni — wyruszali, kierując się w stronę nieznanych obszarów, do samotnych punktów na mapie, karając samych siebie pod pręgierzem dotkliwego, przenikliwego zimna, przeżywając głównie dzięki pożywieniu, które było tylko tym, czym było — paszą dla bydła? Czy było to szukanie przygód, czy coś więcej?

Wszędzie wokół nich, we wszystkich częściach kurczącego się globu zanieczyszczenie, nieumiejętne obchodzenie się z przyrodą, obojętność i zastępy całe im podobnych nieszczęść degradowały i poniżały ziemię. Może to była część odpowiedzi; prawdę powiedziawszy była tego pewna.

Ciągle jeszcze było paru ludzi na świecie, którzy chcieli widzieć dużego, szarego wieloryba skaczącego nad wodą w pełnym zadowoleniu, czy przyglądać się parze nurów, pływających i nurkujących w potwornie zimnym jeziorze, jakby to była wanna... I nadal byli ludzie, którzy nie bali się stawić czoła odludziu... i stawić czoło samym sobie.

Jej babka, pewnej nocy, wypowiedziała myśl, gdy patrzyli na pokrytą śniegiem przestrzeń, podczas jednej z „tych zim w Albercie”.

— Powiem ci coś, moje dziecko — powiedziała cicho — Nie należę do tych, którzy ci mówią, w co powinnaś wierzyć, ale coś stworzyło ten nasz piękny świat i to coś jest większe niż my kiedykolwiek będziemy! — Pocałowała Benitę w czubek głowy ze szczerą czułością — Mam nadzieję, że pewnego dnia znajdziesz sobie miejsce... i zapoznasz się z nim. Siła, która porusza wszechświat jest pełna grozy, ale jest jednak piękna!

Siła, która porusza wszechświat. Z łóżka, z ciepłych głębin jej rozkosznego śpiwora, mogła widzieć migocące płomyki wygasającego powoli ognia. Była zmęczona ale zadowolona i napełniona poczuciem dobrego życia i wiedziała, że babcia czułaby się tak samo. Znalazła swoje miejsce i wiedziała, że siła, która porusza wszechświat czeka... i gdy miną długie noce i dni, wiedziała, że dobrze się ze wszystkim zapozna.

5

Gdy zbudziła się następnego ranka, stwierdziła, że ma jedną rękę zimną... tę, którą tak nieroztropnie wymachiwała w nocy na wszystkie strony. Hmm, może nie aż zimną, ale nie tak ciepłą, jaką by miała w swoim małym mieszkanku, do którego, z braku windy, trzeba się było wspinać po schodach. Wskoczyła z łóżka i zabrała się od razu do wypełniania zadania numer jeden — czajnik na kuchenkę, by mieć ciepłą wodę do mycia i duży czajnik na kawę, na tylny palnik dla wzmocnienia swych sił. Gdy to wykonała, pobiegła — niech Bóg ma w opiece te ocieplane gęsim puchem skarpety — znów do dużego pokoju gościnnego, by zająć się roznieceniem ognia w grubym, brzuchatym piecu. Zdecydowała, że nie będzie sobie zawracała głowy rozniecaniem ognia w kominku, przynajmniej nie teraz — chociaż od czasu do czasu będzie musiała sprawdzić przewód kominowy i komin. Będzie miała na to sporo czasu, gdy już naprawdę nadejdzie zima.

— Gdy nadejdzie zima! — wykrzyknęła — Popatrz na to!

Za dużym oknem pokoju gościnnego dojrzała dobrze zapamiętanych znajomych z dawnych czasów, czasami pamiętanych jako przyjaciele, czasami jako wrogowie...

a ostatnimi czasy, gdy padały całymi zaspami na miasto, jako w najwyższym stopniu męczące. Tak, nie było co do tego wątpliwości! Te koronkowe kruche smużki bajkowego pyłu, nie były malutkimi diamentkami, świecącymi na dachu i drzewie, które dawały całemu światu wygląd bajkowy, jakby były oszronione ręką czarnoksiężnika. Były to śniegowe płatki i wydawało się, że podjęły mocną decyzję, że nie zostaną łatwo odrzucone spod drzwi. Miały raczej zamiar gromadzić się jedne na drugich całymi milionami!

— Gdzie odeszło babie lato? — zastanawiała się.

Piła swoją świeżą, gorącą kawę małymi łyчками i patrzyła, jak płatki śniegowe bilionami wirowały i kłębiły się w powietrzu. Najwidoczniej babie lato może być krótkie na dalekiej północy, ale bardziej prawdopodobne było, że gdy tu przyjechała, dobiegało już prawie końca i bardzo dobrze zdawała sobie sprawę, że zima zawsze ochoczo czekała, by przejąć pałeczkę. Zgodnie z mapami, które studiowała z Hughiem, obszar, który obecnie zamieszkiwała, ma w każdym miejscu zaledwie od 140 do 160 dni bez kłuszącego mrozu. Interesująca statystyka... dopóki nagle nie zdasz sobie przez przypadek sprawy z tego, że to oznacza około dwieście dni — dobre siedem miesięcy — gdy pogoda może się wahać od mroźnej i zimnej... do zupełnie nieprawdopodobnej!

Tak, nie było sposobu, żeby z samego patrzenia na niebo ktoś mógł natychmiast wywołać lato, i wiedziała, że będzie musiała dać sobie z tym radę, tak jak to robiło większość ludzi — tych, których nie było stać na przeprowadzkę do cieplejszego klimatu! Jakoś to przeżyje.

— Ha! — Zrobiła minę w stronę przyjacielsko nastawionej sikory kanadyjskiej, która teraz kołysała się na gałęzi, tuż za oknem. — Znowu ty! Tracisz swój czas wlepiając we mnie oczy, moja damo! Nie zamierzam

spakować się i przenieść. Przygotuj się, wiercipięto... że zostaję!

Podskoczyła, usłyszawszy głośnie walenie do drzwi kuchennych. Goście... o siódmej trzydzieści rano?

Mężczyzna stojący na zewnątrz miał pewnie dwadzieścia osiem lat, był średniego wzrostu i miał kręcone, brązowe włosy, które wychodziły mu spod czapki. Jego oczy prześliznęły się po jej ciasno zawiązanym szlafroku, oczy, które przesyłały przyjazne i pełne dobrego humoru błyski.

— ...dobry, sąsiedzie! Mieszkamy z tamtej strony drogi... jeśli można to nazwać drogą. Wpadliśmy, żeby zobaczyć, czy przeżyła pani naszą pierwszą noc ze spadkiem temperatury! Czy wiedziała pani, że spadła do 26 stopni?

— Ja też spadnę, jeśli będę tu stała w drzwiach! — Otworzyła je odrobinę szerzej. — Proszę wejść! Pójdę wskoczyć w bardziej przyzwoite ubranie... a w tym czasie, proszę poczęstować się kawą.

Skinął zgodnie głową, potem obrócił się i krzyknął w mroźne powietrze: — Carl! Czy musisz tak leżeć jak piekielny niedźwiedź, kierujący się do swojej jaskini? Pani czeka i kawa!

Szczupły i raczej wysoki mężczyzna pojawił się w polu widzenia podczas przemowy tamtego i chociaż było jej zimno, Benita nie ruszyła się od drzwi. Nie można go było nazwać jednoznacznie przystojnym — miał trochę nadto rzymski nos i nieco zbyt nieregularne rysy twarzy — ale przykuwał uwagę ciemnymi oczyma, gęstymi brwiami i niemal fioletowociemnymi włosami, które tak często idą z tym w parze. Jedno go wyróżniało — tłusta sikora siedziała na końcu jego fajki, a on zachowywał się, jakby to jeszcze do niego nie dotarło.

Pobiegła więc, by nałożyć coś bardziej odpowiedniego. I nie mogła się nie roześmiać z siebie... i nie myśleć, jak

bardzo Link śmiałyby się też. Zaledwie dwójka dobrze wyglądających, stanowiących dobrą partię mężczyzn się pojawiła, to ona zaczyna się natychmiast upiększać. Hmm, przyznała się do tego, więc zrobmy to, co do nas należy. Wyjęła z szafy niebieską bluzkę w delikatną kratę i nałożyła ją do ciemnozielonych -- wełnianych, ma się rozumieć spodni.

Wyższy mężczyzna usadowił się przy stole, już bez sikory, ale ten drugi chodził po domu, zaglądając w każdy kąt.

— Wygląda, że zadomowiła się pani! — Również usiadł na krześle i wyszczerzył do niej zęby w uśmiechu: — I widzę, że mamy coś ze sobą wspólnego. Ja również czytam poezję... a nazywam się Seth Fournier, nawiasem mówiąc. - Wymówił to z francuska.

A poezja, jaką najczęściej czyta — stwierdził spokojnie drugi mężczyzna — to wiersze pisane rymem częstochowskim i limeryki, większość z nich nie nadająca się do powtórzenia. — Wyciągnął rękę. — Jestem Carl Hannaker.

Benita również przysunęła sobie krzesło. — To tak miło... mieć towarzystwo podczas pierwszego dnia pobytu!

Czy się jej zdawało, że wyższy mężczyzna zdawał się ukryć uśmiech, gdy to mówiła. - Musieliśmy się upewnić, że przeżyła pani noc!

Nie była pewna jego poczucia humoru, ale wiedziała dobrze, że poczuła się odrobinę wściekła. — Nie bójcie się! Mam zamiar dać sobie radę przez wiele nocy... razem kilka miesięcy.

— Ale, proszę mi powiedzieć... cóż wy porabiacie tutaj? Nie ma raczej zbyt wiele roboty w tej części lasu.

— Niedużo — Seth uśmiechnął się do niej szeroko — więc łowimy ryby. To pozwala nam być na tym fajowym odludziu i raz w tygodniu jedziemy psim zaprzęgiem po śniegu do miasta i sprzedajemy ryby. Nie można by nas

w żaden sposób nazwać wybitnymi rybakami, ale to pozwala nam spokojnie żyć.

Mieszkacie tutaj... przez cały rok?

Parę lat. Nie jest to takie złe, kiedy się już człowiek przyzwyczai do tego, że Carl potrafi milczeć przez kilka dni.

I łowicie ryby również przez cały rok? Benita pomyślała, że parę rybek złowionych od czasu do czasu nie mogłoby raczej wystarczyć.

Nie... - Seth wstał, by ponownie napełnić filiżanki. W lecie pracuję dla miejscowego nadleśnictwa. Jestem czymś w rodzaju gliniarza!

Benita natychmiast zauważyła, że Carl nie powiedział nic na temat swoich letnich wyczynów; prawdę powiedziawszy mówił bardzo mało, z czającym się w jego oczach nieustannie pogodnym rozbawieniem. W końcu uśmiechnął się do niej, uśmiechem, który był jakby nieśmiały.

A co panią tu sprowadza, na ten zimniejszy kraniec półkuli ziemskiej? zapytał. — Zdaje mi się, że jest pani zbyt delikatna na to, by móc tu zimować.

Nie tak znowu delikatna, jakby mogło się wydawać! Nie zamierzała się odszczekiwać, ale zdała sobie sprawę, że tak to zabrzmiało. Zabrała się zatem do lansowania swojej „wersji przewodniej”. - Jestem fotografikiem i będę robiła zimowe zdjęcia do nowej plenerowej książki, więc jeśli zobaczycie, jak przedzieram się przez śnieg, niech was to nie martwi. Będę robiła zdjęcia.

Więc chodź z nami i zrób fotkę mojej zimowej bazy zaofiarował się Seth. Nadal nie wygląda nadzwyczajnie, ale cały czas ją ulepszam.

Rozbawione spojrzenie Carla spoczęło na jego przyjacielu. Wstał do wyjścia. - Miło było panią poznać, panno...

Och! Nie przedstawiłam się! Jestem Benita Hubbell... i dziękuję, że zechcieliście wstąpić.

Drugi mężczyzna nie palił się zbyt do wyjścia, ale wreszcie i on skierował się ku drzwiom. — Niech pani nie omieszką nas zawiadomić, jeśli moglibyśmy coś dla pani zrobić — powiedział.

— Jak najbardziej — dodał Carl. — Nie chcielibyśmy, żeby taka mała, śliczna dziewczyna przepadła z powodu braku szarmanckiego przyjaciela! — Wyrzął przez okno i uśmiechnął się. — A stary łosioptak nie wystarczy.

Benita zbyt była zdziwiona, usłyszawszy jego określenie na kanadyjską sójkę, by się rozzłościć. — To jest sójka kanadyjska... inaczej whisky jack.

Carl naciągał grube rękawice. — Również znana jako wrona, ptak rozbójnik i łosioptak. Miło, że jest tu w okolicy — dodał głosem, który dla niej brzmiał podejrzenie protekcyjnalnie — można poczuć się samotnie w tej części kraju.

Seth jeszcze raz powołał propozycję, że pójdzie i jej pomoże i Benita postanowiła, że musi temu od razu położyć kres.

— Jesteście bardzo mili — powiedziała z uśmiechem — ale postanowiłam, że sama będę robiła, co do mnie należy.

Carl był już prawie za rogiem, znów z sikorą, ale tym razem na czapce. — Chwalebne — powiedział.

Ale dlaczego jedno słowo mogło... jedno małe słowo, mogło ją rozzłościć, zastanawiała się Benita. Miała poczucie, że trochę więcej czasu spędzonego z Carlem Hannakerem doprowadziłoby do przelewu krwi! Czy próbował być uszczypliwy, dokuczliwy... czy taki właśnie po prostu był? Któż mógłby powiedzieć, ale pewna była, że bez względu na to jaki był, nabijał się z niej. Nabijał się z niej! Hmm, więc mu pokaże. Nie potrzebowała jego pomocy, czy czyjejkolwiek innej.

Ujrzała nagle swoją zdeterminowaną twarzyczkę w starym lustrze, rozgniewane, szare oczy i zaciśnięte usta.

Nawet jej brązowego koloru włosy — które, jak otwarcie przyznawała, były jej dumą i radością — nie dawały jej wyglądu kruchej i delikatnej. Wyglądała na to, kim teraz była — na rozzłoszczoną, ale również na dziwnie małą... tak, i również jakoś delikatną, jeśli już mówić prawdę. Nie można się dziwić, że ten mężczyzna miał błysk rozbawienia w oczach. Nie wyglądała, jakby mogła pokonać cokolwiek, tym bardziej zimę na dzikich terenach Nowej Fundlandii.

Nalała sobie jeszcze jedną filiżankę kawy, żeby ją wypić z owsianką i znów usiadła przy dużym stole. Śmieszne, gdy się najpierw pojawili, pomyślała, że ten wysoki — Carl — wygląda naprawdę interesująco. Czuła do niego pociąg, ale im więcej — a czasami, im mniej — mówił, tym bardziej stawała się sceptyczna.

— Musisz przyznać — powiedziała do siebie. — Nadal uważasz, że jest najbardziej atrakcyjnym mężczyzną, jakiego kiedykolwiek poznałaś... ale ustalmy to od razu! Mógłby cię zauważyć, jeśli byłabyś sikorką, ale w żaden sposób nie pozbyłby się tego rozbawionego spojrzenia!

A to, poinformowała się, z większym przekonaniem, niż było jej udziałem, oznacza, że zapomnisz o nim — z miejsca! Czas, byś się zapoznała ze swoim światem.

Przez następny tydzień, lub coś koło tego, gdy pogoda zdawała się coraz bardziej przypominać zimę, Benita coraz częściej wychodziła w celach zapoznawczych. Zwykle targała ze sobą atlasy ptaków, książki o drzewach i co tam jeszcze — i oczywiście, aparat fotograficzny, w razie gdyby natknęła się czy to na Seta, czy Carla — ale nawet wyglądając jak udreżony turysta, wiele się dowiedziała.

Przede wszystkim, że lasy wokół niej nie są jedynie zbitką różnych drzew iglastych, chociaż spostrzegła już wschodnią, białą sosnę i modrzew amerykański, z jego nagimi gałęziami, które tworzyły ornamenty na tle szarości

nieba i szyszkami, nadal o jasnokasztanowym odcieniu, przyczepionymi tu i tam, pozostałości minionego lata. Las bogaty był w drzewa wszelakich gatunków — czarny świerk, biały świerk, świerk kanadyjski i bliżej jeziora, grupka brzoź, które będą wyglądały cudownie, kiedy pokryją się liśćmi na wiosnę.

— Kocham białą brzozę. — powiedziała do Carla, pewnego popołudnia, gdy stali obok jeziora, przyglądając się nurowi, który oddawał się ćwiczeniom w nurkowaniu. — Ma taki srebrny odcień.

— To są żółte brzozy — skomentował. — Zdają się lubić teren, który został niegdyś spalony. Możesz je poznać również po tym, że pojawiał się wraz nimi wielki-ząb — Skinął w stronę drzewa, wysokiego na około czterdzieści stóp, z głęboko rowkowaną, szarą korą.

— Wielki-ząb to drzewo? — Brzmi jak górski lew!

Nawet to, że poprawił ją co do brzozy, nie zirytowało ją tak naprawdę, ale to, jakim ją wtedy obdarzył spojrzeniem, na powrót wszystko przypomniało. — Udaje ci się wyjść z interesującym komentarzem — powiedział spokojnie. — Wybacz, nie ma tu żadnych górskich lwów... ale sprawdź w swojej książce o drzewach. Są tu wokół osiki, zwane wielki-ząb. — Uśmiechnął się do niej. — No, muszę ruszać, panno traperko. Seth chce się pokusić na jeszcze jeden dzień na jeziorze. — Popatrzył na niebo. — Jeśli tak się utrzyma, to za kilka dni będzie już solidna pokrywa lodowa. No to... uważaj na siebie.

Wówczas się przechylił i pocałował ją, a Benita była zbyt zaskoczona, by móc coś powiedzieć, a tym bardziej, by w jakikolwiek sposób zareagować. Odzyskała głos, gdy on przemówił.

— Tak myślałem — skomentował spokojnie. — Stuprocentowa kobieta.

— Posłuchaj więc! — zaczęła, ale on już biegł susem

po pokrytym śniegiem brzegu, do miejsca gdzie czekał Seth. Zobaczyła, że rozmawia z drzewami... i ze swoim przyjacielem... łosioptakiem!

Gotowała się ze złości, gdy wpadła jak burza do chaty, ale na szczęście znalazła sobie ujście — „Paciorkowe oczy” — jak ochrzciła ptaka „szedł” za nią krok w krok, ślizgając się z gałęzi na gałąź, jakby całkowicie zafascynowany jej głośnym wyrzekaniem. — Co on sobie myśli, że kim jest! — wściekała się. — Sam ten pomysł! Co mu strzeliło do głowy... z tym całowaniem! Przejechała palcami po ustach, które doznały obrazy i nagle dotarło do niej — że być może nie zareagowała za mocno i może nie wpadła w nastrój liryczno-radosny... ale co do jednej rzeczy była pewna, nie mogła powiedzieć, żeby jej się to nie podobało!

— I tak to wygląda, Paciorkowe Oczko — bardzo głośno stwierdziła. — Zamierzam się całkowicie poświęcić robieniu tego karmnika! — Czyżby dostrzegła ulgę na tym pyszczku, z jasnymi oczkami? I zobaczysz, że wystawię ci te spore kawałki tłustego bekonu, mąkę kukurydzianą i inne smakołyki!

Gdy powoli kończył się drugi tydzień, pogoda — jak bezbłędnie określił to Seth — stwierdziła, że skończyły się żarty i zabrała się poważnie za bycie zimą. Pewnej nocy, gdy chaty ogarnął mrok, a cieniutka warstwa śniegu leżała na ziemi, Benita wstając rano, by wynieść obrzynki i okrawki do swego nowego karmnika, stwierdziła, że musi wrócić i ubrać ciepłe ubranie i grubą parę butów. Z nieba przez noc napadały płatki śniegu i z tego, co widziała, przynajmniej na stopę spowiły wszystko w puszystą biel.

Łącznie ze stosem drewna, pomyślała ponuro. Hmm, zanim sytuacja się pogorszy, będzie musiała wnieść wymagany dwudniowy zapas i gdy świeci słońce — a świeciło, troszeczkę — będzie musiała zabrać się do rąbania. Po-

trzasnęła głową. Minęły dwa tygodnie, a ona już zamienia się w Carrie Nation Północy, z tą różnicą, że nie rozwala siekierą saloonów... ścina drzewa i gromadzi drzewo na opał.

Była już prawie dziesiąta trzydzieści, zanim zabrała się tego ranka do śniadania, innego niż pośpiesznie wypita filiżanka kawy. Nieboskłon wyglądał tak, jakby miał ciągle jeszcze trochę śniegu do zaoferowania, więc gdy był jeszcze na to czas, wróciła do swojej roboty z drewnem i znów stwierdziła, że Hugh miał rację. Robi ci się gorąco przy ścinaniu drzewa, ale w tej samej chwili gdy kończysz, należy wskoczyć w grubą kurtkę, bo nagrzane ciało szybko może oziębnąć i nikomu by nie zależało na tym, by złapać zapalenie płuc, szczególnie tak daleko od miasta.

Niosła naręczę drewna, myśląc o parce wydr, które widziała obok strumienia dwa dni temu i śladach zostawionych przez szarego wilka amerykańskiego, które odkryła. Czytała, że w Nowej Fundlandii jest nieco ponad dziesięć głównych gatunków zwierząt, a ona już natrafiła na kilka. Teraz, jeśliby mogła znaleźć w pobliżu miejsce, gdzie łoś...

— Się masz! — Seth stał prawie u jej boku, a była tak zatopiona w myślach, że go nie słyszała — Czy twój czajnik z kawą jest na chodzie?

— Wejdz! Sama mam zamiar się napić! — Uśmiechnęła się do niego — I przytrzymaj drzwi... to jest ciężkie!

— Pozwól mi to zanieść!

— Przykro mi, znasz moje zasady.

Skrzywił się i otworzył drzwi z namaszczeniem, gdy wchodziła ugięta pod ciężarem.

— Szczerze... czy musisz być taka przejęta równouprawnieniem? Czy mężczyzna nie może ci nawet pomóc?

Stał teraz bardzo blisko niej, a ona zdawała sobie sprawę z jego bliskości, a nagle bardzo jasno zdała sobie

sprawę, że on to też zauważył. No, chwileczkę — pomyślała... wiele rzeczy biegnie szybko w tym cichym zakątku. Przesunęła się szybko w drugi kąt kominka i rzuciła drzewo na pozostałe szczapy, które pocięła wcześniej.

— Ty tam! — Uśmiechnęła się do niego z bezpiecznego dystansu, stojąc w kuchni — Usiądź... kawa nadchodzi.

— Jak ci się podoba śnieg? — Jedną rzecz na temat Setha można było stwierdzić, a mianowicie to, że nie zważał na jej uniki i odsuwanie się od niego.

— Widzisz jeden płatek — zacytowała swojego dziadka — a nie dostrzegasz ich wszystkich, więc lecą jeden za drugim i chcą być pewne, że nie stracisz z oczu żadnego z nich! Wziął mnie widok śniegu, Seth i Kocham go... przez jakiś czas, a potem staje się męczący.

— Tutaj, przynajmniej zostaje przyjemny i biały — wskazał ręką — żadnego smogu, zanieczyszczeń... och, prawie zapomniałem. Jest więcej śniegu w drodze i ta informacja — przybrał ton oficjalny — podana ci została przez zaprzyjaźnionego meteorologa z sąsiedztwa!

— Jeszcze? — Skinęła w stronę drzwi. — Nie jestem ekspertem w sprawie mierzenia ilości śniegu, ale wydaje mi się, że spadło go prawie na stopę!

— Dziesięć i jedna czwarta cala — powiedział — a przypuszczalnie następne opady sprawią, że to będzie wyglądało jak zabawka dla dzieci! — Roześmiał się. — Przygotuj się na kopanie... i odkopywanie!

— Nie muszę się martwić o moje drzwi wejściowe — również się roześmiała — I nie muszę ich zamykać. Zamarzyły na kość podczas pierwszej nocy, gdy temperatura opadła poniżej dwudziestu stopni i mam przeczucie, że jedynie wiosna je odmrozi!

Seth jej nie słuchał. — Hej! — Skoczył i skierował się ku oknu, zwalniając kroku, gdy się do niego zbliżał, —

Popatrz, kto zdecydował się cię odwiedzić' Stary Carl zzielenieje z zazdrości! Nie mieliśmy czegoś podobnego w karmniku od dwu lat.

Duży dzięcioł odnalazł kulkę ciasta i tłusty boczek i dziobał je, ale od czasu do czasu rzucał ostre, szybkie spojrzenia w stronę okna, chcąc się upewnić, że nikt mu nie będzie przeszkadzał. Jego znacznie bardziej towarzyski, mniejszy kuzyn, dzięcioł mały kręcił się po całym karmniku, wydając skrzekliwe dźwięki i napychając małe, nabite ciałko. Od czasu do czasu podfruwał w górę, po to, by znów przysiąść, gdy ruszyła się niebieska sójka, której wydawało się najwyraźniej, że karmnik cały należy do niej.

— Zatem Carl nie miał w karmniku takiego dzięcioła — powiedziała ze słodyczą w głosie i była zawstydzona, że to sprawiło jej radość. — No tak... zważywszy jak Igną do niego sikory, to ptaków mu nie brakuje. — Do uczyty przyłączyła się para czarnogłówek i przypomniała sobie przyjaciela Carla.

I przypomniała sobie również, jak łagodnie do ptaka przemawiał i jak mały ptaszek wcale się nie bał. Seth, mężczyzna, który stał obok niej, przy oknie, wydawał się być nieskomplikowanym facetem — interesującym, przystojnym, i z którym się miło rozmawia... ale jakim mężczyzną był Carl? Jaki mężczyzna ma dla sikory miłe słowo i smakołyk, prosto z ust... i z tych samych ust, kłujące słowa — i pocałunek — dla niej?

Okazało się, że Seth miał więcej niż rację co do bur/y. Po południu temperatura znacznie spadła, wahając się grubo poniżej zera, pomimo tego, że grudzień jeszcze nie nastał, a potem, jak to zwykle bywa, podniosła się i gdy doszła do przyzwoitych piętnastu stopni, zaczął padać śnieg. Zaczął padać śnieg i nie wykazywał żadnych śladów tego, by miał przestać.

Obudziły ją głośne krzyki Setha i Carla na powitanie.

Stali na ścieżce, obydwoj zaopatrzeni w buty śniegowe. Benita w żaden sposób nie mogła otworzyć drzwi — którychkolwiek, jeśli o to chodzi — więc odchrząknęła im na powitanie z kuchennego okna, które, dla odmiany, przyjęło, że nie zamarznie.

— Dzień dobry! — Rozglądnęła się na wszystkie strony — Wygląda, że czeka mnie niezła robota!

— Tak jest! — odchrząknął Seth — Kawał roboty! Zrobimy to za ciebie. Nie musisz marznąć w stópki!

— Nie! — To pojedyncze słowo przecięło mroźne powietrze — To znaczy... dziękuję, w każdym razie, ale to moja robota... Proszę, Seth, naprawdę tak uważam! Po prostu podejdźcie do frontu, a ja przeciągnę was przez okno na śniadanie... ale nie zwracajcie sobie głowy moim śniegiem!

— A teraz, to jest jej śnieg — wymamrotał Seth, gdy przeciskał się przez małe okno w sypialni, to najłatwiejsze — Dać jej miesiąc, czy coś koło tego i będzie zadowolona z tego, że może oddać z powrotem każdy najmniejszy płatek!

— No, gdzie jest ta kawa, kobieto? Musimy naprawić pewne rzeczy w domku rybackim, bo inaczej nici z kolacji!

Carl zignorował ostatnią wypowiedź Seta. Jego wzrok spoczywał na Benicie, gdy ta niosła kawę i duży talerz z tostami z dżemem, na stół. Zdawał się śledzić każdy jej ruch.

— Nie martwiłbym się o naszą damę i śnieg — po wiedział tym swoim cichym głosem. — Niektóre kobiety muszą być niezależne.

Talerz z tostami wylądował na stole z odrobinę większą siłą niż była potrzebna. Benita była gotowa, by go zabić — nawet jeszcze bardziej, gdy dostrzegła ten znajomy błysk w jego oczach.

— To prawda! — Zatopiła zęby w toście. — Niektóre kobiety są niezależne.

Spodziewała się, że podejmie wyzwanie, że dotnie jej złośliwie, ale zdawał się być całkowicie rozluźniony... dopóki nie zobaczył dzieciota na karmniku.

— Hej! To wspaniale! Czym go karmisz, że przyleciał tutaj? Jest nieśmiałym chłopcem z prowincji w tym lesie.

Pragnęła niemal, by nie był tak pełen entuzjazmu... i taki zadowolony, taki najoczywiściej zadowolony z jej powodu! Cieszyła się na samą myśl, że wskaże mu ptaka, przypomni mu, że nowicjusz, jakim była w lesie, zwiabił tego, którego trudno zwiabić, a on to zepsuł, tym, że był... był taki miły!

Benita miała bardzo mało czasu, by zastanawiać się nad podwójną naturą Carla Hannakera tego dnia. Zajęło jej kilka godzin odrzucenie śniegu od wejścia — powstrzymując się od pokusy przekopania wszystkiego dookoła i potem spędziła następną godzinę idąc w śniegowych butach w stronę jeziora, po swoim dawnym szlaku. Nadal nie była najlepsza w butach śniegowych i była zadowolona, że jedynie wdzięczna, mała łasiczka, cicha biała „śmierć leśna” widziała, jak zakopała się nosem w dużą zaspę. Ale nie czekała, by zachichotać czy udzielić rady. Znikła za powaloną kłodą i zostawiła Benitę, by się wygramoliła sama.

Stała na brzegu i patrzyła w stronę wschodu. Tam stał, w kształcie statku, domek rybacki Carla i Seta. To przywiodło jej na myśl jej własny, na w pół ukończony, w małej piwniczce i ucieszyła się, że nie było prawie żadnych innych ludzi na jeziorze. Jej domek wyglądał tak, że, jak mawiał jej dziadek, dowodził, że został „złożony przez komitet”, jednoosobowy komitet, który nie należał do najlepszych cieśli na świecie.

Zacisnęła ponownie usta, jeszcze mocniej niż kiedykolwiek. Nienajlepszy cieśla... Ale Duncan Phyfe może zacząć liczyć dni, jeśli zacznie robić postępy!

6

Wreszcie skończyła swój mały domek rybacki, a potem miała piekielnie dużo roboty, żeby go wyciągnąć na zewnątrz. Ale gdy już to zrobiła, poszło jej raczej nieźle z ustawieniem go na jeziorze i zdołała nawet wyrąbać całkiem niezłą przerębę i przygotować ciepłe miejsce do siedzenia w swojej chatce. Codziennie schodziła w dół, do jeziora, ze swoim małym piecykiem Colemana i wędką... i za każdym razem wracała do domu z pustymi rękami. Podskoczyła prawie pod sam dach pewnego popołudnia, kiedy Carl pojawił się tam nagle, patrząc na nią przy drzwiach.

— Jesteś zaproszona na kolację rybną, dziś wieczór, w naszym domu — powiedział — i jako że wiem, iż będziesz się upierała na rewizytę, jutro pokażę ci, gdzie jest dobre miejsce do łowienia ryb. To co teraz robisz, to tylko chłodzenie przynęty.

Siedziała już tutaj dobry kawałek czasu i nie złowiła nawet czegoś na żab. Stała z wysiłkiem na nogi, powstrzymując usilnie chęć, by powiedzieć mu, że nie życzy sobie, by patrzył na nią z góry.

— Pozwól, że od razu zaproszę was z rewizytą — powiedziała — Odprowadź mnie do domu... to znaczy do chaty... a przygotuję gorącą czekoladę.

Popołudnie okazało się interesujące. Carl prześcignął sam siebie. Nie skończył nawet jeszcze pierwszej filiżanki czekolady, a już zdołał doprowadzić ją do białej gorączki.

Zaczął się od czegoś, co powiedział o kotach, na tym obszarze, — Nie, nie rysie amerykańskie — powiedział jej, — Ten wyjec tutaj w pobliżu, to prawdziwy ryś... i możesz mi wierzyć, ja nie żartuję! Może narobić więcej hałasu, niż cała armia. — Znów się do niej uśmiechnął. — Całkiem dodatkowa atrakcja do twojej... małej przygody w dziczy — słyszeć rysia!

— Z utęsknieniem na to czekam. — Mocno starała się nie zdenerwować, bardzo mocno... a potem, znów to zrobił.

— Hmm — jeśli zostaniesz tu dostatecznie długo — powiedział z tym samym dawnym rozbawieniem, które zaczynało przebłyskiwać w jego oczach — usłyszysz go. W okolicy jest ich kilka rodzin. — A potem już rzeczywiście rozpałił ogień. — Oczywiście — wzruszył ramionami — gdy wyjec wyda swój zimowy zew, ty pewnie już dawno będziesz w domu.

— Nie będę! — wybuchnęła, — Zamierzam zostać! — Była tak wściekła, że mogłaby go udusić. Mogłaby... hmm, na szczęście znów zmienił temat i — co wyszło im obojgu na dobre — zaczął mówić o czymś, co nie działało jej na nerwy.

— Podejź tu, Ben... — Wziął ją za rękę. — Ruszaj się cicho... popatrz na swój karmnik! Masz tu wielki tłok! Widzisz wieczornego grubodzioba? Musisz pamiętać, że powinien być do tej pory kilka mil na południe, więc nie żałuj mu jedzenia... i zerknij na górę, to bargiel kowalik.

— Niepodobny do kowalików, które widziałam... wygląda jak kowalik, ale jest jakby nieco mały, prawda?

— Wiele małych rzeczy jest pięknych — powiedział łagodnie i natychmiast zaczęła się zastanawiać, co miał na

myśli. — Powód dla którego jest taki mały... tam, widzisz? Należy on ze swoim rudym brzuszkiem do tej rodziny. Widzisz? Większy kuzyn, stary dobry ptaszek, z białą pierśią, jest nadal na sośnie.

Podeszła trochę bliżej, by zobaczyć kowalika z białą pierśią, nonszalancko zsuwającego się w dół po pniu drzewa, i gdy się odwróciła, stwierdziła, że Carl objął ją rękoma, że jego usta odnalazły jej własne. Cofnęła się do tyłu i wbiła w niego wzrok.

— No, dlaczego znów to zrobiłeś?

Jeśliby przemówił, to kto wie? Ale jedynie uśmiechnął się do niej i w jego oczach znów pojawił się promyk łagodnego rozbawienia.

— O! Rozumiem... jesteś taki pewien, że jestem po prostu małą kobietką-kokietką... dobrą jedynie do całowania, czy tak? Nie sądzisz, bym się na czymkolwiek znała, że wszystko, czego chcę, to mojej „małej przygody!” Hmm, pozwól, że coś ci powiem: jestem dobra w wielu rzeczach! Jest całkiem sporo rzeczy, które robię dobrze!

Carl wślizgnął się w swoją grubą kurtkę. Stał w drzwiach i uważnie się jej przyglądał. — Wierzę ci — powiedział w końcu — a całowanie należy do jednych z nich. Dobranoc, Jim Bowie!

To stawało się coraz trudniejsze do zniesienia. Wsunęła do swojego małego magnetofonu kasetę z Chopinem i Griegiem i pozwoliła, by zręczne palce Andre Previna wyciszyły jej wściekłość. Gdy muzyka przesuwiała się od poloneza i etiudy do potężnego dworu górskich królów i do podobnemu wiośnie tańcowi Anitry, zaczęła się czuć bardziej swojsko... ale nie była sobą! Była kobietą, którą dobrze i mocno pocałowano... i która, ku swemu wielkiemu żalowi, nie miała nic przeciwko.

Najpierw pomyślała, że nie pójdzie do Carla i Seta na kolację, ale jedno spojrzenie na zegarek przekonało ją, że

byłoby doprawdy niegrzecznie wycofać się o tej porze... a, w każdym razie, musiałaby przejść spory kawał, drogi, by im to powiedzieć, zatem równie dobrze może zostać i dobrze się najęść. Denerwowała ją jednak trochę myśl o jedzeniu tych wspaniałych ryb, świeżo złowionych w lodowatej wodzie, gdy tymczasem ona nie była w stanie skusić choćby jednej.

Ku swojemu zaskoczeniu spędziła fantastyczny wieczór. Ryba była wyśmienita, podana z pieczonymi ziemniakami, sokiem i marynowanymi buraczkami. Seth upiekł trochę płaskich bułeczek i nawet one były znakomite.

— Zadziwiające — powiedział Carl. — Krążą pogłoski, że niektóre ciastka Setha i inne wypieki potrafią wyłamać ci zęby, ale ten zbiór jest godzien pochwały... i za dużo jem. Będę musiał to spalić.

— Ja też. — Benita westchnęła z zadowoleniem. — Ale zrobię to podczas prawdziwej wyprawy! Gdzie mówiłeś, że jest dobre miejsce do łowienia? Chyba przesunę tam mój domek dziś wieczór.

— Dziś wieczór — westchnął Seth. — Nie chcesz, ma się rozumieć, żebyśmy ci pomagali.

— Nie, ale chciałabym wiedzieć, gdzie go postawić i chciałabym mieć, tam na lodzie, jakieś towarzystwo.

— Jesteś zaledwie w odległości dziesięciu jardów — roześmiał się Carl — ale jezioro pełne jest niezależnych ryb... zatem, chwyć za sprzęt, bracie Seth! Jeśli będziesz miał szczęście, może pozwoli ci popchać.

Benita zezwoliła na kilka pchnięć. Domek przymarzył i nawet pomimo jej kopania, drapania i pchania nie chciał się ruszyć z miejsca. Sprawę załatwiło jedno, wspólnymi siłami dokonane, pchnięcie i znów była samodzielna... jak tego chciała. Więc dlaczego, zastanawiała się, irytowało ją gdy patrzyła na Carla, stojącego z boku, obserwującego ją.

Carl właśnie oznajmił, że domek jest właściwie umiesz-

czony i dopasowany, gdy nagle strzelił palcami. — A niech to! Chyba zostawiłem czajnik na gazie! — Wyszczrzył do Benity zęby w uśmiechu. — Nasz, chociaż nie wydaje głosu i może się całkiem spalić! Hej... do zobaczenia i dzięki, że wpadłaś! — Odwrócił się i ruszył w stronę chaty tak szybko jak mógł.

Seth wziął ją pod ramię. — Niektórzy ludzie to urodzeni szczęściarze.

— Kto, tym razem?

Udawał zdziwienie. — Jak to... ty. Pomyśl, jakie masz szczęście. Masz mnie, żebym odprowadził cię do domu, a równie dobrze mógłby ci przypaść w udziale staruszek Carl! No więc, czyż los nie jest po twojej stronie?

— Całkowicie... ale czy nie moglibyśmy iść nieco szybciej? Nie wiem dlaczego, ale bardziej niż zwykle doskwiera mi wiatr... Jest mi zimno.

Spojrzał na nią znacząco. — Przykro mi... ale nawet ja nie mam zbyt dużego wpływu na podwyższenie temperatury w tej okolicy... No chodź. Przytulmy się i możesz trząść się teraz, ile chcesz w drodze do chaty!

Myślała, że wie, co się teraz stanie, ale nie spodziewała się tak entuzjastycznego pocałunku, albo takiego, który by tak mało dla niej znaczył. Seth potrząsnął głową. — Może następną lekcję prześlę pocztą — powiedział z wymuszonym uśmiechem. — Nie sądzę, bym robił na tobie wrażenie.

Uśmiechnęła się do niego. — Naprawdę myślę, że jest mi zbyt zimno.

Zabrał się do ściągania swojej kurtki. — Hmm... jeśli o to chodzi, to my...

— Seth — Zapięła ją na powrót i zasunęła do końca zamek błyskawiczny. — Idź do domu, Seth... — Uśmiechała się i trudno byłoby się nie roześmiać na widok zdziwienia malującego się na jego twarzy - Muszę po pracować nad moimi ptakami.

Schylił się i pocałował ją w policzek, — Odmiana braterska. Ptaki? To znaczy, że zamierzasz poczytać o małych, skrzydlatych przyjaciołach wtedy, gdy mogłabyś się więcej dowiedzieć o znacznie bardziej fascynujących zwyczajach podglądacza-dziewczyny-o-błyszczących-oczach, to znaczy o mnie! — Udawał, że westchnienie, które wydał, było próbą pobicia światowego rekordu, — No to twoja strata, piękna damo, do zobaczenia.

Tak, miły, interesujący i nieskomplikowany mężczyzna... a jego pocałunek, jeśli chodzi o wielkość wzruszenia, tyle znaczył dla niej, co stanie w kolejce w oczekiwaniu na metro. I to nie było sprawiedliwe! Był przemiłym, dobrym człowiekiem... a oto ona...

Wkroczyła do sypialni i znów przyglądnęła się swojej twarzy. To zaczęło jej wchodzić w krew, ale za każdym razem dowiadywała się czegoś. Nie, tym razem potwierdziła jedynie to, co już wcześniej wiedziała. Trudno by było Sethowi Fournierowi pocałować ją tak, żeby marzyła, by znów ją pocałował... przynajmniej dopóki się nie zmusi, by przestać myśleć o Carlu.

I na domiar wszystkiego, pomyślała ze złością, Carl uważa, że należą do innego gatunku — wystawionego na niebezpieczeństwo — a Seth jest chętny i pełen uczucia! Więc, co to mogłoby znaczyć?

— Znaczy to tylko jedno — wymamrotała. Nalała gorącą wodę do filiżanki z torebką herbaty — To znaczy, że próbuję wcale nie myśleć o Carlu. Kto mógłby ją zmusić, by weszła do jego świata?

Nie wiedziała, ile jej zajmie przeanalizowanie tej dziwnej rezerwy, z jaką do niego podchodziła, ale z pewnością dobrze wiedziała, kto chciał z całej duszy, by wiedziała jak to zrobić!

Następnego ranka, gdy znów znalazła się przy stole, by zjeść śniadanie i zapisać kolejny dzień w pamiętniku, nie

mogła się oprzeć, by nie wspomnieć o romantycznych zalotach Setha ubiegłej nocy. Zastanawiała się, czy pewnego dnia nie przeczytają tego jej pra-prawnuki i nie będą się chichotać z przygód babci. Hmm, jeśli tak, wkrótce dowiedzą się, że ich babcia była raczej nudna. W żaden sposób nie mogła wpaść w bardziej poetycką nutę w związku z pocałunkiem, który nic dla niej nie znaczył.

— Wiem — pisała — to głupie z mojej strony i rzeczywiście tracę czas, chcąc to choćby zapisać, ale nie sądzę, że Seth pocałuje mnie w taki sposób, który sprawia, że moje serce poczułoby, jakby nadeszła już wiosna.

Minęły prędko kolejne dwa dni, dni wypełnione wędrówkami po lesie i znalezieniem zadziwiającego drzewa, znanego pod nazwą chmielowego grabu. Jest to gęste, podobne do wiązu drzewo, które na wiosnę ma takie miłutkie kotki i takie interesujące małe, podobne do chmielu owoce. Dumna była ze swego odkrycia, ponieważ on rzeczywiście wyglądał jak wiąz... a ona zidentyfikowała go po tej grubej, ciemnej korze, z wąskimi, dziwnie wydłużonymi „łuskami”. Było to pięknie ukształtowane drzewo, ale ta kora wyglądała tak, jakby złożona była przez całkowitego amatora. Sprawdziła go z listą, którą zrobił dla niej Ray. Podobało się jej to drzewo. Nie było takie odważne i duże jak wiązy, które rosły w jego pobliżu, czy tak bogate w kolory jak czerwony dąb — teraz ogołocony z liści — ale było to miłe, przyjacielskie drzewo.

A potem, stojąc tam i przebiegając dłonią po gruzłowatej, chropawej korze, chciała, by był z nią Carl. Nie wiedziała dlaczego, ale wiedziała, że ten chmielowy grab również by się mu podobał. I nie było wątpliwości, że kochałby jego mieszkańców, parę ospałych, dużych, szarych sów, przytulonych do gałęzi drzewa, śniących o zajęcach i myszach polnych. Popatrzyła do góry, przez zmierzchającą mgielkę, na dwa ogromne kształty, większe

nawet, jako że postawiły pióra, chroniąc się w ten sposób przed zimnem.

— Może powinnam zamienić się w sowę — stwierdziła — na co ta większa otworzyła jedno żółte oko i utkwiała je w niej. — Och, nie patrz tak! Wiem, że on lubi ptaki!

I jeśli o to chodzi, to ona też. Pomimo tego, że miała zmarznięte palce, zrobiła szybkie zdjęcie uśpionej parze. Były to miłe sowy... i bardzo duże, ale nie przeraziły jej, tak jak owa wielka rogata, kiedy krążyła wokół domu, w nocy, u huuu, u huuu — nadlatywały z ciemności krzyki groźnego tygrysa powietrza. Pewnego wieczoru prawie że zdjęła już z głowy czapkę, gdy ten drapieznik stwierdził, że ma smakowity wygląd.

Zatrzymała się na szlaku, zaledwie kilka jardów od domu i zaczęła się śmiać. Nadszedł już niemal czas, by wysłać kolejny list do Linka, na to, by pojawiła się na niebie „Lulu” Curtisa, kołująca nad jeziorem, i jak to określał Curtis, czas na odebranie przesyłek-i-obiadu. Nie mogła się doczekać, jak opowie Linkowi o dwóch wielkich, szarych pięknościach i pokaże mu zdjęcie, które, była tego pewna, na pewno jej wyszło... ale przede wszystkim chciała mu opowiedzieć o panu Dużym Rogu. Chciała, by tu z nią był. Ilu mężczyzn, tych których znał, miałoby takiego bzika — jakiego ona przecież miała — na punkcie ptaków?

Roześmiała się na tę myśl. Wiedziała, że Rayowi by się to podobało i jeśli uda się jej przebrnąć przez ten ostatni, zawiany śniegiem kawałek, przygotowuje parę kukurydzianych ciasteczek, poleje je syropem klonowym, naleje filiżankę herbaty... i spędzi wieczór na pisaniu listów, z kasetą z Josephem Lambem i Scottem Joplinem w tle.

Dokładnie w tym momencie, gdy dotarła do drzwi, szczególnie gwałtowny podmuch wiatru prawie zwałił ją

z nóg. Jak miło, że palił się ogień w piecu i że trzeba było zaledwie kilku kawałków drzewa, które dołożyła do kominka, aby cały pokój wypełnił się miłym ciepłem... i za parę minut zje kolację, potem napisze listy i posłucha muzyki. Nawet, gdy już wieszała kurtkę — pamiętaj, zasady — i zmieniała buty na skarpety z gęsiego puchu, myślała, jak to będzie miło. Prawda, czasami było poczucie samotności, ale trzęsący się z zimna poszukiwacz złota sprzed lat nigdy nie wracał do domu i nie mógł posłuchać tam muzyki... prawdę powiedziawszy, najczęściej nigdy nie wracał do domu!

Wypełniła każde zadanie i w końcu, zakutana w flanelową piżamę i szlafrok, usadowiła się przy stole i zaczęła listy. To wtedy, gdy pisała datę, doszło do niej. Była tu dwadzieścia trzy dni... i zostało jedynie pięć do Święta Dziękczynienia.

Jakoś przez dłuższą chwilę nie mogła się zabrać do pisania. Święto Dziękczynienia. Prawda, Święta Bożego Narodzenia były dla niej specjalnym świętem — jej i babci -ale było coś wspólnego wokół Święta Dziękczynienia i dawało odrobinę do myślenia, że zamierza się je spędzić w samotności.

Wtedy właśnie zdała sobie nagle sprawę, że jest obserwowana. Szybko się odwróciła i wyjrzała przez większe okno. Nie była sama. Na skraju karmnika siedział duży ptak. Swoją poważną, podobną do sokoła twarz zwrócił prosto w jej stronę, tak jakby nie zwracał najmniejszej uwagi na mysz, którą trzymał w potężnym dziobie.

Gdy przybliżyła się nieco, zdała sobie sprawę, że patrzy na specjalny gatunek sowy, na piękną damę, mierzącą nieco ponad stopę, o nakrapianym czarno-białym upierzeniu i poważnym — rozśmieszyło ją to — poważnym wyglądzie sędziego, sędziego, któremu przytrafiła się na kolację mysz!

Nigdy takiej wcześniej nie widziała, a ta dama, zdaje się, postawiła sobie za cel dać jej się oglądać w pełnej krasie, nieco się nawet obracając, tak żeby mogła zobaczyć rdzawy koloru brzucha... i te mocne szpony. Przypomniała sobie, że nazwę swą ta sowa zawdzięczała nie tylko swemu wyglądowi; pochodziła ona od jej nadzwyczaj miękkiego upierzenia i sposobu w jaki, tak jak sokół, polowała — w dzień.

— Hmm, a co ty tu teraz porabiasz? Czy ty nigdy nie śpisz?

Skończyła jeść mysz, potem podniosła w górę bursztynowe oczy, znowu w jej kierunku, lekko przechyliła głowę i wyglądała... mądrze jak sowa! No tak, była leśnym komitetem powitalnym, roześmiała się, tą, która miała jej powiedzieć, że nie będzie sama w Święto Dziękczynienia.

I dlaczego, aż do bólu, chciałyby dzielić to wspaniałe doświadczenie z Carlem? Ponieważ wiedziała, że zrozumiałby, coś jej podszeptowało.

Nieźle, pomyślała, gdy usiadła w pobliżu okna, tak by mogła podziwiać swego nowego przyjaciela. Mamy tylko jedną rzecz wspólną — Carl i ja — i nie mam nawet okazji się tym z nim podzielić.

7

Tak, była z pewnością jedna rzecz, którą mieli wspólną, pomyślała, gdy wstała następnego ranka w domu, który był znacznie zimniejszy niż być powinien. Pogoda dawała się nieźle we znaki! Na zewnątrz opady śniegu, które zaczęły się w ciągu nocy, zabrały się bardziej serio do roboty. Podmuchy, które poczuła, gdy obudziła się w nocy, to były długie ramiona wiatru. Nadmuchały potężne zwały śniegu na jezioro, zasłaniając mały zagajnik po przeciwnej stronie jeziora; miejsce, o którym opowiedział jej Carl, było ogołocone, a czerwony klon odarty nawet ze swoich górskich szyszek, tych małych szyszeczek, które były takimi ulubionymi przez nią znakami rozpoznawczymi.

I gdy pod pokrywą śniegu zniknęły drzewa, nawet duże jodły i górujący nad wszystkim świerk, karmnik, blisko okna, teraz niemalże niewidoczny — za jedynych swoich mieszkańców miał parę gotowych na wszystko sikor, które uwiją gniazdo na pobliskim świerku, gdy będą już gotowe!

Stała obok skrzynki na drzewo, nasłuchując. Czy ktoś jej mówił, że wspaniałą rzeczą na bezludziu jest... cisza? Był raczej wyraźny brak ciszy; prawdę mówiąc, czuło się, jakby była całkowicie otoczona przez wszechobejmującą

siłę, która hałasowała i skrzeczała, i nawet sama chata trzęsła się jakby pod niespodziewanym najazdem.

Wróciła do sypialni i nałożyła na siebie jeszcze kilka warstw ubrań, potem od razu zabrała się do wykonania zadania, o którym zapomniała ubiegłej nocy. W kominku ciągle jeszcze tliły się szczapy, ale za jakąś godzinę — wewnątrz bruchatego pieca będzie zimne jak lód. Była wdzięczna temu nieziemskiemu krzykowi, który ją postawił na nogi. Najprawdopodobniej była to jej przyjacielsko nastawiona doradczyni, duża rogata sowa, lub ta bardziej jeszcze przyjacielska — ta, którą Carl nazywał czujnym stróżem' — sowa z długimi uszami o poważnym wyglądzie.

W każdym razie jakiś leśny głos wybił ją ze snu o upiornej, piątej godzinie i była wdzięczna. To nie był dobry dzień na to, by obudzić się i stwierdzić, że jest się w lodowym pudełku!

— O raju, ciebie mi potrzeba! — wymamrotała do czajnika z kawą. Nadal była w nim resztką kawy z poprzedniej nocy, ale nieważne. Potrzebowała się rozgrzać, nim rozpali ogień.

Wreszcie zdawało się, że dopięła swego i wkrótce ciepło zaczęło wypełniać pokój, wreszcie dochodząc do punktu, kiedy mogła zdjąć szlafrok i wyglądać już nie jak robot. Przysunęła krzesło bliżej okna. Zaczęło świtać, ale światło niespecjalnie się przykładało i z każdą nadchodzącą chwilą zdawało się, jakby coraz większe ilości śniegu wirowały w pomroku. Nie można już było powiedzieć o klonach, że są słabo widoczne... nie sposób było ich dojrzeć, bo wraz z nastającym świtem raczej znikwały, jak duchy z bajki, w otchłani bieli.

— Nie potrzebujemy poezji — wymamrotała. — Czas na wykonanie pewnych prac, które odkładałam.

Siłą nawyku wyjrzała przez okno, by zobaczyć czy jej sójka kanadyjska nadal lustruje teren, ale najwidoczniej

nie była leśnym głuptakiem. Jej codzienna grzęda była pusta i mogła sobie wyobrazić, że znalazła schronienie... które było zaciszne, ale to doprawdy szkoda, że nie było jej tutaj. Łatwiej jej było rozmawiać ze sobą, jeśli tak naprawdę wiedziało się, że mówi się do sąsiada z lasu.

Sąsiedzi. Słowo wylądowało z głuchym odgłosem. Było równie nieprawdopodobne, że zobaczy wesoły ogień na kominku w pobliskiej chacie, jak to, że polecą na Marsa! Ale dlaczego się nimi martwiła? Wątpiła, czy którykolwiek z nich zaniepokoił się o nią choćby przez chwilę... czy zresztą nie podkreślała raz za razem, że da sobie radę sama?

Ranek spędziła na układaniu w szafkach, pisaniu w pamiętniku, i ogólnym czyszczeniu, pamiętając, co kiedyś powiedział Hugh, kładąc na to szczególny nacisk.

„Nie dbam o to, jak bardzo jesteście wyzwolone — poważnie stwierdził. — Dobrze i właściwie jest mówić o „kobiecych pracach” albo o „byciu gospodynią domową”, kiedy jest się w mieście, ale, Ben... gdy będziesz tam, w tej chacie, będziesz miała tyle samo roboty do zrobienia... i nikt ci w tym nie pomoże.”

Gdy na kolanach czyściła linoleum w swojej małej kuchni, zadowolona była, że wzięła ze sobą swój stary, ogrzewany parą koc. Dzięki niemu podłoga w kuchni była miła i ciepła. Oczywiście musiał on być od czasu do czasu czyszczony, ale był idealny dla stóp! Przypomniała sobie, jak Ray mówił jej, że są pewne zasady — co podkreślał Hugh — ale, że nie ma najmniejszej potrzeby, by ograniczać się w rzeczach, które mogą ułatwić jej życie, pomysły, na które wpadnie sama. I miała te pomysły! W żaden sposób nie mogłaby zakopać pustych puszek podczas długiej zimy, zatem brała je w obie ręce, spłaszczła i miała ich już pełną skrzynkę w maleńkiej piwniczce.

A W.C? Tak, W.C. Odpowiedź na to znajdowała się

przy ścieżce, zaledwie kilka jardów od domu. Tak więc z desek zrobiła sobie w suterenie małą komórkę i jeśli śnieg nie zakrył jej zupełnie, nadal mogła się do niej dostać.

To załatwiało sprawę toalety, pomyślała ze śmiechem, ale co załatwi sprawę wanny? Westchnęła. Nie minął jeszcze miesiąc, a była już ekspertem na dalekiej północy, od tego co jej babcia nazywała „chlapankiem”. Można się przyzwyczaić, mówiła sobie, a jeśli dorwiesz się do wanny — jakiegokolwiek wanny — jak ci się to będzie dopiero podobało!

Nagle, ze znacznie większą szybkością niż z tą, z jaką nadeszła, burza skończyła się. Chmury zaczęły się gromadzić o trzeciej po południu i prawie bez ostrzeżenia wrzawa i szum, i zadymka śnieżna skończyły się, pozostawiając po sobie oślepiająco biały świat... z charakterystycznym dla pustkowia spokojem. Wiedziała, że burza się skończyła po tym, jak sójka znowu wróciła do pracy i niezniszczalna para sikor wróciła, by skończyć posiłek.

Tak, jeśli sójka jest już na swoim miejscu, to ona też tam powinna być, ponieważ czas odgarniania śniegu znowu nadszedł. Benita wślizgnęła się w swój „strój narciarski”, ocieplane, pikowane spodnie, wepchnięte do butów i naciągnęła na siebie kurtkę z kapturem, dodając do tego „rękawice bez palców, do pracy” i zabrała się do znojnego wychodzenia przez okno. Było to jak posuwanie się w masie roztopionych cukierków toffi, ale wreszcie udało się jej wyjść i znalazła sobie miejsce, od którego należało zacząć i po raz któryś z kolei jej wierna łopata ruszyła w tan.

W momencie gdy właśnie kończyła odkopywać skrzynkę na drzewo, usłyszała, że ktoś woła ją po imieniu. Zbliżał się ścieżką na nartach Seth.

— Cześć! Przyniosłem ci trochę smażonej fasoli i...

— Seth! Teraz na mnie kolej, jeśli chodzi o jedzenie.

Wiesz, że ja...

Nadszedł za nim Carl, dużo wolniej, jako że poruszał się na rakach, a nie na nartach. Uśmiechnął się do niej, ale oczy miał poważne i zamysłone.

— Nie — powiedział. — Domyślam się, że nie mogłabyś się poddać, nieprawdaż? Nawet wtedy, kiedy wiemy, że zrobiłabyś dla nas to samo!

Wszyscy zdawali się być dotknięci — nawet sikora — i Benita zdała sobie sprawę, że jest pewna granica! Z pewnością jakiś biedny, głodny poszukiwacz złota nie czułby się w obowiązku odrzucić dymiący garnek z fasolą... i ona również nie.

— Myślę, że mnie przekonaliście — roześmiała się, ale ja postaram się o boczek i trochę puszkowanego groszku. Stoi?

— Wiesz — stwierdził Carl — właściwie możesz to zrobić... — A ona nie miała bladego pojęcia, dlaczego — właśnie wtedy — powiedział te słowa!

Seth, co zdaje się było jego drugą naturą, nieustannie prowadził monolog, nawet wtedy, gdy przeciskał się przez okno. — Czy będzie w porządku, jeśli pociągnę drzwi, gdy Carl popcha? — zastanawiał się. — Zdaje mi się, że nie ma po co odkopywać drzwi, gdy potem nie można ich odebrać. A matka *nie* wychowała mnie po to, bym uprawiał okienną wspinałkę.

Gdy już wszyscy bezpiecznie dostali się do środka, Carl poszedł do kuchni i przyniósł talerze. — Wiem... wtargnęliśmy na twój teren. — Jego oczy znów się śmiały. — Ale czasami, jeśli czeka się, aż fasola Setha nieco się oziębi, to jego „niezrównana” umiejętność przyprawiania potraw staje się odrobinę nie do przyjęcia... możesz wierzyć! Miałem okazję zapoznać się z jego fazami oregano i rozmarynowymi i wiem...

Zebrali się wokół dużego stołu i Benita włożyła kasetę z dobrym, skocznym banjo i pianinem o brzmieniu honky-

tonk, jej ulubione. I ponieważ czuła się tak świetnie, wyciągnęła cenną, pieczołowicie przechowywaną sałatę i szybko ją przyrządziła.

— Jak pragną zdrowia! — zdumiał się Seth. — Jak ci się to udało? — Wepchnął do buzi kolejną porcję. — Przy niesiesz sałatę na ucztę w Święto Dziękczynienia?

Benita podniosła oczy w zdziwieniu. — Jaką ucztę w Święto Dziękczynienia?

Teraz przypadła kolej na Carla, by okazać zdziwienie. — Czy uczciwie myślisz, że pozwolilibyśmy ci tak tu siedzieć, w samotności... w takim dniu?

Była nieco zmieszana. — Hmm, nie wiem... a w każdym razie, mam nowego przyjaciela, który upewnił mnie, że jestem mile widziana. — Opowiedziała im o poważnej sowie, o twarzy sędziego.

— Śmieszne, że nazwałaś ją sędzią — roześmiał się Seth. — Od czasu do czasu ociera się też o okolice naszej chaty i Carl dał jej przydomek... „Adwokata”. Powiedział, że jedyne, co jej trzeba, by grała pierwsze skrzypce w jakimś brytyjskim sądzie, to peruka i długa, czarna toga.

— I te myszy! — Carl zawtórował mu ze śmiechem — Zawsze ma, jak widać, mysz na podorędziu i daje jej to wygląd... och, nie wiem, kogoś, kto od czasu do czasu zwędzi kieliszeczek, tylko, że w jej przypadku jest to mysz! Lubię staruszkę... zadowolony jestem, że ją poznałaś.

— Ja też. Ona jest urocza... och, co to będzie za ucztą? Mogłabym zrobić wspaniałą żurawinową sałatkę o konsystencji galaretki.

Seth wyszczerzył do niej zęby w uśmiechu. — Pamiętasz ostatni ślizg starego Curtisa? Widzisz ten duży pakunek? To, moja pani, jest nasz indyk... tyle, że tak naprawdę, to jeden z super gigantycznych brojlerów matki Curtisa, ale jest równie dobry! Już teraz go odmrażam...

jedyny problem leży w tym, że nie mogę się uczciwie określić jako mistrz w robieniu nadzienia.

Carl zamrugał do niego oczyma — Ciągłe ci mówię, żebyś tyle nie nawijał... Benita, czy dasz sobie radę z nadzieniem, czy brzmi to dla ciebie za bardzo na babską robotę? Seth nie potrafi z tego zrobić męskiej roboty!

Bawili się wyśmienicie, prawie jak na przyjęciu, z banjo iskrzącym się od piosenek typu „Pony Boy” i „Hot Time in the Old Town Tonight”... a potem był ten specyficzny wyraz na twarzy Carla i uczucie, które zawsze miała, że się z niej naśmiewa.

Czy po prostu szuka powodu, by się na niego złościć... bo inaczej nie może tego znieść? Pospieszenie wstała i poszła do kuchni po więcej kawy.

— Zrobię nadzienie — zawołała. — Babcia robiła takie z mąką kukurydzianą, która świetnie się nadawała... i robię też niezły sos.

— O... a to szkoda! — Carl pokiwał głową ze smutkiem. — Jakoś przywykłem do grudek Setha, przypalonej mąki i czego tam jeszcze, ale przypuszczam, że jeśli musimy mieć coś zjadliwego, to mój żołądek będzie w stanie się przystosować.

Benita stała przy oknie, ledwo zdając sobie sprawę, co on mówi, jedynie, że jego cichy, głęboki głos dochodził z drugiego pokoju. Czy wreszcie się odnalazła? Czy w końcu odkryła uciekającego tchórza, którym była ona, Benita? Nie była całkiem pewna... a jednak wydawało się być to boleśnie logiczne. Musiała się cała zjeżyć, by móc przyjąć obrazę... bo inaczej by jej nie zniosła!

Włała do dzbanka resztę kawy. Hugh mówił, by strzec się odludzia... że łatwo się zakochać. A to kpina! Jedyne, co się jej tu przytrafi, to, że może się zakochać w... Zatrzymała się w ostatniej chwili. Chwileczkę, łatwo było Hughowi wpadać w ton liryczny na temat jesionów albo

sówek, ale gdy przyszło co do czego, ona i prawie całkowicie obojętny on... to było coś zupełnie innego. Nie zamierza się zakochać!

Szybko pomaszzerowała do stołu i zamaszystym ruchem podała Carlowi dzbanek — Proszę... weź sobie kawy!

Carl popatrzył na nią przez chwilę. — Czasami zastanawiam się, jak to robię. Przez kilka minut nie powiedziałem ani słowa, a nawet teraz udało mi się cię rozzłościć! Co zrobiłem tym razem?

Seth prychnął. — Nie wiesz? Głupcze, ta kobieta ma bzika na twoim punkcie! Kobiety są śmieszne! Zawsze parszywie traktują faceta, jeśli go lubią... dlatego Ben jest tak ciężko — ciągnął nim którekolwiek z nich mogło się wtrącić. — Jest całkiem zwariowana na naszym punkcie... i jeśli chodzi o niezdecydowanie i wszystko...

— Mogę się zająć adwokatem — tą sową! — Benita roześmiała się, ciesząc się, że trudny moment już minął.

— Ummm... och, nie... nie tak! — Seth mądrze zaprzeczył głową.

— Dlaczego nie? — Benita pchnęła w jego stronę mały talerzyk z imbirowymi ciastkami — Myślę, że ona ma pewien urok.

— Ben! Czy ją słyszałeś? — Oczy Seta świeciły się blaskiem — Ten ptak gwiżdże na to!

Carl wstał i zaczął szukać swojej kurtki.

— To dopełnia wszystko! Czekał cały tydzień, by ją zwabić, a myśmy się w niej zakochali.

— Chodź już, komediantcie... kierunek dom i pomogę ci udekorować biuro, jeśli przyrzekniesz, że potrafisz to docenić. — Odwrócił się do Benity, gdy ruszali ku drzwiom i schylił się, by ją delikatnie pocałować w policzek. — Przyjdź wcześniej i zostań do późnej nocy — powiedział tonem głosu, którego nie mogła zrozumieć. — Jesteś czymś, za co należy być bardzo wdzięcznym. — Ale,

oczywiście, musiał to zepsuć. — W każdym razie, Seth będzie potrzebował pomocy w kuchni.

Gdy już poszli, a ona patrzyła, jak idą pod górę, z sikorą znów zajmującą swoją ulubioną pozycję, nalała sobie świeżą filizankę kawy i puściła drugą stronę kasety — trochę nowoorleńskiego jazzu i trochę głośnej muzyki z lat dwudziestych. Z jakiegoś powodu nie mogła sprawić, by Carl zajął w jej myślach neutralne miejsce. Było tak... niewiarygodnie trudno go zrozumieć. Wiedziała, że był szczerzy podczas pożegnania... zatem dlaczego zdawało się, że prawie że się zmusił, żeby dodać ostatnią wypowiedź, końcową uwagę, która zniszczyła cały czar i znów przywołała śmiech?

Święto Dziękczynienia wypadło znakomicie. Wyruszyła wraz z sójką wcześniej, przez cukierkowy śnieg, który był tak jasny, że aż oślepiał i ich trójka — troje ludzi — męczyło się co sił, by nadziać ptaka i wsadzić go do pieca, a potem zabrać się do reszty uczyty. Każdy kęs pachniał znakomicie i Benita zadowolona była, że słowa, jakich użył Seth do podziękowania, były krótkie i poruszona była ich szczerością.

Stał tak, z nożem do krojenia w jednej ręce — Hej... muszę uderzyć w podniosły ton! — Potem pochylił głowę, a oni poszli za jego przykładem. — Dzięki ci, Panie — powiedział szybko — Przeprowadziłeś nas... i dałeś nam tak wiele!

Kiedy otworzyła oczy, znalazła paczuszkę, która w tajemniczy sposób pojawiła się obok jej talerza, paczuszkę, która okazała się być pudełkiem po butach pełnym listów od „znajomków”.

Gdy już najadła się po uszy, Benita usiadła obok kominka z kawałkiem ciasta z dyni, zrobionego przez Carla i zaczęła przeglądać listy. Większość z nich nie różniła się specjalnie od listu Lisi. — „Czuję-się-dobrze-

a-jak-ty-się-czujesz — ale nawet takie były wzruszające..
Ale to ta niewielka ilość pozostałych sprawiła, że jej serc
drgnęło z radości i przekonała się, że nie zapomniano o niej.

Jean przeszła samą siebie. W jej kopercie znalazły się
skrawki materiału, którego użyje do zrobienia zasłon na
werandzie, zdjęcie jej drugiego wnuka, w momencie, gdy
ten wylewa zupę z makaronem w kształcie liter alfabetu na
swojego ojca, przepis na duszony czarny groszek, który
istotnie brzmiał niezłe... innymi słowy, miała umiejętność
wkładania całej siebie do koperty. Benita była zaskoczona
tym, jak bardzo mniej samotna się potem poczuła.

I były też inne równie dobre, ma się rozumieć — Link,
miły, młody człowiek — Bob — ze sklepu turystycznego,
Hugh, Milt... i Ray i Margaret. Mądry, mądry człowiek,
Raymond Clayton — on i jego ukochana żona napisali
wspólny list i Benita czuła płynący od nich nieustannie
strumień miłości i siły. Łzy napłynęły jej do oczu, gdy
przeczytała ostatnie linijki od Margaret.

„Mój mąż mówi ci — zaklina cię — byś się trzymała,
byś pamiętała, że każdy dzień przybliża cię do celu? Bzdury!
— Benita widziała niemal piękną twarz Margaret. z
nosem zmarszczonym z obrzydzenia. — Ty nie musisz się
trzymać, nie musisz myśleć, by dążyć do celu... nie masz na
to czasu, nie, jeśli odbierasz to wszystko, co powinnaś! Jeśli
masz czas, by się martwić i zastanawiać, coś ci umyka!

Wtedy przyrzekła sobie, że wypełni każdą chwilę dnia i
żeby to sobie udowodnić, miała cel jeśli chodzi o następny
dzień i wypróbuje łuk i strzałę, które dał jej Bob. Czy
myślała, że nie da sobie rady w rakach? Ha! Jeśli chodzi o
strzelanie do czegokolwiek, to najbezpieczniejszym miej-
scem — gdy stała za łukiem — był środek tarczy, ale, w
miarę upływu dnia, zaczęła czynić postępy, częściowo

dlatego, że miała teraz więcej czasu, czasu, w którym ani Seth, ani Carl się nie pojawili.

Czas rozpoczął właśnie swoją chytrą grę połykania wszystkiego w przeszłość i nagle stwierdziła, że wcale nie ma już zbyt wiele dni do Świąt Bożego Narodzenia. Była już tu prawie półtora miesiąca. Było kilka niedużych opadów śniegu, ale żaden z nich na tyle obfity, by nie pojawiali się przez tak długo. Mogła się jedynie domyślać, że obydwoj są bardzo zajęci... albo, że nie chcą przeszkadzać.

Pewnego ranka wracała znad jeziora, ze swoim pierwszym dużym połowem — sześć olbrzymich samogłówów — gdy zobaczyła Carla idącego ścieżką.

— Dzień dobry. — Zerkał znad ciemnych okularów. — Słońce jest wspaniałe w zimie, ale czasami może być rzeczywiście jasne... jesteś teraz bardzo zajęta?

Zaprzeczyła ruchem głowy. Wszystko było zapięte na ostatni guzik, a w tej chwili dwa bochenki chleba z mąki kukurydzianej i jeden żytni rosły w małej kuchni.

— Nic, co by mnie zatrzymywało... William Tell nie zazdrości mi mojego łucznictwa! — Zaczęła chować tarczę strzelecką.

— Być może. — Skinął głową. — Ale z tego co widziałem... jesteś już z dwieście razy lepsza, niż byłaś na początku... i to nie jest źle.

Mało co, a upuściłaby tarczę. Czy Carl Hannaker nie powiedział właśnie czegoś, co można było jedynie określić jako komplement? Było to znacznie więcej, niż mogła przyjąć.

— Ciągle mi jeszcze nie powiedziałaś, co masz na myśli?

Stanął w drzwiach, za jej plecami. — Uraź mnie kawą, moja droga... a potem, jeśli będziesz chciała, pójdziesz ze mną w góry, a ja pokażę ci parę kociąt.

Postawiła przed nim kawę. — Widzisz, jak się poprawiłam w przeciągu miesiąca? Wiem, że to są... chwileczkę, to są małe rysie, tak?

— Nie małe... ale tegoroczny miot. Myślę, że ich mamusia i tatuś wyruszyli w poszukiwaniu lepszych terenów łowieckich i trochę mi żal, że Sam również pójdzie, ale mała dama upodobała sobie to miejsce. Pewnie, że mam nadzieję, że nie jest całkiem sama. Każdy potrzebuje przyjaciela.

Czy on zawsze musi czynić takie enigmatyczne uwagi? Była to szczerza prawda — a nigdzie bardziej niż w środku puszczy — że każdy potrzebuje przyjaciela. Dlaczego wbiła sobie do głowy, że on też potrzebuje? Każdy by mógł jej powiedzieć, że pewnie nikogo mu nie trzeba!

Była milcząca, gdy wrócili z pasma Woodchuck. Mały ryś dawał sobie radę i Carl wskazał ślady, które świadczyły o tym, że trzy pozostałe uciekły, niedługo przed ich przyjściem.

— Więc mama i tata zabrali Sama... więc została Suzie. — Popatrzył na małego kota, skulonego u wejścia do jaskini, próbując z całych sił wyglądać na tak pewnego siebie i kompetentnego jak jego matka. Rzucił mu pół kanapki. — Da sobie radę.

— Jest taka okropnie... malutka — powiedziała Benita.

Carl wstał i ruszył w drogę powrotną ku chatom Tak, jest, ale też ma dużo determinacji, by przetrwać... — Przystanął i popatrzył na Benitę ze skupieniem. — Czy nie uważasz, że to połowa sukcesu?

8

— Chodź ze mną w góry — powiedział. Zabrzmiało to jak wiersz, albo miłosna piosenka... a nie było ani tym, ani tym, ale pokazał jej co pięknego i wspaniałego. Ale czuła smutek, gdy myślała o tej wyzywającej, małej, chochlikowatej twarzy. W małym rysiu nie było nic z tego nieodgadnionego dostojenstwa i majestatu lwa górskiego. Postawiła te swoje, zakończone kitkami uszy jak dumna księżniczka i Benita miała -wielką nadzieję, że przeżyje długą, ostrą zimę.

Myślała, oczywiście, że Carl — ze swoim całkowitym brakiem wycucia — zdoła zburzyć wszystko słowami. Zamiast tego, użył innego sposobu i stała tak z myślą o tym, przed kuchennymi drzwiami, patrząc w słońce, jak zaczynało zachodzić i myśląc po raz pierwszy, że jest rzeczywiście samotna.

Czekał na nią przy drzwiach. — Czy dobrze się bawiłaś... w czasie odwiedzin u małej księżniczki... nie, nie tak! Ona jest małym traperem i myślę, że gdyby mogła mówić, obraziłaby się, że nazwałem ją księżniczką. — Uśmiechnął się — To śmieszne, jak łatwo jest dotknąć młode damy. — Nie dał jej szans na odpowiedź. — Nieważne, czy podobała ci się?

— Bardzo — Poklepała się po pudełku od aparatu — Jest to taki dzień, że będę zadowolona, iż będę go mogła wspominać.

Nie miała jakoś pojęcia, że ją wtedy pocałuje. Wziął ją przez zaskoczenie, nie tylko jej uniesioną do góry twarz... ale również jej serce. Nigdy nie czuła się tak roztrzęsiona, jak wtedy, gdy patrzył na nią przez moment z powagą i skierował się w stronę swojej chaty.

Pocałował ją... i odpowiedziała każdą cząstką swojego jestestwa! Co się z nią działo? Pocałował ją... hmm, być może dlatego, że było mu jej żal, a potem — jak zawsze — odszedł i najprawdopodobniej już o tym nie myślał.

Im więcej o tym rozmyślała, nawet w czasie przygotowywania kolacji, tym bardziej stawała się wściekła, nie tylko na niego, ale również na siebie. Co powinna była zrobić — i czego była pewna — to popchnąć go w pierwszą z brzegu, śniegową zaspę! Wpadła jak burza do pokoju gościnnego i nastawiła najgłośniejszą, najbardziej dającą po uszach kasetę — odbijającego się echem Beethovena i uśmiechnęła się z satysfakcją, gdy ta wielka symfonia brzmiała wokół niej. Nie pozwoli na to, by on w jakikolwiek sposób rządził jej życiem... i jeśli myślał, że rzucony od czasu do czasu pocałunek jest zapłatą za to, że trwa na pustkowiu, będzie się jeszcze musiał nad czymś zastanowić! Jeśli o nią chodziło, Carl Hannaker mógłby pójść i wskoczyć do jeziora... hmm, jeśli byłby w stanie wyrębać przerebel.

Dni człapały jedne za drugimi, gdy zima powoli zaważadnęła całym obszarem. Przez kilka dni temperatura wahała się koło dwudziestu stopni i było bardzo prawdopodobne, że będą opady śniegu i mocne wiatry. Dni były długie i samotne, wcześniej zapadała ciemność i częścią ciemności były nocne głosy... i rzadko widziała Carla i Seta, chociaż Seth rzeczywiście wdepnął parę razy, by

ostrzec ją przed wyjątkowo obfitymi opadami śniegu. Przez większą część była sama, zajmując się swoimi sprawami, pracując nad swoim plecionym dywanem albo patrząc na gości w karmniku.

A to oznaczało, że miała dużo czasu do myślenia. Nie mogły odgonić jej myśli nawet wesołe walce Straussa czy też znakomita harmonia pieczołowicie dobranej muzyki, granej przez Mills Brothers albo Nata Cole'a. Zaczęła zdawać sobie sprawę z tego, jaka siła pokonała wielu innych — tych twardzieli, którzy stawiali czoła pustkowiu ileś lat wstecz. Nie było to ani zimno, ani śnieg, ani też nawet obawa przed dzikimi zwierzętami... była to świadomość samego siebie, która leżała obnażona przez samotność.

— Najlepszym lekarstwem na smutki — mówiła zawsze babcia — jest praca, która nie zostawia dla nich miejsca! — Gdy święta zaczęły się zbliżać, Benita zauważyła, że musiała coraz więcej pracować, by zatrzymać czatujące smutki, które chciały wyjść z kąta, aby powiedzieć, że do nich należy... a na to nie mogła pozwolić, więc pracowała. Czy była kiedyś gdzieś chata, która tak błyszczała jak jej własna? Czy istniał kiedykolwiek karmnik tak wyładowany specjałami, albo skrzynka na drewno zawsze wypełniona?

Ale jednak to jakby nie wystarczało i minęło jeszcze dwa dni, zanim zdała sobie sprawę, w czym leży problem. Nie udaje się jej dotrzymać umowy, jaką zawarła sama ze sobą! Nie przygotowywała się do Świąt Bożego Narodzenia. Nawet jeśli spędzi je sama, była przecież jakby w środku krajobrazu z pocztówki świątecznej, sprawi, że będzie tu nawet jeszcze piękniej. Będzie miała swoją choinkę.

Gdy zaczęła szukać, nie potrafiła znaleźć pojedynczego drzewa, które chciałyby ściąć, aby je wziąć do chaty jako

czasowego mieszkańca i wreszcie zdecydowała, że będzie miała żywe drzewko, że udekoruje mały, zuchowaty świerk, który stoi w odległości zaledwie jednego, lub dwu jardów od karmnika.

— Ale co, na Boga, użyjesz do dekoracji? — zapytała samej siebie i natychmiast zaczęły przychodzić jej do głowy pomysły. Zeszła do sutereny i zabrała kilka pustych, blaszanych puszek i pracowicie je powycinała i wypolerowała, aż otrzymała kilka świecących, małych ozdóbek, a potem zrobiła jeszcze parę z kawałeczków materiału, z folii używanej do pakowania czekolady — złotko było naprawdę piękne — a potem, żeby wszystko przypieczętować, wyprażyła kukurydzę, z której zrobiła łańcuchy, aby je powiesić na choince.

— Komu przyszło do głowy, że to jest proste? — wymamrotała. Była to noc przed Wigilią i miała mocne postanowienie, że jej drzewko będzie błyszczało, ale robienie łańcuchów było żmudną pracą. Czytała o tych szczęśliwych, traperskich rodzinach, które też same robiły łańcuchy i nie mogła się powstrzymać od myślenia, ile to razy kłuli się w palce, albo rozsypywała im się cała prażona kukurydza!

Wreszcie praca była skończona i wyszła do pierwotnej, białej ciszy, aby zabrać się do dekorowania. Jej przyjaciel, Whiskey Jack, siedział na najbliższej gałęzi, gotów udzielać jej rad.

— Nie krytykuj, dopóki nie zobaczysz — ostrzegła go. — I przestań jeść popcorn!

Przemyśliwała, jak by tu zainstalować światełka na swoim drzewku i ostatecznie zdecydowała się, że użyje świeczek urodzinowych, które się zaplały między artykułami spożywczymi. Jeśli nie będzie wiatru, który by je zgasił, sama to później robi, ale przez chwilę miało się prawdziwy bożonarodzeniowy nastrój patrząc na malutkie

ogniki migocące na delikatnym, zimowym wiatku. Znów uśmiechnęła się szeroko do ptaka.

— W porządku... czy ci to odpowiada? — Wepchnęła rękę do kieszeni po okruch chleba z mąki kukurydzianej, o którym wiedziała, że należy do jego ulubionych. — Masz... Wesołych Świąt i przestań jeść popcorn!

Gdy znalazła się w środku, była przemarznięta i nie bez powodu. Temperatura znacznie spadła od popołudnia i bliska była zeru. Dobry czas na to, by siedzieć w domu, z filiżanką gorącej czekolady w ręku, z bożonarodzeniową muzyką, sączącą się z jej małego magnetofonu kasetowego... i krzesłem przy oknie, tak by mogła podziwiać drzewko.

Usiadła, zwinęta w swoim dużym krześle, z zadowoleniem obserwując sójkę i parę innych ptaków, jak skakały wokół karmnika i podziwiając swoje cudowne drzewko. Bardzo była z niego dumna... w końcu sama to zrobiła i było piękne.

I dźwięk kolęd... kolęd? Usiadła i słuchała. Kasetka skończyła się jakiś czas temu, a jednak — chyba, że zaczyna odchodzić od zmysłów i padła całkowicie ofiarą magii pustkowie — słyszała czyjś śpiew.

Wtedy ukazali się w jej polu widzenia — Carl i Seth, każdy z nich niosący staroświecką latarnię i obydwaj śpiewający, co sił w płucach. Nie mogła się nie uśmiechnąć. To dla niej była ta bożonarodzeniowa serenada i rzadko kiedy miała okazję usłyszeć z takim zapalem wykonywaną „Cichą noc”.

— I — poinformował ją Seth, gdy zatupał, by strześcić śnieg — jesteśmy niewiarygodni przy wykonywaniu „Przybieżeli do Betlejem”. Wziął filiżankę czekolady, którą mu wręczyła. — Wdepnąłem tylko, naprawdę, by ci powiedzieć, że spędzę święta w Corner Brook, z moją siostrą. Dopilnuj, by Carl nie wpadł w jakieś tarapaty, dobrze?

Wieczór okazał się całkiem miły. Malutkie świeczki gasły na drzewku jedna za drugą, gdy tylko nadszedł wiatr, ale w bladym świetle księżycy drzewko nadal błyszczało świątecznym nastrojem, a oni, w środku, miło spędzali czas.

— A to przypomniało mi — powiedział Carl — że mam dla ciebie prezent, ale go nie dostaniesz aż do Świąt.

— Nie myślę, żebym...

Wyciągnął rękę. — Żadnych kłótni! Ale myślę, że będzie ci się podobał.

Wcześniej następnego ranka, na pustej przestrzeni koło jeziora wylądował samolot Curtisa. Gdy torował sobie drogę do chaty, niósł duże pudło.

— Nastaw na kawę! — wymamrotał — i chodź odebrać prezenty! Nadchodzi duży wiatr, a ja muszę odwieźć staruszka Seta do miasta... a dziś wieczór mam być Świętym Mikołajem na uroczystości kościelnej... o la la!

W dużym pudle było coś, na co miała wielką ochotę, ale co uznała za ekstrawagancję — wspaniały koc w jej ulubionych odcieniach błękitu — podarunek od całego zespołu z biura.

— Niech mnie, jeśli myślałem, że uda ci się przetrwać do tej pory — napisał Link — ale skoro tego dokonałaś, tu jest coś, na co zgodziliśmy się, że możesz przyjąć. Trzymaj się ciepło... kochamy cię.

Świat się zmienia, pomyślała. Jeśli Link potrafi na piśmie stwierdzić, że ją kochają — to świat się zmienia! Otworzyła też inne prezenty, tak szybko jak tylko potrafiła.

— Poczekaj minutkę — zaprotestował Curtis. — Nie wystawiłaś nawet pończochy! Nie wolno ci tego robić do jutra!

— Curtis... czekałam długo na prezenty — roześmiała się — i nie mogę czekać na to, co oni uważają za... możliwe do przyjęcia!

Każdy prezent był cudowny. Bob i Hugh złożyli się razem i wysłali specjalne filtry do jej aparatu. Jean zrobiła na drutach parę ciepłych skarpet, a Ray i Margaret dostarczyli przerażająco trudną składankę z tysiąca kawałków... i jeszcze jedną rzecz, jedną z malutkich kaset.

— „Nie wiem jak ty — mówił Ray — ale dla mnie to wspaniale móc usłyszeć stare pieśni i starą melodię na powrót, w czasie Świąt! W ubiegłym roku, jeśli sobie przypominasz, Meg i ja byliśmy w Londynie i poszliśmy do katedry westminsterskiej na uroczystości w wigilię Bożego Narodzenia — zatem oto jest... tu... mówi Londyn! Ale czyż nie jest to fantastyczne? Bez względu na to gdzie jesteś, jaką wyznajesz religię, albo kim jesteś — znaczenie, jakie mają Święta, jest nadal takie samo i będziesz wiedziała, jakie ono jest i my będziemy wiedzieli... wspólnie.”

Stała przy oknie, próbując powstrzymać łzy miłości, które były nad wyraz skłonne do napłynięcia i przypadkowo zauważyła Curtisa i Seta przecierających sobie drogę do „Lulu”. Seth się wówczas odwrócił i pomachał i to sprawiło, że przypominała sobie poprzedni wieczór.

Tak, było miło, ale był tam moment, który ją dotknął w dziwny sposób. Seth przekopywał się przez kasety, wybierając jedną lub dwie, które mu się podobały, a w międzyczasie nucąc na głos melodię o dobrze znanym, czerwono nosym łosiu i wreszcie Carl miał już dosyć. Wstał i przyniósł planszę do gry w warcaby i ustawił je.

— Może jeśli zagramy i będziemy bardzo głośno myśleć, będziemy w stanie zagłuszyć tego radosnego elfa, naszego przyjaciela — powiedział... wygrał trzy razy na trzy gry.

— Ha! — Benita oparła się na krześle i wbiła w niego wzrok. Dziadek nauczył ją grać w warcaby i — aż do chwili obecnej nie uważała się za całkiem zieloną w tej materii. — Mógłbyś jednak okazać nieco litości!

Carl patrzył na nią uważnie. — Mała informacja dla ciebie, Benita. Gram, by wygrać i nie pozwolę wygrać komuś innemu — nawet pięknej kobiecie — tylko dlatego, żeby się mogła dobrze poczuć! To jest tak, jak z wieloma rzeczami... jeśli wygrywasz z mocnym przeciwnikiem — i jesteś dobra, nieważne czy tak teraz myślisz — to coś dla ciebie znaczy. Nie zapominaj o tym.

Leżała tej nocy z otwartymi oczami, myśląc o jego słowach. Czy się przechwalał, czy dawał jej kolejną lekcję? Czy miało to znaczenie? Nadal tak naprawdę nie rozumiała tego człowieka, ale wiedziała, że pewnego dnia zagra z nim i da mu niezły wycisk.

Carl pojawił się bardzo wcześnie rano w pierwszy dzień świąt, nie mając ze sobą żadnych paczek, jedynie leniwy uśmiech.

- Ubierz się - powiedział — a pokażę ci twój prezent.

Była to długa wspinaczka, a wiał ostry wiatr od północy. Benita posuwała się za Carlem, dotrzymując mu jednak kroku. Przeszli grzbiet, gdzie widzieli młodego rysia, w dół, w stronę bagna, teraz zamrzniętego i cichego, i wreszcie obeszli najdalej wysunięty kraj bagna w którym to miejscu zatrzymał się nagle i wyciągnął rękę

— O tam, w dole — wyszeptał. — Ślizgaj się powoli za mną... bo inaczej go wystraszysz, a jest duży.

Był naprawdę duży, tak jak jego towarzysz, a idąc obok nich młody łoś nie należał też do niewyrośniętych Benita wgapiła się w ponad półtonową, nieruchawą masę, wygięty grzbiet i imponujące rosochate poroże. To był duży łoś, ten opruszony śniegiem, brązowy gigant, od czasu do czasu pożywiający się gałązkami wierzby i olchy... duży, duży łoś.

Nie zdawała sobie sprawy, jak była zmęczona po takiej długiej, porannej wędrowce i nigdy by nie podejrzewała, że Carl odbierze zmęczenie w jej głosie jako wyraz

rozczarowania.

— Czy to jest mój świąteczny prezent? — powiedziała.

Wiedziała od razu, że zabrzmiało to, jakby myślała, że to jest nic i otworzyła usta, by wyjaśnić, ale Carl cofnął się, jakby go uderzyła.

— Tak, na Boga, kobieto... czego się spodziewałaś? Diamentów? Myślałam, że to coś dla ciebie znaczy. Hmm, jeśli się już napatrzyłaś, wracajmy... a nawiasem mówiąc, wesołych Świąt. — Był już jakieś dziesięć jardów od niej, na szlaku.

Minęła dobra chwila, nim się z nim zrównała, ponieważ zajęło jej trochę czasu zrobienie kilku zdjęć łosiowej rodzinie. Ale nawet gdy była już blisko niego, Carl nie zwolnił kroku i gdy wreszcie dotarli do jej chaty, krótko ją pożegnał, powtórzył swoje „Wesołych Świąt” i odszedł w stronę swojej sadyby.

Benita stała w bladej szarości poranka — nie, było już wówczas popołudnie — myśląc, że z pewnością jej zachowanie nie należało do tych bardzo „świątecznych”. Hmm, nie pozwoli, by łatwo dające się zranić uczucia Carla zepsuły jej dzień! Pospiesznie weszła do środka i zaczęła przygotowywać posiłek. Prawda, był to jedynie duszony, puszkowany kurczak... i było też prawdą, że wiedziała, iż smakować będzie jak karton, jeśli zmuszona będzie zjeść go sama.

Wreszcie wyciągnęła duży wiklinowy kosz i wrzuciła wszystko do środka — duszonego kurczaka, żurawiny, resztkę sałaty, nawet bułeczki, które zrobiła ubiegłej nocy, a także kilka kawałków ciasta z owocami, domowego wypieku Jean. Wiatr wzmógł się jeszcze... ale wiedziała, że będzie się bardziej lubiła, jeśli odbędzie tę podróż.

Carl zdumiał się ujrawszy ją w drzwiach. — Czerwony

Kapturek! — wykrzyknął. — Co sprowadza cię do domu babci?

— Przynoszę świąteczny poczęstunek — powiedziała szybko. — Chcę, żebyś wiedział, że naprawdę bardzo mi się podobała rodzina łosi. Carl, była cudowna. Ogarnęło mnie jedynie zmęczenie... czy zjesz ze mną? Moje bułeczki są lepsze niż Setha.

— I nie dodajesz za dużo cynamonu do buraczków — zadeklarował. — Seth jakoś tak sobie kalkuluje, że jeśli szczypta daje dobre rezultaty... to garść będzie jeszcze lepsza. — Wstał. — Więcej kawy? Myślę, że potrzebuję jeszcze jedną filiżankę, żeby móc ją wypić do wyśmienitego ciasta twojej przyjaciółki.

Spędzili razem miły dzień i Benita zadowolona była, że trzy rozegrane przez nich gry w warcaby, zakończyły się raz jej zwycięstwem.

— Widzisz — powiedział — widzisz, jakie są skutki, jeśli uprzesz się, by wygrać? W takim tempie to ja będę błagał o litość z nadejściem wiosny... to znaczy, jeśli nadal tu będziesz.

Nie zamierzała dać się wciągnąć w kłótnię, ale nadszedł czas powrotu do domu... zanim jedno z nich znajdzie prawdziwszy powód do awantury. Carl poszedł po swoją ciepłą kurtkę.

— Jeśli nie będziesz chciała, bym cię odprowadził do domu — stwierdził z mocą w głosie — będę jedynie podążał za tobą. Ale — do zapamiętania — nie bardzo lubię, gdy ktokolwiek jest tam na zewnątrz sam, w nocy, nawet gdy to ja jestem! Więc zamontuję na słupie dużą latarnię. Będę miał światło w drodze powrotnej.

Była to rzeczywiście noc jak z kartki świątecznej, pomimo tego, że wiatr robił z nimi, co chciał. Ostatni krótki kawałek przeszli trzymając się za ręce, całkowicie zafascynowani pięknem tego, co wokół nich i nie było to dla

Benity niespodzianką, kiedy Carl wziął ją w ramiona i pocałował łagodnym, świątecznym pocałunkiem.

Szykował się właśnie do drogi, mogłoby nie być żadnych fluidów w powietrzu, ale przecież należał do ludzi, którzy potrafili posłużyć się paroma — często dobitnymi — słowami, do wyrażenia swoich myśli. Popatrzył jej w oczy i ten blask pojawił się także w jego własnych.

— Mam nadzieję, że miałaś dobry dzień — powiedział.

— Oczywiście! — Czuła się jak uczennica. Czuła nadal miękki pocałunek na ustach.

— No to... muszę wracać! — Pomachał jej wesoło. — Śpij dobrze harcerko na pustkowiu.

Urok tej chwili został nagle zburzony. Nadal się z niej śmiał. Bez względu na to co mówił, jak się zachowywał, wychodziło to stale na światło dzienne. Czy myślała, że nic dla niego nie znaczy? Była w wielkim błędzie! Śmiał się z niej, ponieważ ciągle uważał — zawsze tak będzie uważał — że jest zgrywuską z miasta! Nawet jeśli uda się jej przetrwać te cztery miesiące, Carl Hannaker nie będzie przekonany, że się jej to udało, była tego pewna.

9

Seth wrócił dwa dni po Świątach, dzieląc się z dumą ostatnimi informacjami o pogodzie i pokazując im pudełko z urządzeniami, które, jak ich zapewnił, pomogą mu zrobić z jego radiostacji prawdziwe чудо.

— Nie jestem już — proszę mi wybaczyć — głosem wołającym na pustkowiu — powiedział. — Począwszy od tego ranka, będę regularnie wpadał z informacjami i prognozą i mam też wyznaczone specjalne zadanie ostrzegania wszystkich w okolicy, którzy posiadają krótkofalówki i którzy chcą wiedzieć, czy staruszka Zima jest tu jeszcze z nami... co najprawdopodobniej będzie jeszcze prawdą przez jakiś czas. Hej, wyglądacie na zaszokowanych! Dla odmiany stałem się pożyteczny!

Gdy Benita przygotowywała się do snu, dotarło do niej, że dawno nie łowili ryb. Czy rzeczywiście utrzymywali się z tego, że od czasu do czasu chodzili na ryby? Nie mogła jakoś w to uwierzyć. Czy byli jakimiś... nie, chwileczkę, znała jeden z powodów, dla których niektórzy samotnicy dostawali na odludziu świra! Zaczynali wierzyć w każdy zwariowany pomysł, jaki im przyszedł do głowy.

Następny dzień udowodnił, że zima jest prawie tak samo kapryśna jak wiosna. Temperatura wzrosła prawie do

trzydziestu stopni, a słońce świeciło jasno i było ciepło. Benita czuła się tak dobrze, że wyszukała swój flet i zaczęła grać, a potem, jako że pogoda na zewnątrz była tak zachęcająca, wślizgnęła się w swój sweter i wyszła na zewnątrz, grając nadal skoczną muzykę.

Nie było zbyt dużo słuchaczy. Jej osobista sójka, ma się rozumieć, była na posterunku, ale oprócz niej skakała jedynie samotna czerwona wiewiórka, jasna błyskawica na tle śniegu. Była całkowicie zafascynowana muzyką i w końcu przybliżyła się i stała tak, na tylnych łapkach, jakby rzeczywiście świetnie się bawiła.

Benita była pewna, że każdy, posiadający taki wątpliwy talent muzyczny, powinien zachęcić publiczność, więc gdy poszła do domu, by przynieść kilka smakołyków do karmnika, wzięła dla wiewióreczki trochę resztek i parę orzechów laskowych z dużej torby, którą podesał Link. I, by nadal utrzymać ją w dobrym nastroju, zaczęła znowu swoje serenady, gdy ona napełniała sobie brzuszek.

Skończyła „Zielone rękawy” i zaczęła „Widziałem trzy okręty” — tę drugą piosenkę, którą jeszcze potrafiła wygrać — gdy pojawił się na ścieżce Seth i zatrzymał, by wlepić w nią wzrok.

— Pomyślałem, że brakuje mi jakiejś klepki! — powiedział. — Brzmi niezłe, ale czy nie powinnaś raczej próbować złowić ze dwie rybki? Dobry dzień na to i już nie będzie to później takie łatwe.

Myślała sobie potem, że powinna była lepiej wiedzieć, że nie powinna była dać się nabrać... ale nie, ubrała swoje grubsze ubranie i skierowali się oboje w stronę domku rybackiego, gdzie wkrótce stało się jasne, że Seth miał na myśli inne sprawy, a nie ryby.

Z początku próbowała po prostu nie wchodzić mu w drogę, ale wkrótce przekonała się, że nie ma w szopie

zbyt dużo pola do manewru, a blask w ochoczych oczach Seta w najmniejszym stopniu nie przygasł.

Na szczęście ryby nie brały, więc Benita zebrała się, obdarzyła Seta szerokim uśmiechem i przygotowana była do wyjścia. — Nie ma po co tu zostawać, skoro nic się nie dzieje — powiedziała.

Seth zrobił zeza i wykrzywił twarz. — Coś by się działo, gdybyś przestała się wymykać... no dobrze, chodźmy. Będę dżentelmenem i odprowadzę cię do domu, ale zdaje mi się, że staruszka Charlie, ruda wiewiórka, jest bardziej dla ciebie interesująca niż ja.

— Oczywiście — skontrowała. — Słucha uważnie mojej muzyki... a poza tym, jest ładniejsza!

Nieprzyjemna chwila minęła, ale Benita wyciągnęła z tego jednoznaczny wniosek — w przyszłości nie będzie już łowiła z Setem ryb w budzie. To wymaga zbyt wielkiego wysiłku!

— Nawiasem mówiąc — ogłosił Seth, gdy był już gotów do odejścia — jakie są twoje plany na Sylwestra?

Pomyślała przez chwilę. — W porządku... co byś na to powiedział. Wydam bal sylwestrowy i zaproszę ciebie i Carla. Nie potrafię zrobić wystawnego przyjęcia ze strzelającym szampanem, ale mam jednak butelkę wina i dzban jabłecznika.

— Co w zupełności wystarczy — zgodził się Seth. — Wyciągnij papierowe kapelusze i serpentyny, mamusku... a przyjdziemy!

Wieczór był, jak się okazało, przyjemny i swojski. Cała ich trójka rozegrała ożywioną partyjkę w karty i jako dodatkową atrakcję włączyli wspaniałą muzykę i dwóch mężczyzn tańczyło na zmianę z Benitą. Wypili jabłecznik do ostatniej kropli i całkiem niezłą ilość wina.

— Jeśli się jest jedyną damą, tańczącą z dwoma dżentelmenami — powiedziała Benita, gdy przechyliła, bardzo

jej potrzebną szklankę zimnego jabłecznika — to zadziwiające jest, jak bardzo chce się pić... i jak bardzo bołą cię nogi!

I dokładnie o północy ucałowała najpierw Setha, potem Carla i śmiali się wspólnie z komentarza Carla.

— Wiem, że powinnaś pocałować każdego, kto ci się napatoczy — powiedział — ale, poza tobą, Ben, jedyne, co widzę, to Seth i kowalik, tam, w karmniku... i mówiąc prawdę, żaden z nich nie przedstawia dla mnie specjalnej wartości!

Wkrótce potem przyjęcie się skończyło. W tle Bennie Goodman nadal zapraszał — „Let's Dance”, ale byli zmęczeni, chociaż naprawdę świetnie się bawili. Benita odprowadziła ich do drzwi i pocałowała obu na dobranoc, jak dwóch starych przyjaciół. Oczywiście, Carl nie omieszkął dodać swoich trzech groszy.

Stał w półotwartych drzwiach, gotów do wyjścia na zewnątrz i przyłączenia się do Setha. Jego wzrok spoczął na niej i uśmiechnął się. — Tak, Benita — powiedział refleksyjnie — masz zadatki na to, by być z ciebie kawał baby..., nawet tu, na północy.

Pomyślała później, że może znów się z niej śmiał. To musiało być to... a w każdym razie, jeśli nie, to inna możliwość — że wie, iż ona żyje, naprawdę wie — była zbyt oszołamiająca, by ją brać pod uwagę. Nie wiedziała, czy tego chce! Wiedziała, co względem niego czuje, ale on zawsze zmieniał jej opinię. Zdawało się, że tylko wtedy się przybliży, jeśli zaraz może zniknąć. A ona, pomyślała o tym wzdychając ciężko, ma lepsze rzeczy do roboty, niż tracić czas, usiłując go rozgryźć.

W pierwszym tygodniu stycznia, w nocy, obudził ją przeraźliwy krzyk dużej rogatej sowy i na dodatek, jeszcze jeden krzyk i odgłosy jakiejś walki. Benita wygramoliła się z łóżka i podbiegła do kuchennego okna dokładnie w mo-

mencie, gdy błądy odbłask światła księżycy obrysował dużego ptaka. Męczył się ze zdobyczą, która była za ciężka, i na dźwięk otwieranych drzwi upuścił ją i wślizgnął się w ciemność nocy.

Benita zmrużyła oczy i znów spojrzała. Na polance leżało jakieś ciało, jakieś zwierzę, które znalazło śmierć w szponach ogromnej sowy. Już prawie odchodziła, gdy stworzenie poruszyło się... i wstrzymała oddech. To był młody ryś... dumna, mała księżniczka i była bardzo ciężko ranna.

Ubranie zajęło jej niewiele czasu, ale wiedziała, że jeśli tego nie zrobi, mały ryś umrze, i jeśli nie udzieli jej pomocy z należytą ostrożnością — może ją paskudnie podrapać albo ugryźć. Naciągnęła grube wierzchnie ubranie i do tego drugą parę rękawiczek, pod mitenki. Koty, mówiła do siebie z powagą, mają bardzo ostre zęby... a to nie jest zwyczajny domowy kot.

Suzie, tak nazwał ją Carl. Benita przyklękła i położyła Suzie, która wydawała jedynie słaby jęk protestu, na gruby chodniczek i pośpieszyła do ciepłej chaty. Kot nie był aż tak poważnie zraniony, jak myślała, chociaż miał na grzbiecie głębokie rany, gdzie zagłębiły się mordercze pazury. Ale głównie chodziło o to, że zamarzyła leżąc tam, na polanie. Benita nabrała głęboki oddech i przystąpiła do udzielania pierwszej pomocy.

— Weterynarz na poczekaniu — wymruczała.

Ciało, pod jej rękami, poruszało się ledwo, ledwo, więc Benita szybko przystąpiła do pracy, i gdy już skończyła, złączyła ze sobą rozorane miejsca tak dobrze, jak tylko potrafiła. Z pomocą bandaży i plastra, biedna Suzie wyglądała jak ofiara jakiegoś wypadku... i „Biedna Suzie” zaczęła dochodzić do siebie, co pociągało za sobą gardłowe warczenie.

— Biedactwo — wymruczała Benita. — Podła, stara

sowa rzeczywiście cię dopadła, prawda? No chodź. Znajdziemy ci coś dobrego do jedzenia.

Suzi mogła przeżyć doświadczenie, od którego stawały włosy na głowie, ale nie była w nastroju do zawierania przyjaźni. Przycupnęła w rogu wielkiego tapczanu i natychmiast poinformowała Benitę — całkiem głośno — że chce, by ją zostawiono w spokoju, może nawet, by wrócić do tego, co obecnie zmieniało się w deszczowo-śnie-gową burzę.

" — Och, nie kłóć się tyle! — Benita położyła dużą miskę z ciepłym mlekiem na podłodze i czekała. Jako że kot był tak rozszoszczony, nie sądziła, że będzie w nastroju ugody, ale nie miała racji.

Prawdopodobnie nadal boleśnie odczuwała skutki spotkania, ale Suzie przywarła do podłogi i ostrożnie przesunęła się w stronę miski. Rozglądała się wokół, czujnym złotobursztynowymi oczyma, a jej bardzo podobny do kota pysk, z ciemnymi plamkami i ciemnym kołnierzem sprawiał, że wyglądała jak czyjeś zwierzę domowe... kociak, który stara się jak najmniej hałasować. Wreszcie ruszyła do przodu i pochyliła głowę nad miską... i wypila wszystko do ostatniej kropli.

Potem się odwróciła i obrzuciła Benitę" taksującym spojrzeniem. Malutkie kitki na pięknych, uniesionych do góry uszach nie trzęsły się już ze złości — prawdę mówiąc wyglądała niemal przyjacielsko — ale Benita nie próbowała tego dowieść. Pozwoliła, by Suzie podjęła decyzję... co też natychmiast zrobiła. Wróciła na tapczan, okrążyła go, ciężko opadła na poduszkę i zasnęła. Benita stała, patrząc się na nią, podziwiając jej pełne wdzięku, umięśnione ciało, ciągle jeszcze piękne pomimo bandaży, i z jakiegoś powodu pomyślała o babci. Babcia nieustannie jej powtarzała, że jest „w dobrym tonie" mieć przyzwoitkę.

— Hmm — ziewnęła Benita, gdy pomaszzerowała z po-

wrotem do łóżka. — Teraz ją mam, babciu... i jest prawdziwą księżniczką.

Carl wdepnął późnym rankiem, żeby pożyczyć haczyki do łowienia ryb. Oczy mu się rozszerzyły, gdy zobaczył nowego mieszkańca, który najspokojniej raczył się papką z mąki kukurydzianej. Dostrzegł również łatanie skóry i potrząsnął głową.

— Co się stało? — Przysunął się trochę bliżej, żeby móc się lepiej przyjrzeć, ale oczy Suzie ostrzegły go, by się zatrzymał.

— Sądzę, że przegrała walkę z Dużą Sową — powiedziała Benita. — Znalazłam ją na polanie, z tymi ranami... nie wiem, czy postąpiłam właściwie, ale nie mogłam tak po prostu pozwolić jej umrzeć.

Carl był na kolanach, przysuwając się bliżej. — Czy ściągnęłaś brzegi ran? Czy je zaszyłaś? Nie, to mogłoby być niebezpieczne. — Wyciągnął szyję i zerknął pod bandaż, gdy Suzie zdecydowała, że nie będzie na niego zwracać uwagi i skończy swoje śniadanie.

— Dobrze to wygląda, Ben, bardzo dobrze!

— Ale co ja z nią pocznę? Myślę, że zdecydowała, że się jej tu podoba.

Znów wstał na nogi. — Nic jej się nie stanie, jak dojdzie do siebie w miłym, ciepłym miejscu... duża sowa nie jest wesołą rozrywką dla jakiegokolwiek zwierzęcia, które się na nią natknie, więc dlaczego nie miałyby zostać? Powie ci, kiedy będzie chciała wyjść.

Przez kilka nocy nastąpił prawdziwy atak wiatru i podczas trzeciej nocy Benita obudziła się... z powodu czegoś, czego nawet nie słyszała. Poczuała to jedynie. Był to jakiś rodzaj dźwięku, ale prawie że niesłyszalnego, jednak wiedziała, że nie jest sama. Przyczołgała się ostrożnie do drzwi, trzymając w zaciśniętych rękach strzelbę.

To właśnie wtedy zdała sobie sprawę, że na pewno nie

jest sama, nawet po tej stronie drzwi. Tuż obok niej, ocierając się o jej łydkę ciepłym, brązowym futrem, znajdowała się Suzie i to było tak, jakby mówiła głośno, jakby powiedziała Benicie, że stawia temu czoło razem. I jakby o tym nie myśleć, jakakolwiek dama, które przeżyła spotkanie z wielką sową, mogła być dobrym kompanem w trudnych chwilach.

Benita przytuliła się płasko do ściany i patrzyła tak, by móc obserwować drzwi na zewnątrz. Nic. Przeszła potem do kuchni, by się jeszcze raz rozejrzeć. Obok niej sunęły bezgłośnie stopy małego rysia, i gdy Benita zajęła miejsce, kot z łatwością wskoczył na kredens, przyciskając pysk do okna, prężąc w pogotowiu ciało... i czekając.

Benita doszła już prawie do wniosku, że wcale nikogo w pobliżu nie ma, że zaczyna zaludniać lasy wytworami swojej wyobraźni... i wtedy, w całkowitym bezruchu, zaskoczyła ją, gdy ujrzała, jak gałęzie najbliższej białej sosny lekko się poruszyły. Nie, to nie był wiatr... przeleciałby przez wiele pokrytych śniegiem drzew. Ktoś tam był, ktoś, kto bezgłośnie odszedł.

Nie zdawała sobie sprawy, gdy ruszyła w noc, że jej broń — niezaładowana i bezużyteczna — stała oparta w kącie i że jej ręka spoczywała na świecącej, złotej głowie w jej pobliżu do momentu, gdy kot nie wydał przypominającego bulgotanie głosu, który przykuł jej uwagę. Benita prawie że się roześmiała na ten odgłos. Jakkolwiek była dzielną traperką, to jednak Suzie była nadal kotem... chciała, żeby ją podrapać po głowie. Uśmiechnęła się do siebie. Hmm, jeszcze jedna winieta do notatek Lincolna Gravesa, pomyślała. Była pewna, że jest najpierwsza z pierwszych. Kogo jeszcze on — czy ktokolwiek inny — znał, kto by drapał po, głowie rysia o drugiej nad ranem?

Trochę się rozluźniła, ale nie mogła przestać myśleć o nocnym gościu. Ktoś tam był... ktoś, albo jakieś bardzo

duże zwierzę, a żadne z tych dwu rozwiązań nie było pocieszające. A jednak, ktokolwiek by tam był, spokojnie odszedł. Zastanawiała się, czy poważny, koci pysk u jej boku mógł być zza okna dostrzeżony? Było to więcej niż prawdopodobne! Jeśli ktoś grasował w pobliżu, obszukując chaty z zamiarem być może kradzieży, mogłoby to być dla niego prawdziwym szokiem, że zobaczył utkwione w nim oczy... oczy osadzone w pysku pozbawionego uśmiechu rysia.

Teraz poczuła, że jest jej chyba żal tego kogoś tam, na zimnie. Było spokojnie, tak prawie, że aż straszno, ale temperatura spadła do dwudziestu stopni poniżej zera. A to znaczyło, że pewnie powinna sprawdzić, jak pracuje jej dobry, stary piec, pomyślała.

Buzował wesoło, ale Benita dodała na wszelki wypadek jeszcze kawał drzewa. Zatrzymała się, gdy jej pracę przerwał gderliwy, ale delikatny jęk. Suzie stała przy kuchennych drzwiach, patrząc na Benitę pytającym wzrokiem.

Trochę ją to zasmuciło. Nie myślała, że mały ryś stoi już tak mocno na nogach — czy raczej łapach — aby wychodzić na ten ziąb! Co, jeśli znów pojawi się wielka sowa? Ryś, który nie może się poruszać ze swoją zwykłą prędkością, będzie stanowił łatwy cel.

Ale była mocno pewna swego. Jedna, gęsto pokryta futrem łapa wysunęła się do przodu i drapnęła o drzwi. Benita westchnęła. W porządku, Suzie... ale proszę cię, uważaj. Otworzyła drzwi, podczas gdy kot wymaszerował w noc.

Dom zdawał się już jakoś nie być taki miły i wygodny teraz. Zanurkowała w ciepłe, zachęcające otchłanie śpiwora i próbowała z powrotem zasnąć... ale nie miało to sensu. Czowała wspólnotę z tym zwierzęciem, gdy stały tak obie w kuchni, a teraz, zaledwie kilka minut później, została odrzucona.

Należy do świata zewnętrznego, coś jej powiedziało, a w sercu miała natychmiast gotowe odpowiedzi — tak, oczywiście, kiedy jej muskularne ciało będzie już na to gotowe.

Benita przewróciła się na drugi bok i znowu usiłowała zasnąć. Co ją obchodzi, jeśli duża sowa zamierza się nażreć dzisiejszej nocy? Ale wiedziała, co ją to obchodzi... to by oznaczało, że odszedł przyjaciel.

Westchnęła. Gdyby jeszcze wiatr nie walił tak w dom, to może mogłaby wreszcie zasnąć i przestać się martwić o małego rysia. Pomyślała wtedy o Carlu. Czy on... nie, nie musiała nawet pytać! Znając Carla, to pewnie odwróciłby się plecami i nie pozwoliłby jej wyjść, dopóki nie poczułaby się lepiej.

— Och, gdyby tylko ten głupi wiatr... Usiadła wyprostowana na łóżku, zaplątana w przykryciach i kocach. Jaki wiatr? To była ta jedna rzecz, jaką zauważyła podczas tej ciemnej, odpychająco zimnej nocy... prawie nie było wiatru. Zatem, co to był za hałas?

Wyszła z łóżka i pośpiesznie podążyła do dużego pokoju. Podeszła do każdego okna i wyglądnęła. Nikogo nie było... nic, ale żeby się upewnić, bardzo ostrożnie uchyliła drzwi... i zastała prawie powalona przez brązowego ducha, który przemknął obok niej i zajął swoje miejsce na tapczanie.

Suzie umościła się znów wygodnie i położyła. Gdy podniosła pełne wyrazu oczy, by popatrzeć na swoją gospodynię, Benita mogłaby przysiąc, że było w nich rozbawienie. Na miły Bóg, zdawała się mówić, czy kobieta nie może już pójść do toalety, tak żeby nie zamykano jej domu, w chwili gdy odwróci się plecami?

Benita podeszła rozluźniona powoli do tapczanu i nadal poruszając się powoli obniżyła rękę, by położyć ją na łbie... i zaczęła drapać. Może nie był to prawdziwy mruk,

ale z brzucha kota wydostawał się jakiś odgłos, oznaczający zadowolenie. Benita uśmiechnęła się zamyślona. Dwie małe damy... dwie małe kobiety i pustkowie, i przez przypadek odnalazły się nawzajem. W jej oczach pojawił się mocny i zdecydowany błysk.

— A Carl myśli, że mógłby mnie powstrzymać... że cokolwiek mogłoby mnie powstrzymać? — powiedziała do śpiącego kota. — On nie mógłby... ale będzie to znacznie trudniejsze teraz, kiedy jesteśmy we dwie!

10

Było przeraźliwie zimno następnego dnia rano, kiedy Benita wstała, żeby się upewnić, czy nadal tli się w kominku. Była zadowolona, że nie pozwoliła sobie na dłuższą drzemkę i pamiętała, co z taką mocą podkreślał Hugh.

— Próbuj wstawać o jednakowej porze. Odwrócisz się na drugi bok, by uciąć sobie jeszcze krótką drzemkę i możesz zastać wygasły kominek!

Zerknęła do środka i pospieszyła w stronę skrzynki na drzewo. Ogień na kominku jeszcze się tlił, ale w piecu prawie wygasł. Gdy zajmowała się jego roznieceniem, jej oczy powędrowały w stronę termometru. Stwierdziła, że pogoda była podobna do tej na prerii w Albercie. Gdy temperatura schodziła do trzydziestu poniżej zera, ludzie starali się zaoszczędzić na każdym ruchu.

W domu nadal było zimno, więc Benita wczółgała się ponownie pod koce. Teraz, kiedy ogień wysyłał swoje ciepło po pokojach, wkrótce będzie mogła poruszać się po domu ze znacznie większą łatwością, ale, tymczasem, nic się nie stanie, jeżeli zostawi kominkowi czas na działanie.

Zasnęła, a kiedy się obudziła, jakąś godzinę później, poczuła jakby coś ją trzymało, jakby coś mocno uciskało jej stopy. Udało jej się, z wysiłkiem, usiąść... i głośno się

roześmiała. Suzie leżała wygodnie, zawinięta w kłębek u wezgłowia łóżka. Rzuciła jeden raz okiem na Benitę, wyraźnie znudzona i znów wróciła do poprzedniej pozycji.

— Hmm, dlaczego by nie? — roześmiała się Benita. Wskoczyła z łóżka i zaczęła nakładać codzienne ubranie. — Jest dużo miejsca... ale założę się, że jestem jedyną mi znaną osobą, która śpi z kotem u wezgłowia łóżka... i że jest to ryś!

Jeszcze dobrze nie skończyła przygotowywać dużego garnka z owsianką, kiedy głośne walenie w drzwi upewniło ją, że oto nadchodzą Seth i Carl.

— Jest zbyt zimno na to, by nie sprawdzić, czy sąsiedzi żyją — wysapał Carl zamykając pośpiesznie drzwi, tak żeby nie wypuścić ciepłego powietrza. Zajrzał też do sypialni — Zatem... nastąpiła inwazja!

— Może wcale nie będzie chciała odejść — zmartwiła się Benita. — Nie chcę, by była za bardzo rozpieszczona, żeby nie chciała już nigdy wrócić do lasu.

— Nie sądzę jakoś, by tak się stało — zastanawiał się Carl. — Znalazła szpital, w którym odzyskuje siły i korzysta z tego.

— A ja chciałbym skorzystać z kawy — narzekał Seth. — Czy chcesz, bym tu tak stał, trzęsąc się cały dzień, gdy wy oboje uderzacie w pompatyczną nutę nad rysiem?

Nie zajęło jej to zbyt wiele czasu, by przekonać obu mężczyzn, żeby pomogli jej się pozbyć garnka owsianki.

— Dobre jedzenie! - westchnął Seth — Wiecie, kiedy pierwszy raz znalazłem się tu, gdzie diabeł mówi dobra noc, nie byłem specjalnym fanem owsianki, jadłem jedynie biały chleb! O rany, ale się czasy zmieniają. Wy szedłbym nawet w taki ranek jak ten dzisiejszy dla jednego talerza kaszy owsianej, jak upierają się ją nazywać moi szkoccy antenaci.

— Czy łąziliście tu w pobliżu ubiegłej nocy... około drugiej nad ranem? — zapytała Benita.

Obydwaj mężczyźni podnieśli na nią wzrok. Pierwszy przemówił Seth. — Co masz na myśli, kobieto? Czy był tu jakiś szabrownik? Ubiegłej nocy?

— Ktoś tu był — powiedziała z naciskiem. — Widziałam jakiś ruch między gałęziami sosny... i nie mówcie mi, że to było w mojej wyobraźni. Suzie była ze mną i też to czuła.

— Ale kto to mógł być? — zastanawiał się Seth. — Carl, rusz głową! Kto łąziłby w nocy, kiedy temperatura spadła do trzydziestu dwóch stopni poniżej zera? — Wyszczrzył do Benity zęby w uśmiechu. — To są nasze najniższe notowania.

Carl zamyślił się, mieszając cicho kawę. — No więc... kto kręci się w pobliżu? Matt Clark urzęduje na przełęczu, ale nigdy nie wychodzi na zewnątrz, chyba że coś nie gra... a wtedy, przyszedłby do nas.

— A stara wdowa, Fawmer? — zastanawiał się Seth.

— Dzieciaki wzięły ją do miasteczka w tę zimę — powiedział mu Carl. — Stwierdzili, że w wieku dziewięćdziesięciu dwu lat nie powinna spędzać zimy w lasach.

— Więc kto pozostaje?

Carl wzruszył ramionami. — Pozostają zwierzęta... i nieco zwyczajnej kobiecej bojaźliwości — kocie i innej.

— Kobieca bojaźliwość! — wybuchnęła Benita — Posłuchaj! Rzeczywiście coś widziałam ubiegłej nocy. Nie próbuj mi wmówić, że nie!

— Najprawdopodobniej — powiedział ugodowo Carl — ale też jest prawdopodobne, że było to jakieś duże zwierzę, albo po prostu jedna z większych sów, fruwająca koło drzew. To zabawne, jaka jest siła ciemności... i łatwo się przestraszyć. — Uśmiechnął się do niej. — Niech cię to nie niepokoi... niewiele jest tak odważnych kobiet, jak ty byłaś dotychczas.

Była prawie zadowolona, kiedy wyczerpali temat i zdecydowali się pójść na jezioro. Żaden z nich nie wziął jej słów serio, a Carl — jak zwykle — nie tylko że zdawał się z niej śmiać, to jasno sugerował, że mężczyzna wcale by się nie przestraszył; tak naprawdę była święcie przekonana, że mężczyzna, zgodnie z Carla mniemaniem, nie dostrzegłby jakiegось nie istniejącego złodzieja!

Mówiła do siebie, że jest zadowolona z tego, że sobie poszli. Miała dużo roboty, a najpierw powinna uzupełnić jedzenie w karmniku. Wzięła kilka okrawków chleba, świeżo zrobioną kulkę z bekonu, chleb z mąki kukurydzianej i kilka innych resztek, i włożyła je do papierowej torby. Gdy okrążyła dom, zauważyła coś na polanie. Przyglądnąwszy się temu stwierdziła, że jest to kawałek futra i kilka piór. Aha... wyglądało na to, że wielka sowa-szabrowniczka miała na kolację zająca.

No tak, nie czas, by stać tu tak, marznąc na kość. Była to pogoda na to, by spędzać czas w domu! Pospieszyła do karmnika i wyczyściła go najlepiej jak umiała, ułożywszy na kupkę nowe smakołyki, tam gdzie „stali bywalcy” na pewno je znajdą. Posypała jeszcze garść okruszków chleba na to wszystko i wyłożyła w jednym rogu pozostałości z pieczonej fasoli.

— Musicie dobrze się odżywiać, ptaszki! — ogłosiła.

Właśnie wtedy zauważyła coś na dole, przy karmniku. Była to jedna z sójek, sztywna z zimna, ale nie martwa. W co ja się zmieniam, pomyślała.... w miejscową ekipę ratunkową dla zwierząt. Pobiegła znów do domu i zabrała maluszka do ciepłej kuchni. Za parę chwili zaczął drgać i zaraz potem stał się więcej niż aktywny. Benita wzięła swojego ostatniego pacjenta do ręki i wypuściła go na mroźne powietrze. Udało jej się zauważyć, jak krążył w pobliżu i odszukał swoje ulubione miejsce w karmniku.

— Kiedy tylko chcesz — powiedziała — ale niech to nie stanie się naszym zwyczajem!

Wtedy usiadła, żeby się napić kawy. Wiele się nauczyła. Przede wszystkim tego, że zwierzęta i ptaki nie zawsze przeżywają zimę, bez względu na to, w co nauczyły cię wierzyć książki dla dzieci. Czasami jest im zbyt ciężko, albo natura, mając swój wielki plan, pozwala, by Suzie znalazła się na linii strzału wielkiej sowy. Ale czy nie było to interesujące, że sprytny kot, któremu o włos udało się uniknąć śmierci, tak powoli dochodził do siebie... a ta gruba sójka, z drugiej strony, ledwo mogła się doczekać, żeby się znów znaleźć na zewnątrz.

— Jedno i drugie jest dla ciebie dobrą lekcją — powiedziała do siebie, gdy schyliła się, by znaleźć flet do codziennego muzykowania. — Tak jak Suzie, korzystasz ze wszystkiego... i jak mały ptaszek stajesz szybko na nogi i stawiasz wszystkiemu czoła. O Boziu, jeślibym dostatecznie długo przebywała w lasach, zmieniłabym się w wiejskiego filozofa.

Potem zabrała się do roboty nad swoim ostatnim muzycznym kawałkiem, bardzo kiepskiej interpretacji: „Shine On, Harvest Moon”. Zagrała to po raz drugi, potem po raz trzeci, że gdyby tytułowy księżyc z okresu żniw świecił teraz, to pewnie by zwiął. Grała okropnie.

Po kolejnej nieudanej próbie podeszła do okna, by przyglądać się mieszkańcom karmnika. Puszek był tam znowu, oznajmiając ten fakt całemu światu... i włochacz też! Czy Carl nie byłby zadowolony z tego, że włochaty dzieciół...

Oparła się o ścianę i westchnęła. Była naprawdę zadowolona, gdy Carl i Seth odchodzili dziś rano, bo choćby nie wiem jak często się widywali, Carl zawsze zdołał wyprowadzić ją z równowagi.

— To powiedz mi — zaczęła — dlaczego czujesz teraz

tak a nie inaczej? Tęsknię do tego mężczyzny! — Więc mi pomóż... Tęsknię za nim, a nie jest to możliwe!

Myśl ta była tak dokuczliwa, że rzuciła się w wir pracy. Upiekła cztery bochenki chleba, zrobiła jakieś pranie i rozwiesiła je po całej chacie, znów usiłowała przedrzeć się przez piosenkę... i wreszcie zabrała się, z nadejściem zmroku, za swój pleciony chodniczek. Nie pomogło nawet to. Jedna, jedyna osoba nie dostarczy odpowiedniej ilości materiału na chodnik i jak wplątywała paski starej koszuli Carla, koc, który dał jej Seth i znów jeszcze jedną koszulę Carla, zauważyła, że za każdym poruszeniem palców przypominała sobie o nim.

Delikatne skrobanie w drzwi powiedziało jej, że Suzie zakończyła swoją wizytę na zewnątrz i czeka na wejście do środka i ogrzanie się. Benita otworzyła drzwi i stanęła z jednej strony, żeby kot mógł skoczyć na to, co było teraz jego terenem — na tapczan.

— W taką noc jak ta powinnaś być tutaj... mówiąc mi, jaki ze mnie głupiec, zamiast siedzieć na dworze, sprawdzając, jaka jest pogoda.

Suzie skrzyżowała łapy i popatrzyła prosto na nią, jakby chciała powiedzieć, że jest tu teraz i z chęcią posłucha.

— Och, masz na to ochotę! Pozwól, że ci powiem, księżniczko Suzie, im dłużej tu jestem, tym bardziej się przekonuję, że nie powinnam była się tu zjawiać!

— Nie. Nie mam na myśli zimna ani wiatru, czy bycia samej. — Brązowa głowa opadła na łapy..— Hej, nie zasypiaj... właśnie teraz powiem ci coś, na co oczekuję twojej rady! Myślę, że się zakochałam.

Rozglądnęła się teraz po cichym pokoju. Jej słuchaczka rzeczywiście pogrzyżyła się we śnie. Na zewnątrz słychać było słabe wycie wiatru, który najwyraźniej nie stracił wigoru, a w środku... właśnie oznajmiła, że sądzi, iż się zakochała!

Rzuciła chodnik na stół i podeszła do okna. W dole, przy jeziorze, wyryta jakby srebrem w czystym nocnym powietrzu, para jeleni skubała gałązki olchy. Benita zatrzęsła się na sam ich widok. Co za piekielnie zimna noc na to, by spędzić ją na zewnątrz, usiłując zdobyć jakieś pożywienie.

Uśmiechnęła się. Usilnie próbowała zapomnieć o wypowiedzianych słowach, pomimo tego, że nikt, oprócz na wpół śpiącego rysia ich nie słyszał... ale one nie wrócą w niebyt. Wypowiedziane słowa były jak strzały wystrzelone w powietrze, pomyślała, ale wołałaby, żeby te nie zostały, żeby ją nawiedzać.

Gdy tak patrzyła przez okno, przypomniała sobie ranek, kiedy szła z Carlem na spotkanie Curtisa i parka nurów fruwała nad ich głowami, krzycząc i chichocząc, a ich dziki śmiech pobrzmiwał nad cichym, zamarzniętym jeziorem.

— Nury! Co one tu robią? Myślałam, że muszą mieć gdzie pływać!

Uśmiechnął się. — Mają... i w dole, gdzie rzeki schodzą się we wspólne ujście. Gdy będzie cieplej, wybierzemy się tam. W skład osobników tam przebywających wchodzi: parka kaczek krzyżówek, ruda kaczka i jakieś cztery rożeńce... i, oczywiście, pan i pani Śmieszka, które właśnie lecą nad nami. Od czasu do czasu, razem z Sethem idziemy tam i wyrąbujemy trochę większą przerebel. Nawet największa rzeka może zamarznąć, kiedy jest trzydzieści albo czterdzieści stopni poniżej zera.

Dlaczego więc musi to pamiętać? Dlaczego przypomniano jej o tym, że jest tego rodzaju mężczyzną, który będzie przedzierał się na mrozie, żeby powiększyć przerebel dla paru kaczek i parki nurów? Przyjdzie wiosna i jej już nie będzie, i dobrze wiedziała, że nie będzie nawet pamiętał w następnym roku, jak się nazywała!

Więc dlaczego nie może go tak po prostu wyrzucić ze swoich myśli?

— Wyrzucić go z moich myśli — powtórzyła. Było to prawie zabawne. Wiedziała, że powinna być dla siebie surowsza parę tygodni temu i nie dać mu choćby palca. Teraz wróci do domu z wieloma gorzkimi wspomnieniami.

A tak już mówiąc o tym, może powinna wkrótce wyjechać. Może powinna zapakować cały kram i kiedy pojawi się tu następnym razem Curtis w swojej małej „Lulu”, sprawić, by ją zabrał stąd na dobre.

Carl natychmiast odsunął się na bok i na jego miejsce pojawił się wysoki, szczupły mężczyzna, o ciemnych siwych włosach ze swoją swojsko-przystojną twarzą prezydenta, którego imię nosił — Lincoln Graves. Mogła sobie niemal przedstawić uśmiech triumfu Linka, ale, co gorsza, słyszała jego słowa i wiedziała, że będzie je wypowiadał głośno.

— Więc w końcu skrewiłaś! — Tak, to było to, co Link z pewnością by powiedział... i dlaczego nie? Tak by było.

Ale nie mogła tego ciągnąć, szczególnie teraz, gdy myślała, że kocha się w...

Znów się powstrzymała. Czas, by sobie ustawić kilka spraw. Czy myśli, czy podejrzewa... czy domyśla się, że kocha się w Carlu? Weź się w garść, Benita! Stało się... i czas na podejrzenia czy sądy już minął. Przynajmniej bądź ze sobą szczerą. Jesteś zakochana... więc co teraz zrobisz?

Jej spojrzenie zatrzymało się na pięknym kocu z Hudson's Bay i przypomniała sobie notkę, którą napisał Link. Nigdy nie podejrzewał, że uda się jej dotrzeć do Świąt Bożego Narodzenia... a teraz był środek stycznia i nadal tu była, podczas tego najdłuższego i najsamotniejszego miesiąca w roku, otoczona całym zimmem, jakie Nowa Fundlandia na nią mogła rzucić.

Wgapiła się w koc, jakby to był Link we własnej osobie. — Więc myślisz, że tylko dlatego, że byłam taką kretynką, żeby się zakochać, to podwinę pod siebie ogon i ucieknę do dużego miasta! Ha! Nawet nie wiesz, że jestem zakochana! Myślisz po prostu, że nie mogę tego znieść... hmm, pozwól, że ci powiem, Lincoln, że nie mogę... ale spróbuję!

Była mniej więcej druga dwadzieścia rano, kiedy podjęła decyzję, że — pod żadnym pozorem — nie pozwoli sobie na snucie marzeń o Carlu! Będzie udawała, że nie istnieje. Będzie skreślała kolejne dni i gdy nadejdzie pierwszy marca, wyjedzie... i założywszy, że jezioro już odtaje, będzie mógł do niego wskoczyć. Co to ją obchodzi?

Wróciła do dużego pokoju i sprawdziła ogień na kominku i w piecu, a potem wdrapała się na czekające na nią łóżko. Jak to może być, że ktoś podejmuje przeróżne postanowienia, a po minucie, z poduszką pod głową, większość z nich się ulatnia!

Było późno, gdy wreszcie zasnęła i następnego dnia była w kiepskim humorze... bo wcale nie spała jej się dobrze. Temperatura nadal oscylowała między trzydziestoma o czterdziestoma stopniami poniżej zera i musiała żyć marzeniami, które miała.

No, bądź uczciwa... czy to wystarczało, że miała trudności, by trzymać go z dala od siebie, kiedy nie spała? Czy musiał ją też nawiedzać w snach! Sny. Jak słodki i delikatny był w jej snach... i nie uważał też, że ona nie istnieje. Mówił te wspaniałe słowa... powiedział, że jest światłem jego życia, że ją kocha.

— Ma się rozumieć — burknęła. Nalała sobie jeszcze kawy. Sposób na to, by się upewnić, że to był sen — poinformowała ciągle jeszcze drzemiącą Suzie — to fakt, że powiedział, iż mnie kocha. Więc jeśli nie jest to największy dowcip w północnych lasach, to zrywam z tobą!

Ledwo skończyła śniadanie i posprzątała w chacie, gdy przyszedł Seth. Wdepnął jedynie po to, by oddać słoik miodu, ale jakimś cudem jego ciepły, przyjacielski sposób bycia znacznie pomógł w przegnaniu smutków. Odkryła, że bardzo jest zadowolona, że go widzi.

— Musiałeś tak wcześnie przybiec? — uśmiechnęła się szeroko. — Właśnie zabierałam się do przygotowania świeżej kawy.

Seth obrzucił ją dziwnym spojrzeniem. — Czasami — oznajmił — po prostu nie rozumiem kobiet... ale coś ci powiem. Zrób kawę i jeśli znajdziesz czas, daj trochę tych dobrych ciastek, tych z rodzynkami. Muszę podejść i sprawdzić, czy wszystko jest w porządku z Mattem Clarkiem. — Zrobił chwilę przerwy. — Myślałem, że mógłbym pójść później, ale Carl powiedział...

— Lepiej idź teraz — powiedziała do niego — zanim zrobi się jeszcze zimniej! Jeśli coś nie gra, to im szybciej, tym lepiej.

— Myślę, że poszedł do wioski — westchnął Seth — ale wiesz jaki jest Carl... przyjaciel całego lasu! Wiesz, czasami myślę sobie, że gdyby gonił go rozwścieczony niedźwiedź i gdyby przypadkiem nabił sobie siniaka, to Carl upewniłby się, czy nic mu się nie stało, zanim by znów zaczął uciekać! Niektórzy ludzie uważają, że muszą opiekować się całym światem. — Zaczął naciągać swoje grube rękawiczki — No to nie zapomnij o ciastkach! Powinienem być z powrotem tak jakoś wczesnym popołudniem.

Benita wyciągnęła miskę i składniki i zaczęła robić ciasteczka z rodzynkami. Seth był miłym, niewymagającym mężczyzną... zatem dlaczego związała się uczuciem z jakimś człowiekiem, który myśli, że powinien zaopiekować się całym światem?

Gwałtownie zamieszała wrzucając sproszkowane jajka, mleko w proszku i wodę, a następnie zaczęła to ubijać

dość intensywnie. Za każdym uderzeniem, kiedy wielka, drewniana łyżka skrobała po ściankach miski, zdawała się słyszeć te same, wciąż na powrót wypowiedane słowa — jeśli tyle zauważa, jeśli daje swoje serce światu, to dlaczego nie zdaje sobie nawet sprawy z tego, że ona żyje... że jest kimś więcej, niż tylko kobietą, z której można się pośmiać, która odgryzła znacznie większy kęs, niż jest w stanie przeżuć... nie mówiąc już o przełknięciu!

11

Był to bardzo zimny dzień — dzień, który zmuszał do ruchu. Po tym jak przygotowała ciasteczka i pozwoliła sobie na zjedzenie dwóch z nich w porze lunchu, jako że tak wyśmienicie pachniały, Benita doszła do wniosku, że odrobina świeżego powietrza — choćby zimnego — dobrze jej z pewnością zrobi. Nie było po co próbować postawić na nogi pewnego śpiącego rysia, więc wcisnęła się w najcieplejsze i najbardziej wiatroszczelne ubranie i wyszła nałożyć do karmnika i popróbować ponownie swych sił w łucznictwie.

Natychmiast dostała dobrą nauczkę. Coś, co wymaga precyzji, a więc i strzelanie z łuku, nie należy do sportów uprawianych w temperaturze poniżej zera. Pomimo ciepłych rękawiczek, jej palce odmówiły współpracy i niemalże każda z jej strzał trafiała w znacznej odległości od celu. W końcu, jako że czuła, iż potrzebuje ruchu, nałożyła na nogi raki i poczłapała w stronę jeziora. Wokół niej świszczwał wiatr, od mroźnego do zimnego, ale było jakieś piękno w tym dniu... pod warunkiem, że nie przystawało się po drodze. Nie wolno było przystanąć w bezruchu, by podziwiać słońce, chylące się już ku zachodowi, w ten popołudniowy, styczniowy dzień. Jeśli było się w ruchu, to

mogło się to udać. Wtedy przypomniwała sobie lądowanie w Montrealu — czy to rzeczywiście było nieco ponad dwa miesiące temu? — i to, z jakim trudem przedzierała się przez wiatr i chłód, żeby dojść do budynku lotniska. Przypomniwała sobie zakonnice, która powiedziała jej, że jeśli idzie się wraz z nim, to może się jakoś udać, a ona odpowiedziała, że to jest sposób na życie.

Zaczęła przedzierać się z powrotem do chaty i nagle dotarło do niej, że dzisiaj odniosła niemały sukces. Minęły już cztery godziny, odkąd ostatni raz pomyślała o Carlu. Hmm... to również znaczyło, że gdzieś o tej porze Seth będzie wracał ze swojej wyprawy na przełęcz i że będzie chciał się napić dobrej, gorącej kawy i zjeść parę tych dobrych ciasteczek.

Niestety, jej nastrój wyparował w momencie witania się z Sethem, kwadrans później. Ciężko oddychał, ponieważ szedł bardzo szybko, ale nie był zbyt zmęczony na to, by wyciągnąć ręce i przycisnąć ją do swojej zimnej kurtki.

— Cześć, ślicznotko! Czy tęskniłaś za mną?

W tym samym momencie przycisnął swoje usta do jej ust. Nadal czuć było emanujące od niego mroźne powietrze, ale jego pocałunek pełen był ciepła, a ochoce serce Benity zdawało się natychmiast krzyczeć. Nie mogła się opanować... chciała, by to Carl ją całował, a nie Seth.

To ją rozżłościło na siebie. Czy osiągnęło to już taki śmieszny punkt, kiedy nie może nawet kogoś pocałować bez udziału Carla? Umyślnie zmusiła się, by odpowiedzieć na pocałunek Setha, tak by wyglądało, że rzeczywiście jej zależy. Była zawstydzona. To nie była uczciwa gra, wcale nie... ale nie pozwoli, by Carl zdominował całe jej życie.

Nie była przygotowana na reakcję Setha. Ściągnął kurtkę i rzucił ją w stronę tapczanu.

— No tak! To mi się bardziej podobało! — Ruszył dookoła stołu, żeby się do niej zbliżyć. — Przejdźmy tę

lekcję jeszcze raz i zobaczymy, czy uda się nam ją odrobinę poprawić!

Nie miała szans, by się wyrwać. Podszedł szybko i była przyduszona w gwałtownym uścisku, uścisku, który oznaczał większe żądanie... i jeszcze większe. Wreszcie udało jej się go odepchnąć i uśmiechnęła się.

— Kawa czeka — powiedziała radośnie.

— No tak — powiedział cicho — ja też. Umyślnie udała, że źle to pojęła. — Zatem zaraz ci ją przyniosę. Upiekłam nawet ciastka.

— Bennie! — W jego głosie brzmiało błaganie.

— Nie martw się, Seth... Pospiesz się!

Seth spędził jedno z najbardziej frustrujących popołudni. Całował tego dnia po raz ostatni, gdyby tylko to wiedział, i równie dobrze mógłby udać się w drogę powrotną do domu. Ale nie poddawał się łatwo i zbliżała się już pora kolacji, gdy po raz trzeci przegrał w warcaby, zaczęło mu to świtać w głowie.

Zaczął zbierać warcaby do małego drewnianego pudełeczka. — Zatem znów wygrałaś. Jesteś w tym dobra, wiesz.

Odsunęła na bok myśli o Carlu. — Powinnam być. Mój dziadek był doskonały i nauczył mnie.

Seth przesunął warcaby, układając z nich inny wzór. — Czy nauczył cię też, jak ostudzać zapalony kochliwego amanta?

— Co mówisz? — Znów była na nogach, dolewając kawy do filiżanek. — Chyba nie dosłyszałam.

— To nie było nic ważnego. — Wychylił kawę i wstał — Myślę, że rozmawiałem sam ze sobą. — Popatrzył na Suzie, rozciągniętą jak królowa na swych włościach, czyli na tapczanie. — Gdyby tu był Carl — powiedział — wpychałaby mu nos pod buty, prężyła się i wdziałyła... ale stary Seth? — Pokiwał głową, gdy otwarło się jedno oko i przez chwilę spoczęło na nim, jako na punkcie do

obserwacji — Sądzę, że przeżyła by mnie po kawałku, gdyby tylko miała najmniejszą szansę!

— Jest naprawdę miłym kotkiem... a ty lepiej idź do domu — roześmiała się Benita. — Twoja kolej na przygotowanie kolacji, pamiętasz?

Zanim sobie zdał sprawę, stał już na zewnątrz i nakładał na nogi raki. Jak powiedział później Carlowi, poczuł się odrobinę odrzucony.

A najgorsze ze wszystkiego — zastanawiał się — było to zwierzę. Myślę, że ten głupi ryś leżał tam... i śmiał się ze mnie!

Benita patrzyła, jak Seth sunie po szlaku, pobłysk światła słonecznego nadal dotykał jeszcze drzew wokół niego. Był miłym mężczyzną. Dlaczego nie potrafiła mu odpowiedzieć... uczciwie mu odpowiedzieć na jego gesty?

I wiedziała dlaczego. Ponieważ miłość, którą miała do zaferowania, nie była czymś, co można było potraktować z lekceważeniem, nie była czymś, co można było roztrwonić i zmarnować. Była to wieczna miłość. Byłoby to dla niej poniżenie i wstyd, gdyby pocałowała Seta, tak jak chciał być pocałowany, gdyby zrobiła coś więcej niż tylko pocałowała go. Byłoby to tak, jakby zbrukała swoje własne serce.

Czy to znaczy, że poważna twarz Carla Hannakera będzie obok niej aż do końca życia? Nie, nikt nie wieszka portretu przed jej oczyma i trzyma go tam, kiedy wiadomo, że jest to beznadziejne... ale wiedziała, że dużo czasu upłynie, zanim pozwoli sobie na miłość, a może jeszcze więcej, nim będzie tego chciała, nim serce, które chciało Carla tak bardzo, dojdzie ze sobą do ładu.

Nie wiadomo z jakiego powodu zaczęła się zastanawiać, czy jej reakcje, jej myśli były czysto kobiece. Czy mężczyźni tego świata, ci, którzy tak często zostawiają, przeżywają ten sam ból, jaki stał się jej udziałem? Za-

stanawiała się. Oczywiście, większość mężczyzn, których znała, stanowili produkt tego samego życia i myśli, który stworzył ją — i większość z nich nadal uważała, że płacz jest czymś trudnym, gdy się chce wyrazić w ten właśnie sposób radości i smutek. Czy to znaczyło, że przez wieki mężczyźni nauczyli się tłumić swoje emocje? Czy to rzeczywiście było takie „męskie”, żeby być „silnym jak skała” i nigdy nikomu nie powiedzieć, że go boli?

— Filozof z Lazy Point — powiedziała miękko — głupi filozof z Lazy Point. Bo jakie to ma znaczenie, czy druga osoba — mężczyzna czy kobieta — sprawia ból? Ważne było to, jak ona — Benita Hubbell — przeżyje następne sześć tygodni.

A potem co? Echo zdawało się pobrzmiwać w jej sercu. A potem podejmie ten problem, jak do niego dojdzie. Tymczasem będzie dalej robiła swoją robotę i próbowała się nie przejmować tym, że Carl był obecny w każdej jej myśli.

Dwa dni pogody znaczyły, że Benita mogła znów udać się na połów, ale bardzo uważała, żeby to zrobić, gdy nie będzie w pobliżu Setha. Może te ryby wiedziały, że jest sama. W każdym razie wkrótce miała kilka niezłych sztuk, wystarczająco, by się zmęczyć przy ich czyszczeniu, zatem poczłapała do chaty, by się oddać temu zajęciu. Suzie wyszła na polanę, by jej asystować, głównie pożerając wyrzucone resztki, chociaż wykazywała również wielką gotowość zjedzenia całych ryb, gdyby te zawadzały Benicie.

A potem — nagle — opadły mu ręce i odsunął się do tyłu. Benicie chciało się w tym samym czasie płakać i śmiać zarazem. Suzie siedziała na samym środku dużego, dębowego stołu, z oczyma utkwionymi w Setha i każdym włókmem swego ciała zdawała się krzyczeć, że on w żadnym razie nie wpływa na jej dobry nastrój. Zauważył to również... i odsunął się od niej.

— Popatrz na to zwierzę! — Pokręcił głową, całkowicie zaskoczony. — Widzisz, co narobiłaś? Nie mogłaś mi się dać po prostu pocałować... nie, musiałaś zacząć walczyć, a teraz co? Teraz toto myśli, że jestem... szczurem, albo czymś takim! Co się z tobą dzieje, Ben? Jesteś jak wiatr na pustyni... zimna i ciepła... ale nigdy jednakowa! — Zbliżył się do niej, ale zatrzymał się, gdy bursztynowe oczy znów go przygwoździły do ziemi. — Nie chcę ci zrobić krzywdy!

— Naprawdę niespecjalnie chcę być... tak całowana i te inne sprawy — powiedziała. — Myślę, że to dlatego, bo kocham kogoś tak mocno, że jest on tym jedynym. Seth, czy to naprawdę takie nietypowe? Nie chcę rozrzucić uczucia miłości jak confetti! Jest zbyt cenne.

Otulił się szczelniej kurtką. — Wiesz, słyszałem już gdzieś wcześniej tę piosenkę, moja pani! Chcesz, żebym ci powiedział gdzie? Może to i jest do śmiechu, ale brzmi to jak coś, co mógłby powiedzieć Carl. Więc po co ta cała komedia? Nie widzę w tym nic złego, ale Carl jest naprawdę śmieszny. Był dawno temu żonaty i ona umarła... nagle, i nie sądzę, by się do tej pory związał na serio z jakąś kobietą. I gdzie go to doprowadziło? Popatrz na tego faceta, Ben. Jest samotny! Chcesz skończyć siedząc przy kominku, chełpiąc się sama przed sobą swoją cnotą... a jesteś samotna?

Suzie zeskoczyła na ziemię i wydała w jej stronę gardłowy dźwięk, oznaczający: wychodzę, więc Benita poszła otworzyć jej drzwi. Seth natychmiast podążył ku niej.

— Widzisz przecież to tak jak ja, prawda, Ben? Po co zatrzymywać to wszystko dla siebie? — Wyjrzał przez okno — A przyzwoitka właśnie odeszła, zatem dlaczego...

Nie tracił już więcej czasu na gadanie. Przyciągnął ją gwałtownie do siebie i zaczął całować. Benita położyła nagle łokcie na jego piersi i odepchnęła się.

— Seth, puść mnie... proszę! Powiedziałam ci, że tego nie chcę! Dlaczego nie pozwolisz mi tak po prostu być i nie przestaniesz próbować...

— Nie sądzę, żebyś wiedziała, czego chcesz! — gwałtownie natarł. Naciągnął grube rękawiczki i wbił w nią wzrok. — Powiem ci coś, Ben... masz całe mnóstwo zwariowanych pomysłów. Dlaczego, do diabła, masz tu być samotna, a ja tam, w swojej chacie? Cóż złego jest w staroświeckiej miłości? Myślę, że ty rzeczywiście chcesz tu tak siedzieć jak obrażona księżniczka i mówić sobie, jaka to jesteś czysta!

Rozzłościł ją teraz. Otworzyła drzwi.

— Przyznam, że może to zabrzmieć beznadziejnie, Seth... ale może jest to odrobinę lepsze niż siedzenie i wmawianie sobie, jaka to kiepska ze mnie przedstawicielka kobiecego rodu!

Seth zaczął coś mówić, potem zmienił zdanie. Skierował się ku drzwiom.

— Seth... proszę...

— Nie zwracaj sobie tym głowy — powiedział. — Wróć. Nie od razu Rzym zbudowano. — Przytrzymał na moment drzwi i popatrzył na nią. — Och... prawie zapomniałem. Dziś wieczór będzie wiał silny wiatr, więc pozamykaj... o rany!

Odskoczył zaskoczony na bok, gdy drzwi wymknęły mu się z ręki, a wściekły ryś, obrzuciwszy go niechętnym spojrzeniem, skierował się ku swemu miejscu na tapczanie. Gdy kroczyła miękko przez pokój, Suzie zdawała się coś mrużyć pod nosem.

— Mówiłem ci... ta cholerna bestia myśli, że jestem niebezpieczny. — Nie czekał na komentarz ze strony obu swoich słuchaczek. — No to... do zobaczenia.

Seth jako przepowiedacz pogody miał stuprocentową rację. Wiatr pojawił się już po pół godzinie i przez

większość nocy i wcześniej rano chata kołysała się i trzęsała, jakby ręka olbrzyma próbowała poderwać ją z ziemi. Przez wiele godzin Benita nie mogła zasnąć. Rozeźlony wiatr, krzyczący na siebie, a potem odpowiadający sobie z równą siłą, wył po pokojach jak niespokojny duch.

Nawet Suzie wydawała się nerwowa. Dwukrotnie, kiedy Benita budziła się w nocy — tylko po to, by stwierdzić, że wiatr ani trochę nie odstąpił — widziała rysia siedzącego przy oknie, patrzącego w noc.

Wtedy wstała i zrobiła sobie filiżankę herbaty. Usiadły sobie we dwójkę razem, gapiąc się w ciemność, patrząc, jak płatki lodowatego śniegu uderzają i rozplaszczają się na oknie... i wsłuchując się w złowieszczy jęk gwałtownej burzy.

Była to dziwne, ale nie czuła się samotna. Burzy nie można było nazwać przyjacielem, ale zwierzę u jej boku nim było. Benita opuściła rękę na grzbiet Suzie, grzbiet, który teraz nie wyglądał najlepiej, z kawałkami bandażu i miejscami, gdzie Benita wycięła włosy. Ale same rany już się zagoiły i Suzie znów była równie żywa jak przedtem... i także mądra. Nie miała zamiaru wychodzić na burzę.

Benita pochyliła się i potarła głową o jej pokryte futrem ciało. Było to bardzo niepodobne do odczucia, jakie się ma dotykając domowego kota. To futro było tak gęste jak niedźwiedzia skóra rozciągnięta na podłodze, z długimi włosami, które chroniły Suzie przed zimnem i wilgocią, jeśliby przez przypadek wpadła do rzeki. Marna szansa na to! Bardziej prawdopodobne, przy takiej pogodzie, byłoby złamanie nogi na lodzie... albo że jej futro zostanie zmechacone przez bezlitosny deszcz ze śniegiem.

Piła herbatę małymi łydkami, w zamyśleniu, i żeby nie okazać się sobkiem, przyniosła Suzie spodeczek z pozostałą zupą. Czy Seth jeszcze się kiedyś pojawi? Mogła się jedynie zastanawiać. Było w nim coś, co sygnalizowało

wściekłość i dystans, a jednak nie mogła sobie wyobrazić, że Seth odszedł w wielkim gniewie.

Nagle się roześmiała. Dźwięk ten zderzył się z odgłosem burzy i sprawił, że Suzie podniosła oczy znad zupy.

— Nie martw się — powiedziała Benita. — Tylko myślałam na głos... i moje własne myśli wydały mi się śmieszne.

Brązowa głowa znów pochyliła się nad naczyniem i Benita ponownie pomyślała o tym, co ją rozśmieszyło. Było to zabawne! Naprawdę guzik o to dbała, czy rozżościła Setha i wiedziała o tym... ale też wiedziała, że w głębi serca marzyła, by to był Carl. Próbowwała zmyć jego dotyk ze swoich włosów, ze swoich myśli, czyż nie? Dobra robota... a w środku nocy, z szalejącą wokół burzą, zjawił się i pragnęła z całej duszy, żeby tu rzeczywiście był.

Było coś w tym całonocnym czuwaniu, z burzą za jedyne towarzystwo, co powodowało tego typu myśli. Jedną z nich była i ta, która stanowiła mocne postanowienie, że jutro wróci na właściwą ścieżkę. Zanim ona i Suzie jeszcze raz spróbowały zasnąć, Benita sprawdziła ogień i jako dodatkowy środek ostrożności zerknęła, żeby się upewnić, czy skrzyła gaz pod czajnikiem. Tak, wszystko było we właściwym, północo-leśnym porządku!

Gdy ponownie zwinęła się w kłębek, z dochodzącym do niej od pieca delikatnym ciepłem, zachichotała sama do siebie. Najprawdopodobniej nie zmrużyłaby oka, bez względu na burzę, jeśliby dzisiejszego popołudnia jej gościem był Carl. Leżałaby z otwartymi oczyma, przekręcając się z boku na bok i zastanawiając się, myśląc, kiedy tu wróci... a Seth? Wiedziała, że wróci! Miała jedynie nadzieję, że Suzie będzie w wojowniczym nastroju, jeśli on zdecyduje się na pójście krok dalej!

Mroźny wiatr wiał jeszcze przez trzy następne dni, w czasie których zimne podmuchy, zgodnie z trzeszczącym

szumem dochodzącym z jej małego radia, zmieniły się w coś znacznie gorszego niż... czy rzeczywiście było siedemdziesiąt poniżej zera? Tak, podejrzewała, że tak właśnie było. Temperatura wzrosła do całkiem znośnych dwudziestu stopni — nie, nie lato, ale coś, z czym dziewczyna wyrastająca w Albercie mogła z pewnością sobie poradzić... a jednak, był ten wszędobylski wiatr. Nie potrzebował świeżego śniegu, żeby nakarmić swój głód. Brał gotowy ładunek i przerzucał go z jednego miejsca w drugie.

A potem...znów była cisza. Jak na ironię, odgarnianie śniegu, pod nadzorem zarówno Suzie, jak i sójki, nie przedstawiało trudności, a wiatr jeszcze dopomógł. Wydymuchał większość śniegu spod drzwi, tak że nie przedstawiał już większego problemu. Duży wysiłek kosztowało dotarcie do karmnika, a po kilku dniach wichury, zapasy w nim powinny zostać uzupełnione. Benita niezdarnie poruszała się wokół chaty w swoich rakach, padając co jakiś czas, jak to miała w zwyczaju — choć tego nie chciała — i zazdroszcząc przez całą drogę, szerokim, doskonale skonstruowanym „rakom”, które nosiła Suzie... jako część jej całodobowego kostiumu.

Zabrało jej dwa dni, by przywrócić wszystko do normalności, ale w końcu mogła pójść nad jezioro — i wrócić do domu z pustymi rękami. Mogła całkiem nieźle człapać wzdłuż szlaku patrząc na ptaki i robiąc zdjęcia wydrom w pobliżu ujścia strumienia, i mogła nawet oddać kilka niezłych strzałów ze swego łuku.

— Dlaczego nie wyruszysz na łowy? — zastanawiał się Seth. — Zdaje mi się, że masz coraz lepszy cel.

— Nie... raczej nie — powiedziała w zamyśleniu — Sądzę, że lepiej się czuję, jeśli ten właśnie drapieżnik je głównie rzeczy, które plasują się nisko na skali ekologicznej... jak kurczaki i ryby! Nie mam potrzeby, by zabijać zwierzęta, chyba że jest to absolutnie niezbędne do przeżycia.

Było to jasne, słoneczne popołudnie na trzeci dzień po ustaniu wichury. Benita wynosiła śmiecie, opróżniała nocniki, myła okna... i mnóstwo czynności na zewnątrz, które stawiła na nogi Suzie, jako że chciała się upewnić, czy zostały właściwie wykonane. Znalazła małą szczelinę w bo-cznej ścianie — tę, która wpuszczała do środka wiatr i nawet zdołała ją zatkać, chociaż była pewna, iż mieszanina kleju i czego-tam-jeszcze, których użyła, nie usatysfakcjonowałyby Hugh'a.

— Ach, złota rączka... czy raczej nazwałbym to „przesłaniacz”.

Carl stał za węglem, uśmiechając się do niej, choć raz najwyraźniej przyjacielsko nastawiony.

— Nie wiem czy przesłaniam, czy zapraszam wiatr — roześmiała się — ale jeszcze jeden dzień z tym świstem i myślę, że dostanę świra. Chcesz kawy?

— Nie mam czasu. Wpadłem tylko po to, żeby zwrócić funt kawy, którą pożyczyłem w zeszłym tygodniu. Muszę pójść i jeszcze raz sprawdzić, co ze starym Mattem.

— Czy jest chory?

Carl zaprzeczył ruchem głowy. — Nie... ale wreszcie pozwolił, by go wzięto do wioski i że spędzi parę tygodni ze swoim siostrzeńcem. Jego pies zmęczył się czekaniem i już odszedł, więc nie chcę, by był tam sam. A to znaczy, że pomogę mu przy przeprowadzce. Nawiasem mówiąc, obserwuj niebo. Za kilka" dni ma nadejść pogorszenie pogody.

Zmarzła stojąc tak w bezruchu. Benita zapięła kurtkę. — Pogorszenie pogody! To jak nazwiesz tę ostatnią nawałnicę... babim latem, a la Nowa Fundlandia? — Śmiała się razem z nim — Jak powiedziałeś, kiedy... za kilka dni?

— Tak ma być, zgodnie z zaprzyjaźnionym prognos tykiem. — Nadchodzi zimny front atmosferyczny — w ichnim żargonie. No to do zobaczenia.

Prawie że była już zdecydowana na podjęcie kolejnej wyprawy za przełęcz, żeby zobaczyć łośiową rodzinę, po mającej nadejść burzy, ale coś nagle zmieniło jej plany. Ukazał się Seth po niecałej godzinie jak Carl wyruszył w swoją drogę.

— Seth! Dlaczego nie pomagasz Carlowi?

— Mając wybór między tobą a Carlem, złotko, wybieram ciebie — odprowadził ją do domu i położył w rogu łuk
— Carl nic dla mnie nie znaczy, ale ty owszem... ty jak najbardziej!

Wcale do niego nie dotarło. Nie słuchał, albo tak był pewien swojego przytłaczającego i przekonującego męskiego uroku, że nie potrafił przyjąć odpowiedzi „nie"... a Suzie, przyzwoitka, była na zewnątrz, podziwiając kowalika.

Benita była coraz bardziej zła. A ze złości powiedziała kilka słów, które, jak miała nadzieję, nie będą musiały być użyte. Zmęczyło ją już odparowywanie ciosów, walka z nim. Chciała, by byli przyjaciółmi. Nie chciała nieustannej walki, za każdym razem, gdy pojawiał się w drzwiach!

Wreszcie wyrwała mu się, z twarzą poczerwieniałą z wysiłku. — Seth, przestań! — oddychała rozjuszona — albo przestaniesz... albo się wynoś!

12

Patrzyli się teraz na siebie jak dwa walczące koguty, gotowe do walki na zakurzonej placu.

— Czy nie możesz tu przyjść z innych powodów? — powiedziała w końcu.

Seth narzucił swoją kurtkę i zaczął ją niedbale zapinać. Jego pełne wyrzutu oczy utkwione były cały czas w jej twarzy. — Tak jest, madam — powiedział gburowato. — Od czasu do czasu to robię... na przykład, mam informacje na temat pogody...

— Carl już mi powiedział — przerwała.

Znów się w nią wpatrywał, prawie obraźliwie. — Ooo, nie potrzebujesz mojej pomocy, czy tak? No to powiem tylko jedno, pasujesz doskonale do mroźnej północy... panno Góro Lodowa! — Pożegnał ją na dodatek gestem, który był bardziej niż obraźliwy. Drzwi zatrzasnęły się za nim.

Benita próbowała odzyskać stracony dzień piekąc ciastka według przepisu, który przysłała jej Jean, ale pomimo tego, że wyszły z pieca takie pachnące, zobaczyła, że nie jest naprawdę w nastroju, żeby spróbować choć jedno. Seth sprawił, że myślała o sobie jako o jakimś dziwnym stworzeniu... ale przecież tak się wyrażał o każdej

kobiecie, która opierała się jego zalotom. I jakie to było z jego strony dziecinne, że się wściekł jedynie dlatego, że Carl już jej powiedział, że za parę dni będzie dalsze pogorszenie pogody!

Nagle przestała wkładać ciastka do słoja. Jeśli pogorszenie pogody ma nastąpić za kilka dni, zatem dziś był właściwy dzień — ten dzień pełen słońca — żeby przedrzeć się na najdalszy kraniec grzbietu Woodchuck i znów zobaczyć rodzinę łosi. Było parę minut po w pół do drugiej, a jeśli szłaby szybko i bez odpoczynków — jak w życiu, pamiętasz? — wróci grubo przed zapadnięciem zmroku. Ale, by się zabezpieczyć, weźmie ze sobą jakieś światło.

I jednego, chętnego rysia. Benita ubrała się i była gotowa do wyjścia, gdy stwierdziła, że Suzie powołała jednoosobowy komitet, który miał się udać wraz z nią.

— W porządku, biorę cię — powiedziała jej — ale żadnego zatrzymywania się, żeby podziwiać zięby, albo rzucić się na czerwoną wiewiórkę! — Nałożyła plecak na plecy i skierowała się na szlak, podczas gdy drugi członek drużyny stapał spokojnie za nią.

Im bardziej się oddalała, tym bardziej się cieszyła, iż zdecydowała się na wyjście. Po pierwsze potrzebowała się trochę poruszać, a po drugie odsunie to całkowicie z jej myśli nieprzyjemną scenę z Sethem... albo przynajmniej będzie mogła spojrzeć na to z właściwej perspektywy. W końcu nie powinno ją to zanadto rozstroić, ponieważ on po prostu tak wiele dla niej nie znaczył. A gdyby to był Carl — potknęła się o całkiem zakryty krzak i z trudem utrzymała równowagę — tak, gdyby to był Carl, nie byłoby to ani w połowie takie łatwe do usunięcia... ale dwakroć potrzebniejsze.

Ale jakoś czuła, że Carl nie był tego rodzaju mężczyzną, który miałby tak mało szacunku dla kobiet, jak Seth.

Carl był mężczyzną... Zatrzymała się i odwróciła, by krzyknąć na zapalonego ornitologa.

— Suzanno Ryś! Ruszże te swoje grube łapska tutaj, kobieto! Możesz patrzeć na ptaki, jak dojdziemy do domu.

Suzie porzuciła kontemplację parki hudsonskich sikor i miękko przecięła śnieg. Bursztynowe oczy były otwarte i szczerze. Masz jakiś problem?... zdawały się mówić

I, oczywiście, przyłapała się na tym, jak idzie do kota i mówi mu, że jest to beznadziejne, że Carl nigdy nie zwróci na nią żadnej uwagi... że równie dobrze mogłaby się zakochać w śniegowym bałwanie. Wcale jej to nie pomogło, że Suzie znacznie bardziej była zainteresowana gonitwą za myszą po zaspach.

— Poczekaj, aż cię dopadnie miłość! — wysapała Benita. Wspięła się na zbocze i znalazła miejsce, żeby usiąść i wypić trochę kawy.

Pomyślała wtedy o dniu, kiedy przyszlaby do Suzie miłość. Oczywiście Carl miał rację — jak zawsze? — i Suzie pewnego dnia odejdzie. Odejdzie, kiedy przystojny, bursztynowooki kocur wyśle w wiosenną noc swój delikatny, wibrujący szept miłości. Odejdzie, kiedy matka Natura powie jej, że czas, by spełniła swoją rolę, jej część w planie, odwiecznym planie życia.

Benita podrapała się po głowie. — Wielka szkoda, że nie mogę zasięgnąć rady matki Natury — zadumała się. Wstała i przygotowała się do dalszej wędrówki. — Nie, wielka szkoda, że się jej nie poradziłam, zanim byłam na tyle głupia, żeby się zakochać! To jest duża komplikacja.

Próbowała się zbytnio tym nie przejmować, pośmiać się z tego i udawać, że nie boli... ale było to raczej niemożliwe, szczególnie, gdy to rzeczywiście tak bardzo bolało, jako że nieustannie było obecne w jej najskrytszych myślach.

Popatrzyła, na niebo. Wiatr się nieco wzmógł, nie za

bardzo, ale na tyle, że uznała za stosowne iść nieco szybciej.

— O.K. Suzie, chodźmy... lewa łapa, prawa łapa... Nie przypominało to marszu, ale za pół godziny zobaczyły ciche i zamrożone bagno... i na odległym końcu, spokojnie żując pędy, stał duży łoś, niedaleko od niego samica i cielę, po kostki w lodowatej wodzie u ujścia małego strumyczka. Był to widok, który Benita musiała utrwalić na kliszy.

Na nieszczęście nie skonsultowała się z ochoczą wędrowniczką, stojącą u jej boku. Suzie była mieszaniną kota i błazna i nie mogła się oprzeć pokusie pogonienia łośa odrobinę. Benita zobaczyła, jak jej „zdjęcia” rozbiegają się na boki — po tym, jaki szmat drogi przeszła, by je zdobyć!

— Suzie! — Zrobiła ruch, jakby chciała pobiec za kotem przez zarośla. — Wracaj do chaty, ty intrygantko!

Suzie posłuchała jej, gdy już miała na to ochotę. Najpierw leżała na występie skalnym przez prawie pół godziny, obserwując, jak Benita robi zdjęcia rodzinie łośa, a potem wstała — upozowała się i została odpowiednio utrwalona na kliszy — i skoczyła z powrotem na ścieżkę. Jej giętkie ciało prawie natychmiast znikło z zasięgu wzroku.

No i dobrze! Benita, najciszej jak potrafiła, wspięła się na skałę i znów w dół na skraj bagna, gdzie wyschnięte i kruche bazyce oraz turzyca trzeszczały na rosnącym w siłę wietrze.

Rosnącym w siłę wietrze... popatrzyła na niebo. Hmm, nie wyglądało to najgorzej, a teraz, gdy pozbyła się tego eksperta od życia dzikich zwierząt — to znaczy Suzie — pomyślała, że ma niezłe szanse na uchwycenie rożeńców i małych, rudych kaczek, które najwyraźniej świetnie się bawiły w małym jak chusta stawie, u ujścia strumienia.

A potem, chyba że nagle będzie cudownie cieplej, ruszy w stronę domu.

Zajął jej to więcej czasu, niż myślała, ale przecież staw był pełen gwiazd filmowych. Delikatny rozeniec był szczególnie urokliwy i Benita była zachwycona, że udało się jej zrobić kaczce zdjęcie, gdy ta zdawała się stać na wodzie, furkocząc skrzydłami, podczas gdy naokoło leciały kropelki wody.

I nagle zdała sobie sprawę, że niebo w krótkim czasie znacznie pociemniało i siła wiatru była taka, że nie można było już jej zignorować. Gdzieś po drodze wiatr poderwał śnieg i jak złośliwy piaskarz zaczął rzucać swą cenną zdobyczą Benicie w oczy.

— Przykro mi, moja gromadko! — Pomachała gęgającym kaczkom. — Chyba lepiej ruszę w drogę, jeśli nie chcesz tu spędzić nocy!

Wsadziła znów swój sprzęt do plecaka, wypila pospiesznie kawę i wyruszyła. Czuła się głupio, że nie pozwoliła Suzie zostać... ale w końcu, znając Suzie, zostałyaby, gdyby naprawdę chciała. Ale, w każdym razie, będzie się w drodze powrotnej czuła znacznie bardziej samotna. Niebo nabrało nieprzyjemnego, szarego wyglądu i wiatr wzrastał z minuty na minutę. Nie był to już zwykły styczniowy wiatr — zimny, ale do zniesienia. Jego siła wzmogła się, a za każdym podmuchem zdawał się odziewać w kolejne warstwy zimna. Drobiniki ostrego jak żądła mrozu kłuły Benitę coraz gęściej.

— I coraz mniej mam na to ochotę! — Pochyliła głowę, chroniąc się przed atakiem, ale nie pomagało to w dalszym marszu.

Gdzie się podziało jej łagodne, styczniowe popołudnie? Wokół niej świat zatapiał się w ciemności, która została owinięta i okręcona przez długie palce śniegu, rozrzuconego szeroko, albo rzucanego z furją przez wiatr. Coraz

trudniej było coś zobaczyć, a znaki, które Benita notowała w pamięci, po to by znaleźć drogę powrotną, stawały się niewidoczne.

Zasada pierwsza, jej umysł poinformował ją szybko — nie panikuj, nawet o tym na myśl, choćby wszystko wydawało się nieznajome! I zasada druga — zatrzymaj się i zastanów. Z reguły — tak jej przynajmniej mówił Hugh — znajdziesz coś, co ci pomoże.

Oddychała ciężko i walczyła z bezlitosnymi igielkami bezlitosnego śniegu z deszczem, gdy weszła pod dające schronienie czarne świerki. Przez chwilę patrzyła tylko na duże drzewa, potem podeszła bliżej i patrzyła w górę, aż znalazła szyszki. Ręka opadła jej w dół i musiała się powstrzymać, by nie zacząć się trząść na całym ciele. Mały zagajnik, który powinna była minąć, nie miał malutkich szyszek, bo te drzewa to nie były czarne świerki... ale białe, z korą bardziej szarą i z długimi szyszkami, mniej więcej dwucalowymi... I Benita właśnie dowiedziała się czegoś bardzo interesującego: zgubiła się.

Do reguły trzeciej, pomyślała, przyciskając się do drzew, by ochronić się od wiatru i śniegu. Nigdy nie zawracaj, chyba że wiesz na pewno, w którym miejscu zesłaś ze szlaku.

Znów weszła na małą ścieżkę i uradowany wiatr natychmiast wrzasnął ku swemu nowemu celowi ataku. A potem nastąpiła nagła cisza i powietrze na moment zrobiło się przejrzyste i przez sekundę Benicie się zdawało, że widzi dróżkę, w którą powinna była skręcić. Hmm, nie będzie to tak trudno znaleźć, chociaż znów się zamykała wokół niej ciemność. Skuliła się znów na spotkanie ze swoim wrogiem i ruszyła ku rozwidleniu.

Ale ścieżka, którą wybrała, nie była tą właściwą. Przeszła zaledwie kilka kroków, gdy zdała sobie sprawę, że ścieżka jeszcze bardziej zakręca i zapuszcza w głąb... i po

prostu to nie jest ta. I teraz, można było zrobić tylko jedną rzecz — wrócić pod osłonę ze stojących w kupie świerków i zatrzymać się tam, dopóki nie pozbiera myśli.

Czuła zaciskające się na jej plecach małe palce paniki. Gardło miała ściśnięte, a to dudnienie w jej uszach to nic innego jak jej walące serce... i nie bez powodu! Nie zbliżyła się ani odrobinę do kępy czarnych świerków. Szła, potykała się i brnęła przez więcej niż czterdzieści pięć minut... i nagle przerwa w dmuchaniu wiatru uświadomiła jej, że znajduje się nieopodal bagna... Innymi słowy, zataczała niemal koło.

Ale przynajmniej, mówiła sobie, wiesz, gdzie jesteś! Teraz jedyne co musisz zrobić, to skrócić ostro na prawo... gdzieś tu! Przystanąła gdzieś, nie wiadomo gdzie i próbowała się rozejrzeć. Powinien tu być ogromny głaz, tu koło niej, po prawej stronie... ale nie było nic, poza bijącą, pędzącą, wibrującą białą płachtą.

Przyszedł kolejny moment, kiedy to wiatr zdawał się nabierać oddech. Hugh mówił, że powinno się wyczekiwać na takie chwile i zbierać jak największą ilość informacji. Benita przywarła do niższej gałęzi starego, guzowatego czerwonego dębu i wyteżyła wzrok. Tak, wyteż wzrok harcerko a zobaczysz! Była kępa świerków i wyglądała jak najlepsze miejsce, by móc się schronić.

Wiatr ponownie zaczął w nią łomotać. Benita wolno posuwała się naprzód. Zimno zdawało się sączyć do jej głowy i wreszcie odwróciła się i zrobiła kilka kroków tyłem, potem znów się obróciła. Bez względu na to co robiła, rozradowany w sadystyczny sposób wiatr odnajdywał ją i dmuchał na nią zimnym oddechem... i śniegiem zmieszanim z deszczem. Była zaledwie kilka kroków od kępy świerków i przekonana, że wygląda jak istota nie z tej planety... jednej z tych zimniejszych planet!

Powinna była pewnie zwracać uwagę na swoje stopy,

ale wyteżyła wzrok, starając się nie stracić z pola widzenia kępy. Nagle jej własne stopy zdawały się wyślizgnąć spod niej i następną rzeczą, jaką zapamiętała, był fakt, że znajdowała się tuż koło kępy, leżąc płasko na plecach, a coś zdawało się trzymać ją mocno za stopę.

Nie mogła w żaden sposób usiąść. W jakiś sposób jej upadek zakłócił spokój „fabrykantce wdów”, jednej z plag północy i ciężki konar wylądował na jej nogach. I nawet gdyby mogła go ruszyć — co wydawało się niemożliwe — była ta lewa stopa... pięta i część niższa stopy były mocno zaciśnięte zębami śmiercionośnie wyglądających wnyków. Oczywiście nie widziała zbyt dobrze, ale wiedziała, że one tam są i wiedziała, że powinna wykonywać jakiegokolwiek ruchy bardzo uważnie, bo inaczej te mordercze zęby, które ktoś pozostawił po to, by schwycić się w nie jakiegoś nieświadomego niebezpieczeństwa zwierzę, wpiją się w nią.

Nieźła pora, by robić sobie wykład na temat ochrony dzikich zwierząt! Nie była w pozycji, którą można było nazwać godną pozazdroszczenia, ale wiedziała, że jeśli kiedyś wróci może do tak zwanej cywilizacji, zrobi wszystko co w jej mocy, by zaprzestano używać tych wnyków.

Kręciła się, wyginała i ruszała na wszystkie strony tak, że zdołała przenieść ciało pod osłonę kępy krzew, że ciężka pokrywa śnieżna przykrywała ją jedynie co pięć, dziesięć minut... a nie bez przerwy. Ale była coraz bardziej zmęczona z powodu tej ciężkiej kłody, leżącej na jej udach i przerażało ją też. Za każdym razem, gdy próbowała usiąść, tak by mogła ją trochę przesunąć, zęby wnyków wbijały się jej w piętę jeszcze bardziej.

I żeby było jeszcze trudniej, pomyślała ponuro, było już prawie zupełnie ciemno i nie świecił księżyc. Ale

chwileczkę... może to był plus. Poruszyła się lekko i odszukała latarkę na rękę. Ale o co powinna odbijać strumień światła? Co było takiego w pobliżu, co posłużyłoby za dobry reflektor? Musiał to być mocny strumień światła, ale jeśli mógł być o coś odbity, przysłużyłby się jeszcze lepiej.

W końcu zaświtało jej, że świecąca się pokrywka jej termosu byłaby idealna. Zajął jej trochę czasu, nim przesuwając się delikatnie i jęcząc, wreszcie go odkręciła i — z modlitwą na ustach — i mierząc dobrze, rzuciła małą pokrywkę przed siebie... i jak to dobrze, że wylądowała na ośnieżonej gałęzi, jakieś sześć stóp nad ziemią.

Niech szlag trafi tę starą gałąź, leżącą na jej nogach... jednym końcem wznosiła się ku górze, tak że mogła poruszać tylko prawą ręką. Lewą miała uwięzioną u pnia wielkiego drzewa.

Wydawało się, że trwa to wieczność, zanim przysunęła plecak na tyle, by móc otworzyć termos i napić się łyżeczek kawy, a potem zabrać się do niemalże niewykonalnego zadania, próby, by przesłać światło ku pokrywce od termosu. Była zadowolona, że ma latarkę na rękę, z tak nadzwyczaj ostrym snopem światła, ale jak ją zaświeci, nie mając palców do pomocy? Tymczasem wyciągnęła płachtę izolującego materiału, którą nosiła ze sobą na wyraźne życzenie Hugh'a. Tak naprawdę był to mały, ocieplany śpiworo-namiet, ale w jej obecnej sytuacji nie byłaby w stanie zrobić z niego namiotu.

Ciągnęła jego koniec zębami, gdy nagle przyszło jej do głowy, że tak właśnie mogła zapalić latarkę. Podniosła przegub i nacisnęła guzik dolnymi zębami... światło pojawiło się od razu!

Aż do tej chwili tak naprawdę nie dotarło do Benity, w jakim kiepskim położeniu się znajduje, ale gdy światło

oświeciło puchaty śnieg, śnieg, który był zwiewany i rzuca-ny przez wiatr na wszystkie strony, wiatr, który nie miał najmniejszego zamiaru przestać, zdała sobie sprawę, że było bardzo ciemno... i była całkiem sama.

— Nie będę płakać... Nie będę panikować... Nie będę... tracić czasu na mówienie tego w kółko! Leciutko chlipnęła, gdy słone łzy potoczyły się po policzkach. Czy miałoby to jakiś sens, gdyby spróbowała alfabetu Morse'a? Pewnie nie. Zapewne stałe świecenie i gaszenie światła, skierowanego na świecąca pokrywkę wystarczyłoby, jeśli cokolwiek mogłoby wystarczyć. Nabrała głęboki oddech i zaczęła wysyłać sygnał.

Nie była świadoma, czy to działa. Lekko się poruszysz, wcisnęła część ocieplanego materiału pod siebie, tak że nie miała już pleców całkowicie przemarzniętych, ale wiedziała, że bez względu na to, jak ciepło była ubrana, zimno już się do niej doczołgało. Jej ciało było zziębnięte, a usta i twarz były jakby z kamienia.

— Boję się — wyszeptała — i myślę, że jest coraz gorzej.

Nabrała głęboki oddech i znów spróbowała, ale nawet wtedy, gdy dotykała latarki lodowatymi palcami, czuła, że ogarnia ją dziwne uczucie. Zaczynała być senna... a to znaczyło, że zimno istotnie ją dopadło, to znaczyło, że jest duża szansa na to, by zamarzała na śmierć.

Było śmieszne, jakie dziwne rzeczy przelatywały jej przez głowę, gdy tak nieustannie gasiła i zapalała latarkę. Widziała Linka i marzyła o tym, by mu powiedzieć, że się nieźle spisuje... ale jak można coś takiego powiedzieć komuś, gdy się zamarza, bo najoczywiściej spisuje się źle. Potem znów jej myśli wypełniły się dziwnymi zwierzętami... stworzeniami, które zdawały się ukazywać z wełnistej ciemności. Było tak zimno... a burza rozrywała las na strzępy.

Próbowała wysączyć ostatek kawy, ale butelka wyślizgnęła się jej z palców i cieś rozlała się na ośnieżoną ziemię. Benita zaszlochała. To dopełniło wszystkiego... teraz była naprawdę przerażona... i była pewna, że powinna była zostać w mieście. Nie powinna być aż tak głupia, żeby myśleć, że da sobie radę. Wygrała dzicz i wszystko co zrobiła, było...

O.K. — zdawała się mówić jej otumaniona głowa, może przegrasz, ale nie poddasz się bez walki. Jeszcze raz zapal-zgaś dla starej drużyny! No dalej, Bennie, dziewczynko... potrafisz! Ray uważa, że potrafisz... Hugh tak uważa, Jean... i Bob... i... zapal-zgaś. Czekwała kilka minut i potem znów powtórzyła... zapal-zgaś. Jej palce stały się takie zimne, takie... zimne...

Nabrała głęboki oddech i zdawało się, jakby zatrząsł się w jej przerażonym, lodowatym ciele. Będzie się musiała zmusić, by usiąść, nawet gdyby te podstępne zęby złośliwych wnyków miały rozszarpać jej kostkę. Umrze, jeśli będzie tu dłużej leżała... ale to tak boli! Choć było jej tak zimno, poczuła, jakby ktoś wbijał nóż w jej stopę, a była jedynie lekko uwięziona w potrzasku. Dlaczego ludzie wymyślają takie okropne wnyki?

No to ostatnia sztuczka ze światłem i może krzyknąć. Kto mógłby usłyszeć krzyk, gdy wiatr zagłuszał wszystko? Benita zacisnęła zęby i znów zaczęła próby ze światłem... zapal-zgaś, zapal-zgaś i w tym samym czasie — w nagłą, całkowitą ciszę, trwającą nie więcej niż sześć sekund — krzyknęła co sił w płucach.

Nic. A teraz będzie musiała spróbować usiąść, spróbować ściągnąć tę ogromną kłodę z siebie, tak żeby mogła się ruszyć. Włożyła rękę pod plecy, wykrzywiając twarz, gdy zęby wnyków zdawały się wciskać w jej piętę i zaczęła powoli...

— Nie ruszaj się! - Dotarł do niej przez kakofonię

odgłosów dzicy czyjś głos. — Na miłość boską, nie ruszaj się, dopóki tam nie dotrę!

Trzęsło się całe jej ciało, ale wiedziała, że to nie była halucynacja. Głos należał do Carla Hannakera, a duże światło, rozpraszane niemal całkowicie przez śnieg, zbliżało się coraz szybciej. Cał za całem, stopa za stopą, nadchodziła pomoc.

Carl utorował sobie drogę, aż był zaledwie parę stóp od niej. Ukląkł i pochylił się nad nią — Przypuszczam, że powinienem powiedzieć coś mądrego... na przykład, co taka piękna dziewczyna jak ty robi w takiej dziurze, ale myślę, że sobie to подарujemy! Czy mamy cię stąd wyciągnąć, Ben?

13

Nie przysunął się za blisko, ale Benicie było zbyt zimno, żeby zwracała na to uwagę. Wiedziała jedynie, że tu był i że — jeśli będzie miała szczęście — przeżyje.

— Cz-czy widziałeś mój sygnał?

— Powiem ci później — powiedział szybko. — Ktoś mi pomógł... ważne jest to, że cię znalazłem, a teraz pomogę ci się wydostać.

— Zastanawiam się, czy to mieści się w ramach dobrego, starego „kontraktu” z Linkiem? — Benita wymamrotała sama do siebie.

— Nie mieści się — powiedział tym samym rzeczowym głosem — dlatego też, tak jak to robią w tych dreszczowcach dziejących się w samolocie, w którym w każdej chwili może dojść do najgorszego, przekonam cię. Teraz słuchaj mnie, Ben... najpierw, pozwól, że cię poinformuję o sytuacji, w jakiej się znajdujesz. Masz nogę uwięzioną w szczękach, jakie zakładają tu w lasach na północy...

— W... czym? — Tak była zainteresowana, że niemal zapomniała, iż jest jej zimno.

— Rodzaj sideł, które nigdy nie powinny zostać wynalazione! Złapały cię za piętę i trzymają w taki sposób, że za każdym ruchem, który wykonujesz chcąc usiąść, wpijają ci

się zębami w śródstopie. Jestem pewien, że nie potrzebuję raczej mówić... że jeśli chcesz się uwolnić, przestań próbować siadać. Ślizgaj się, dziecinko... ślizgaj! Przesuń ciało ku lewej stronie, w moim kierunku. Nie, nie od razu. Rób to tak — najpierw łagodny kołyszący ruch, tak żebyś nie uszkodziła śródstopia bardziej, niż jest to absolutnie konieczne... dobrze, złapałaś... teraz poluzuj w ten sposób! Dobrze! Teraz masz obie ręce! Wiem, że lewa jest jak kawał lodu, ale tak nie jest i potrzebujesz jej. O.K. unieś ramiona, oba w stronę drugiego końca żerdzi i gdy ty będziesz ślizgała się ku lewej stronie, żerdź ześlizgnie się ku prawej.

Kucnął obok niej, kiwając głową od czasu do czasu, jak wykonywała jego instrukcje. Wreszcie ogromna żerdź zsunęła się z trzaskiem na podszycie, a Benita leżała ciężko dysząc z wyczerpania.

— Nie ma czasu do stracenia — powiedział, i po raz pierwszy stała się świadoma nie tylko tego, że przeżyje, ale faktu, iż zawsze zdawał się musieć mówić jak najważniejszy sierżant do rekruta, który przez następne sześć miesięcy będzie ciągle jeszcze „nieopierzony”!

— Nie tracę czasu — wyszczała.

— Dobrze... żyjesz! W porządku, użyj obu rąk i przygotuj się — potem jedno potężne odepchnięcie się i usiądź... ale próbuj trzymać luźno nogi. — Znów skinął głową — Całkiem nieźle... jak na dziewczynę, oczywiście.

— Czy nigdy nie przestaniesz?

Miał oczy bez wyrazu. — Nie... i ty też nie. A teraz, czy chcesz się pozbyć sideł, czy zaczynasz je już lubić?

Przez ciało przebiegła jej fala ciepła z wściekłości. Co było nie w porządku z tym facetem? Otarła się niemal o śmierć z przemarznięcia, a on nadal upierał się, by ją zbijać z pantałyku.

— Powiedz mi tylko jak — warknęła. — Zrobię to!

Carl skrzyżował od niechcenia ręce na klatce piersiowej i wyszczerzył do niej zęby w uśmiechu. Była rozwścieczona. Gdyby miała wolną stopę, wcisnęłaby go do śniegowej zasy.

— No! Pospiesz się... czy myślisz, że chcę tu spędzić resztę życia?

W jego oczach było nadal coś, czego nie rozumiała tak do końca. Sądziła, że było to rozbawienie, ale... hmm, nieważne. Zaczęła wykonywać jego instrukcje.

— W porządku, możesz się teraz dostać do twojego plecaka znacznie łatwiej. Czy masz pakiet pierwszej pomocy... a kumpla leśnego człowieka? Słuchaj uważnie i rób dokładnie to, co ci powiem... O.K.? Najpierw zaczeń nóż o łańcuch sideł i ciągnij z całych sił, mmm, tak też myślałem! Jest stary i niezbyt dobrze przytwierdzony, a to znaczy, że możesz hej, nie przejmuj się — przybliź nogę nieco bliżej, byś widziała, co robisz! O.K. krok numer dwa...

Kawałek po kawałku, wyjaśnił dokładnie, co powinna zrobić. Pod jego dokładnym przewodnictwem przysunęła uwięzioną nogę bliżej, udało się jej rozbroić szczęki pałapki i wydobyć stopę lekko jedynie przebitą w okolicy śródstopia, nie zaś z raną, jakiej się spodziewała.

Carl nie zadał sobie nawet trudu, by ściągnąć buta i zbadać stopę. Spojrzał jedynie i kiwnął głową.

— Będziesz żyła! No to bierz sprzęt — rzucił wieczko termosu w jej stronę i nie uczynił żadnego wysiłku, by jej pomóc, kiedy wypadło z jej zziębniętych palców — i ruszajmy! Mamy przed sobą szmat drogi! — Wyciągnął swój własny termos — Pierwsza myśl, kilka łyków dobrej, gorącej herbaty... i nie trać czasu, by mi powiedzieć, że nie przyjmujesz napoi od obcych mężczyzn. Łyknij sobie trochę!

W chwili, gdy znów znaleźli się na szlaku, plecak

z aparatem, który nadal był w jednym kawałku — znalazł się z powrotem na jej plecach. Benita zaczynała czuć, że, jeśliby miała taką możliwość, mogłaby rozerwać Carla Hannakera na strzępy! Nigdy na nikogo nie była taka wściekła.

Miał rację. Była to długa, wyczerpująca wędrówka, wędrówka, która zdawała się być sto razy dłuższa w strefie całkowitej ciszy i śniegu z deszczem, które ich zewsząd otaczały. Nie był widać żadnych śladów. Wokół nich drzewa wyglądały jak duchy samych siebie z przeszłości, otulone w mglistą, błyszczącą biel. Nie poruszyło się ani zwierzę, ani ptak... ale dzikie dzieci natury zawsze się chroniły przed nadchodzącą burzą.

Trochę jej pomogło, gdy próbowała myśleć o leśnych stworzeniach, kryjących się w zacisznych norach i wydrążonych drzewach. Tępy ból w kostce przypominał jej, że mężczyzna idący przed nią był wielki — wysoki i mocny — i że gdyby był choćby w jednej dziesiątej dżentelmenem, niósłby jej całe dziewięćdziesiąt siedem funtów, to znaczą ją! Ale nie, nawet nie zapytał, czy dobrze się czuje! Czują, że miałyby ochotę na niego wrzeszczeć i spytać się, czy pewien jest, że rzeczywiście chce poświęcić ten łyk herbaty dla niej... ale nie byłoby to łatwe. Ruszał się w tempie zdeterminowanego górskiego lwa i nawet gdy z trudem łapała powietrze i potykała się, prawie że nie oglądał się za siebie i lekko jedynie zwolnił kroku.

Hmm... niezbyt często, chyba, że miał jakąś szyderczą uwagę do zrobienia. — Co się dzieje? — zawołał, kiedy okrążyli grzbiet Woodchuck. — Czy mały harcerzyk nie potrafi dotrzeć mi kroku?

— Nie jestem harcerzykiem — warknęła, próbując złapać oddech — i nie jestem chłopcem! Ale czy musisz iść tak szybko?

— Szybko? Uważasz, że to ślimacze tempo to szybko?

Zatrzymał się na środku prawie niewidocznej ścieżki, na tyle tylko, by się roześmiać. — No niech to... prawie że się człoǳamy, a ona to nazywa szybko!

Wściekłość zaczęła w niej kipieć, a kiedy tak w niej wrzała, Benity krótkie, szczupłe nogi zaczęły się poruszać szybko, coraz szybciej. Kiedy przysła jej do głowy ta myśl, że kocha tego... tego nieokrzesanego gburą! Przeszedł jej po plecach dreszcz. Było jej zimno... tak zimno... Nie, wcale nie! Zaciśnęła usta z ponurą determinacją! Tylko przegrywający przyznają się do tego, że jest im zimno, a ona zamierza na tyle długo pożyć, żeby powiedzieć temu nieprzyjemnemu, źle wychowanemu gburowi parę niemiłych rzeczy! I kiedy mu już powie, zamierza o nim zapomnieć na dobre.

A to — prawie że roześmiała się na głos — nie będzie trudne, nie teraz, kiedy odkryła, jaki on naprawdę jest. Nie miał żadnej przyjemnej cechy! No, był dobry dla zwierząt... i ptaków! Hmm, a czy słyssał o ludziach? Było ich kilkoro w okolicy, a ona przez przypadek była jednym z nich.

No tak, minie około cztery tygodnie, zanim będzie mogła zamienić swoje samorodki na pieniądze w Lazy Point, a potem wyjechać do domu... i mała dbała o to, że ten niemiły, dominujący typ pójdzie swoją drogą. Ona z pewnością miała zamiar udać się inną!

Właśnie po raz drugi zaczęła się zastanawiać nad tym, jak jest zadowolona z tego, że już go nie kocha, gdy zdała sobie sprawę, że są już tak niedaleko chaty. Można było to przejść powoli, ale pan Hannaker nie tak do tego podszedł! Gdy dotarli do niewielkiej polany za chatą, Benita z trudem łapała oddech. Ostatnie kilka jardów pokonali niemal biegiem.

— O.K. wejdźmy do środka. — To była ostatnia kropla. Nie przepuścił jej nawet w drzwiach.

Benita otwarła je i z trudem doszła do tapczanu, ale

nie zdążyła na nim usiąść. Dobry, stary Carl nadal miał kilka uwag do wypowiedzenia.

— Sprawdź ogień — powiedział szybko — i nastaw kawę! Mógłbym się napić. Nie wiem, jak ty.

Kiedy rozniecała oba paleniska — a obydwa musiały być rozniecone — i nastawiła duży czajnik na kawę, Carl, ciągle jeszcze w kurtce, klęczał i wyciągał kasetę, którą lubił. Uśmiechnął się do niej, jakby nie był najgorzej poinformowanym na świecie człowiekiem na temat zasad dobrego wychowania, nie wspominając o dobrych manierach.

— Lubię muzykę, gdy piję kawę... czy Schumann będzie ci odpowiadał?

Nie ośmieliła się odpowiedzieć. Wiedziała, że mogłaby mu coś zrobić, gdyby wymówiła chociaż jedno słówko; zamiast tego skupiła się na doprowadzeniu obu palenisk do takiego stanu, w którym pokój zaczął być na tyle ciepły, że umożliwiał przetrwanie... a potem poszła po kawę. A ponieważ rzeczywiście była mu coś winna, wyciągnęła końcówkę jabłecznika.

Carl wziął dzbanek z jej rąk i zaczął nalewać. — Idź i powieś swoją kurtkę, ściągnij grube ubranie i nałóż szlafrok. Będziesz się lepiej czuć.

— A teraz posłuchaj...

— Zrób to. Gwarantuję, że tak będzie. — Zaczął nalewać kawę.

Wróciła do pokoju po paru chwilach, nagle uświadamiając sobie, że nadal poboлева ją kostka, ale przyrzekła sobie, że nie powie ani słowa do tego wysokiego mężczyzny przy stole.

— Lepiej?

— Tak, dziękuję. — Słowa przychodziły jej z trudem — My... myślę, że powinnam ci podziękować za ocalenie mi życia.

— Nie... nie ocaliłem ci życia. Sama to zrobiłaś. Benita, każdy rok spędzony w dziczy — hmm, każdy rok w jakimkolwiek zawodzie, czy czymkolwiek — i uczysz się czegoś więcej, tak że każdy rok jest jak rozdział w książce, a ty jesteś książką! Po prostu otworzyłaś tom, zatytułowany Carl — a informacja w nim zawarta, dała ci odpowiedź. Podziękowania nie są potrzebne. — Zajął się ciastem. — Doskonały placek, Ben... jak zawsze.

Nie mogła już tego znieść. Odsunęła na bok filiżankę z kawą i nietknięty placek i popatrzyła na niego.

— W porządku, zatem podziękowania nie są potrzebne! No to dziękuję ci i tak, jeśli to coś warte, ale powiedz mi tylko. Czy musisz zgrywać takiego gieroja? — Skinęła głową w stronę drzwi. — Czy musisz stale mi dokuczać, dając mi do zrozumienia jaką jestem idiotką, dając mi do zrozumienia, że w porównaniu z tobą jestem głupią babą... i śmiejąc się jeszcze ze mnie!

Wypił odrobinę kawy i nadal na nią spoglądał. — Wiedziałem, że jeśli dostatecznie cię rozwścieczę, dasz sobie radę... no, wypij kawę. Rozgrzeje cię.

Wypiła łyk kawy i ugryzła kawałek placka, potem znów ją to uderzyło. — Co masz na myśli... jeśli uda ci się dostatecznie mnie rozwścieczyć.

— Złość porusza ludźmi, Ben. Jest to najlepszy sposób na podniesienie poziomu adrenaliny.

— Jaka to dla ciebie różnica, co się ze mną stanie?

— Czy myślisz, że chcę, żebyś umarła, kobieto? A jeśli o to chodzi, czy myślisz, że chcę, byś przegrała tę walkę, która cię tu sprowadziła... gdy został ci mniej niż miesiąc, i gdy tak ci już dobrze poszło?

Spróbowała jeszcze kawałek placka i popatrzyła na niego podejrzliwie. — Kim pan jest, panie Carlu Hanakerze i skąd pan wie o mojej walce, jeśli łaska... i jeśli już przy tym jesteśmy, skąd pan wiedział, że pomagając

mi, nie łamie pan umowy? Nie jest mi już tak zimno i nie jestem już tak otumaniona, Carl... i chciałabym usłyszeć kilka odpowiedzi... teraz!

Dokończył kawę i podszedł do drzwi. — Nie słyszysz? — powiedział, gdy pokryta śniegiem, brązowa postać przemknęła obok niego. — Twój kot cię potrzebuje.

Benita stuknęła swoją małą stopką w podłogę. — Później pogadam z moim kotem, ale teraz, proszę, przestań odwlekać i udziel mi odpowiedzi na pytania, które ci zadałam.

Skłonił się nisko i usiadł obok Suzie na tapczanie, strząsając niedbale śnieg z jej futra.

— Nazywam się Carl Hannaker — powiedział cicho — i jestem od czasu do czasu rybakiem, ale dziedzina, której poświęciłem życie — uczę, kiedy mam na to ochotę — jest umiejętność przeżycia i właśnie jestem w trakcie kończenia prac nad tematem, który zaprezentuję następnej jesieni na uniwersytecie w Wyoming.

— Jak się dowiedziałeś o mojej umowie?

— Pomyśl trochę, kobieto... kto jest taką figurą w publikacjach o życiu na łonie natury? Lincoln Graves, tak? A kto dzierży prym — jak Elinor by radośnie przyznała — w byciu najbardziej nieugiętym szowinistycznym machohondo na świecie... Lincoln Graves, tak? Pokiwał w jej kierunku głową. — Nie krzyw się tak, Ben! Wiem... myślisz, że cię śledziłem. Nieprawda, nie tak, jak myślisz.

— Zatem jak to nazwiesz? — Mówiła cichym i słabym głosem.

— Miałem — za sugestią Linka — zaglądać od czasu do czasu, ale sądzę, iż mogłaś zauważyć, że trzymałem się z dala od tego, jak sobie radziłaś. Myślałem, że idzie ci tak dobrze... a potem byłaś tam, w czasie burzy. Seth może się

czasem zachowywać jak błazen, ale nie opłaca się lekceważyć jego informacji pogodowych.

— Czekaj... nic mi nie powiedział. On... no tak, zachowywał się w stosunku do mnie odrobinę za przyjacielsko i wypadł jak burza. Wspomniał coś o pogodzie, ale mu powiedziałam, że mówiłeś, że nadejdzie burza, a on powiedział, że nie potrzebuję jego pomocy!

Carl uderzył ręką w zaciśniętą pięść, aż Suzie podskoczyła na miejscu. — A to głupiec! Jak mógł pozwolić, by jego irytacja wstrzymała go od ostrzeżenia cię o pogodzie! Gdyby przytrafiło ci się coś poważnego, miałby za co odpowiadać. — Miał nieruchomą twarz — Tutaj, przy takiej pogodzie, trzeba się drugimi opiekować!

Trochę ją to zdenerwowało. Opiekować się drugimi? Hmm, nie będziesz się musiał martwić tym, że masz się mną zbyt długo opiekować, Carl. Za kilka tygodni będę znów w domu.

Był w takim dobrym nastroju i zrelaksowany, że ten wybuch nim wstrząsnął. — Opiekował! — wybuchnął. — Znów powstał — Myślisz, że jesteś dzieckiem! Słuchaj mnie, kobieto! Myślę, że jesteś dobrą, odważną, piękną kobietą... w innym wypadku, czy sądzisz, że przedzierałbym się przez las o drugiej nad ranem... zastanawiając się, czy może przez przypadek zapomniałeś o ogniu, tak jak ja, podczas pierwszej zimy?

I niech ci nie przyjdzie do głowy, że to był pomysł Linka! To był mój... ponieważ jesteś ważna! W każdym razie, dobrze to Linkowi zrobi — wracając do niego — że kobieta ma tyle energii i umiejętności, by przetrwać tu zimę! Samo to, że tu przyjechałaś, już go zmieniło. Myśli o czasach, kiedy jego dziadek zbudował tę chatę... a on spędził tu zimę i będzie miał wiele szacunku do tego, czego tu dokonałaś.

— Jego dziadek ją zbudował?

— Tak, staruszek sam... mówił trochę po francusku, trochę po angielsku, i on i las byli równi sobie.

— Carl, czy musiałeś stać zawsze po jednej stronie, tak się ze mnie wysmiewać? Czy nie myślisz...

— Czy nie myślisz, że znaczysz coś dla mnie? Czy nie uważasz, że chciałbym być z tobą... cały czas! Benita, ja...

Szybko ucieła. — Ale cały czas robiłeś sobie jedynie ze mnie żarty! Nie mogę ci wierzyć... że byłam dla ciebie ważna!

— Czy nie masz w głowie nic oprócz sieczki! — Wy padł jak burza do kuchni i nalał sobie ponownie kawy. — Lepiej mi się rozmawia, gdy piję — mruknął. — A teraz posłuchaj mnie, Benita. Seth przez większość czasu jest fajnym facetem, ale nosiłby ci drzewo, odgarniał śnieg... prawie wszystko. Ale chciałem, byś ty to robiła i wiedziałem — byłem dokładnie taki sam — że trzeba cię popchać, podroczyć się z tobą, podokuczać ci! Tak jest z każdym podczas pierwszego pobytu w lesie. I jeśli jakiś dowcipniś na tyle cię rozwścieczy, że chcesz mu pokazać, że się co do ciebie myli, to wygrasz! Siedzisz tak sobie... pytania, pytania... zastanawiając się czy, pytając o to. Czy nigdy nie przyszło ci do głowy, kobieto, że chciałem być z tobą w każdej minucie, od chwili gdy spojrzałem po raz pierwszy na ciebie?

Wstała i wlepiła w niego wzrok. — Och... Carl, ja...

Nawet nie słuchał. — Kiedy tu dziś wróciłem, a ciebie nie było, zacząłem krążyć po okolicy... i znalazłem Suzie niedaleko bagna... nie, nie zaprowadziła mnie do ciebie, ale zdawało się, że chciała tam zostać, a potem zobaczyłem to światło! Ben, poczułem taką ulgę, że aż zrobiło mi się niedobrze! A potem zobaczyłem, jaka jesteś zmarznięta i jak zmęczona... i znów musiałem doprowadzić cię do wściekłości! Nieważne było, jak bardzo cię kocham, musiałem cię szturchać, dokuczać ci i popędzać...

— Czy myślisz, że to taka wielka radość kochać kogoś i spędzać długie zimowe noce z Sethem, grającym na harfie i przypalającym fasolę i bawiącym się swoim radiem? Czy myślisz...

— Carl! — Jej zmęczone oczy były szeroko otwarte. — Kocham cię, Carl.

Zatrzymał się na środku pokoju i umyślnie odstawił kawę na stół. — Och, moja droga... szalałem i wygłaszałem te bombastyczne słowa... i na miły Bóg, cieszę się, że żyjesz! Cieszę się, że mogę cię wziąć w ramiona i powiedzieć — Benita, kocham cię... i nigdy już nie przestrasz mnie tak jak dzisiaj... nigdy...

Ale nie mógł już nic więcej powiedzieć. Benita stała na czubkach palców i przyciągnęła jego głowę ku swojej. Jego spragnione usta opowiedziały jej całą resztę; jego pocałunek, pełen uczucia, obiecywał nadchodzącą radość.

— Byłem sam przez długi czas — powiedział cicho — i nie mam w pogotowiu gładkich słów, jak Seth, ale powiem ci to prosto... czy wyjdiesz za mnie? Myślę, że jeśli będziesz na tyle szalona by powiedzieć „tak”, to powinniśmy się przenieść i niech Link będzie naszym pierwszym drużbą, a potem — poza jakimś czasem spędzonym w Wyoming — jeśli mnie chcesz, to jest mój kraj, Ben.

Benita spojrzała na zadowolonego kota, wyciągniętego na tapczanie. — Ożenisz się z całą rodziną — roześmiała się.

— Tylko do wiosny. Pewnej pięknej, pachnącej nocy usłyszysz te ciche głosy — o których mówił Robert Service — i kiedy kotka pójdzie, już nie wróci.

— Nigdy?

— Może. Jej matka przyniosła kocięta, żeby je pokazać, a Suzie ma do ciebie słabość — Przyciągnął ją do siebie — Ale odmawiam rozmowy na temat rysiów albo

łosi. Pocałuj mnie, kochana a potem muszę pójść do swojej chaty. Seth mógłby się martwić!

Wyglądęła przez okno. Burza szalała nadal. — Nie chcę, byś wychodził na taką burzę!

— Nic nie szkodzi. — Wziął ją w ramiona jeszcze raz a jego pocałunek był słodki jak kwietniowy miód. — Moja kochana Benita — wyszeptał — będę bezpieczny z dala od wszelkich burz, bo ty mnie kochasz.

Benita wiedziała, że na północy wiosna zjawia się spóźniona, niechętnie, że wielkie rzeki powoli się ujawniają i że jezioro pewnego dnia zacznie głośno pękać, by ogłosić, że niewiele czasu upłynie do pojawienia się kluczy gęsi, które znów wyruszą w drogę. Wiosna — z baziami na bagnie i starym łosiem pożywiającym się uszycą... że wiosna nadejdzie jak cud wśród pozostałych pór roku.

Ale w sercu, sercu, które teraz biło ze szczęścia, sercu, które nie znało znaczenia lodowatego chłodu i nieskończonych połaci, pokrytych śniegiem — w jej sercu, w odpowiedzi na jego, był czas wiosennej miłości, delikatny a jednak niezniszczalny kwiat, który przetrwa na wieki.

Benita przycisnęła go mocno do siebie. Jej miłość, jaka przed nią była udziałem jej babki, będzie błyszczała jak wiosna na zawsze. Nie będzie ważne, czy jesienne wiatry będą wiały ze wszystkich stron, czy też nadejdzie lodowato zimna zima. Odpowiedzią na to była miłość i to miłość napełniła jej serce wiosną i miłość zatrzyma ją tam na zawsze.